

PISMA
MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

TOM IX.
DOM OTWARTY
KOMEDIA W TRZECH AKTACH.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy-Świat Nr 41.
1888.

MICHAŁ BAŁUCKI.

Spółdzielnia Oświatowa
w Radzynie-Podlaskim
z odpowiedzialnością udziałami

DOM OTWARTY

Bibl. Gim.
Nr 5
KOMEDIA W TRZECH AKTACH.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy-Świat Nr 41.
1888.



Дозволено Цензурою.

Варшава, 23 Декабря 1887 года.

ARTYSTOM SCENY LWOWSKIEJ

poświęca

Autor

Jako dowód życzliwości i uznania.

Bez poprzedniego porozumienia się z autorem przedstawiać nie wolno.

OSOBY:

Władysław Żelski, urzędnik banku.
 Janina, jego żona.
 Kamilla, jej siostra.
 Telesfor, ich wuj.
 Adolf, narzeczony Kamilli.
 Alfons Fikalski.
 Wicherkowski.
 Pulcherya, jego żona.
 Ciuciumkiewicz, archiwista.
 Katarzyna, jego żona.
 Teczia }
 Miecia } ich córki
 Munia }
 Lola }
 Wróbelkowski.
 Fuzarkiewicz.
 Malinowski.
 Bagatelka.
 Franciszek, służący.
 Lokaj.

Goście. — Rzecz dzieje się w mieszkaniu Żelskich.

Nw = 5.

AKT I.

(Salonik elegancki. — Portyery w oknach i przy drzwiach — stół na środku, nakryty dywanem).

SCENA I.

WŁADYSŁAW, TELESFOR, KAMILLA, ADOLF, *później* FRANCISZEK.

(Kamilla z Adolfem siedzą przy fortepianie po lewej, Telesfor i Władysław grają w szachy po prawej).

KAMILLA (grając sonatę Beethovena).

Raz, dwa, trzy — raz, dwa, trzy (do Adolfa, siedzącego tuż obok niej). No, teraz pan.

ADOLF (który, zapatrzonny w nią, zapomniał o grze na cztery ręce, ocknąwszy się).

A prawda — teraz ja (niby zabiera się do grania i zamiast grać, ogląda się na grających w szachy, a widząc ich zajętych, bierze prędko rękę Kamilli i całuje dwukrotnie ogniste).

KAMILLA (wyrrywając szybko rękę).

Panie! bo, jak mamę kocham, tak pan klapsa dostaniesz, jak nie będziesz spokojnie siedział.

ADOLF (biorąc ją powtórnie).

Jeszcze tylko ten jeden raz.

KAMILLA (*j. w.*).

Panie!—bardzo proszę—bo powiem wujaszкови.

ADOLF (*blagalnie*).

Panno Kamillo!

KAMILLA (*głośno*).

Wujaszku!

TELESFOR (*z fajką w ustach, nie oglądając się zapatrzony w szachy*).

A co tam takiego?

KAMILLA.

Bo tu pan Adolf jest niegrzeczny.

TELESFOR (*j. w.*).

No, no, Adolfku, bądź grzeczny, pocałuj ją w rękę na przeprosiny.

ADOLF (*ucieszonymi*).

A widzi pani, wujaszek pozwala (*porywa jej rękę i obsypuje pocałunkami*).

KAMILLA (*wyrywając mu rękę*).

Panie! bo się naprawdę pogniewam. Pan wieś, że ja tego nie lubię. Graj pan.

ADOLF.

Zaraz (*zaczyna grać*).

KAMILLA.

Przecież pan ma dwa takty pauzy.

ADOLF (*przestaje grać*).

Prawda, dwa takty pauzy.

KAMILLA.

Ach, jaki pan dziś niezdolny! no, zaczynaj-

my (*zaczyna grać*). Raz, dwa, trzy—raz, dwa, trzy—teraz dopiero pan (*grając oboje sonatę Beethovena, jednak tak, aby nie zagłuszyli rozmowy innych osób*).

WŁADYSŁAW.

Na wuja pociąg.

TELESFOR (*zapatrzony w szachy, podnosząc palec do góry*).

Zaraz, zaraz, bo ja tu mam planik kapitalny, tylko (*nuci*): i chciał-bym, i boję się, (*mówi*) E! co tam! starosta, albo kapucyn, na przód, na przód marsz, rabiata, na podbicie reszty świata.

FRANCISZEK (*w białym fartuchu do pasa wchodzi z lewej strony z drugich drzwi i idzie do grających w szachy*).

Proszę panów, pani się pyta, czy tu nakryć do kawy?

WŁADYSŁAW (*zajęty szachami*).

To mógł wuj tu iść?

TELESFOR (*zadowolony*).

A mógł, mógł; ty się musisz zasłaniać, a ja idę pionem na królową; a co? (*nuci*): „Czy widzisz na tej skale tego, co straszna trzyma broń?”

FRANCISZEK.

Proszę panów, pani się pyta, czy...

WŁADYSŁAW (*opryskliwie*).

Idź do dyabła! nie nudź mnie! nie widzisz, że zajmę; skrzeczy i skrzeczy za uszami!

KAMILLA (*do Adolfa, grającego*).

Patrz pan na nuty, nie na mnie, bo się znowu pomylisz.

ADOLF.

Kiedy ja wolę na panią.

FRANCISZEK (*stając za Kamillą*).

Proszę panienki...

KAMILLA.

Ale ja nie wolę. No, pilnuj się pan w takcie, raz, dwa, trzy (*grają dalej*).

FRANCISZEK.

Proszę panienki (*widząc, że go nie słyszą, odchodzi, machnąwszy ręką*). E! kto-by się tam z nimi dogadał! (*idzie w głąb na prawo*).

SCENA II.

CIŻ I JANINA (*z lewej, z drugich drzwi*).

JANINA (*do Franciszka*).

No, cóż?

FRANCISZEK (*ruszając ramionami*).

Proszę pani, kiedy tak wszyscy zajęci, że choć strzelaj za uszami, nie usłyszają.

JANINA.

To nakryj tu i przynoś samowar.

FRANCISZEK. (*Idzie na prawo do drugich drzwi, z kąda za chwilę wraca, nakrywa stół obrusem, znosi filiżanki, bułeczki w koszyczku etc.*).

JANINA. (*Idzie do Władysława i opiera się na jego ramieniu*).

Przy kim-że szczęście?

WŁADYSŁAW (*rozstargniony, odsuwając ją lekko*).

Zaraz, zaraz, moja droga, bo to ważny pociąg.

JANINA (*zadyszana odchodzi*).

A to grzecznie! niema co mówić (*bierze robótkę z koszyczka, leżącego na stoliku, i siada na kanapie, na końcu oddalonym od Władysława*).

TELESFOR (*wstaje zadowolony i, zapalając, albo poprawiając fajeczkę, zbliża się do Janiny i mówi, wskazując na Władysława z filuterym uśmiechem*).

Zły, bom mu zabił takiego klina, że będzie majster, jeżeli się z tego wykręci, o! patrz, jak mu zrzedła mina (*nuci na nutę poloneza*): „Patrzaj, patrzaj, jaka mina—na dół was, w górę czupryna”—ram, tam, tam, tam, tam, tam (*wracając do Władysława, staje naprzeciw niego przy stoliku i mówi z tryumfującą miną*). No, cóż? Wymyśliłeś tam co mądrego?

WŁADYSŁAW.

E, Boże! cóż ja się namyślałem? (*z naciskiem*) Szach królowi i królowej.

TELESFOR (*zakłopotany, łapiąc go za rękę, w której trzymał figurę*).

Co? gdzie? jak? jakim sposobem?

WŁADYSŁAW.

Proszę koniem.

TELESFOR (*siada*).

Ale ja tego nie widziałem, czekajno.

WŁADYSŁAW (*tryumfując*).

A widzi wuj.

TELESFOR.

Ale bo ta tu przysła (*wskazuje na Janinę*) i zabalamuciła mnie swoim gadaniem.

JANINA (*śmiejąc się ironicznie*).

Ja? (*wzrusza ramionami*).

WŁADYSŁAW (*do Janiny z uśmiechem*).

Wuj się wymawia tobą, jak ta tanecznicza, co jej to w tańcu coś zawadzało.

TELESFOR (*patrząc w szachy*).

A niech go nie znam! a to mi dojechał! (*nuci*): „Jak okropne przeznaczenie“... ram, tam, tam, tam, tam, tam, tam, tam, tam, tam, tam — „takie losu odmienienie“ — ram (*resztę bębni palcami*).

WŁADYSŁAW (*zwracając się do Janiny*).

Czy mi się zdawało, duszyczko, że przed chwilą czegoś chciałaś ode mnie?

JANINA.

Rychło wczas sobie przypomniałaś.

WŁADYSŁAW.

No, nie gniewaj się, duszyczko, widzisz, byłem tak zajęty.

JANINA.

E! nudni jesteście z temi waszemi szachami; jak się zagracie, to dogadać się z wami nie można.

WŁADYSŁAW.

Ze mną możesz mówić, ile ci się tylko podoba. Mnie to wcale nie przeszkadza, ja mogę wygodnie grać i rozmawiać.

JANINA.

Albo to prawda.

WŁADYSŁAW.

Jak cię kocham. No, siadaj, siadaj tu bliżej. (*Janina przesiada się na drugi koniec kanapy, bliżej Władysława*). Nie wiem, czy ci mówiłem, że, wychodząc z biura, spotkałem Malwinę?

JANINA.

Więc już wróciła?

WŁADYSŁAW.

Tak, i kazała ci powiedzieć...

TELESFOR.

E! cóż ty mnie straszysz jakimiś tam szachami, kiedy ty przecież nie możesz ruszyć konia.

WŁADYSŁAW.

A to dlaczego?

TELESFOR.

No, bo odsłaniasz swojego króla.

WŁADYSŁAW.

Prawda, gdzież ja miałem oczy?

TELESFOR (*tryumfując*).

A! (*nuci*): „Chciało się Zosi jagódek, kupić ich za co nie miała“ (*mówi*): Teraz ty broń się od mata.

JANINA (*przysuwając się do Władysława*).

Więc co ci mówiła?

WŁADYSŁAW (*nieco niecierpliwie, zapatrzony w szachy*).

Kto taki?

JANINA.

No, Malwinka.

WŁADYSŁAW (j. w.).

Jaka Malwinka?

JANINA.

Przecież sam mówiłeś.

WŁADYSŁAW (j. w.).

Moja droga, nie przeszkadzaj mi teraz.

JANINA (wstaje, rzuca robótkę i wzrusza ramionami).

I on to nazywa rozmową!

FRANCISZEK.

Proszę pani, kawa już przeciekła.

JANINA.

Idę, idę (idzie do samowara, stojącego na stoliczku pod ścianą, nalewa kawę do filiżanek, które Franciszek zanosi na stół). Wujaszek czarną?

TELESFOR (wpatrzony w szachy).

Czarną, to się rozumie (nuci): „Czarny kolor jest ozdobą, czarno chodzą wszystkie stany“.

KAMILLA (z oburzeniem).

No, widzi pan, znowu się zmyliłeś! — nie, to coś okropnego, jak pan dziś nie uważa.

ADOLF.

To może-byśmy lepiej porozmawiali?

KAMILLA (wzrusza ramionami i patrzy na niego z góry).

Pan też do rozmowy, Boże! Już naprzód wiem, co mi pan powiesz: ach! pani, albo: oeh! pani — a dla odmiany czasem (naśladując jego błagalny głos):

panno Kamillo! Przyznasz pan sam, że to wcale niezabawne.

ADOLF (obrażony).

Nudzi to panią? Skoro tak, to grajmy.

KAMILLA.

Grajmy (gdy Adolf zbyt mocno uderza w klawisze z irytacji). Co pan robisz? nie tak mocno.

JANINA (do stolika szachowego zwrócona).

Proszę panów do kawy.

TELESFOR.

Zaraz, w tej chwili będzie koniec.

JANINA.

Panie Adolfie, Kamillo! (widząc, że nie słyszą, idzie ku nim i, stając za plecami, woła głośno). Proszę do ka-wy! Czyście pogłuchli?

KAMILLA (zrywając się).

To pan Adolf tak się tłucze, że mało klawiszy nie połamie (robi mu gniewną minę). Ehm, szkaradny pan jesteś! gniewam się na pana! (rzuca nuty na taboret i odchodzi do środkowego stołu).

ADOLF (patrząc na nią z uśmiechem i czułością).

Przepraszę.

KAMILLA.

Pan-byś tylko ciągle przepraszał, nie z tego! (odchodzi, siada do kawy. Adolf składa nuty i idzie tam tak-że za nią).

TELESFOR (z zapalem).

Szach! mat!

JANINA.

Wujaszku, bo kawa ostygnie.

TELESFOR (*wstaje*).

Idę, idę (*zbliża się do stołu*) powiadam wam, da-
lem mu takiego mata, że to ha!

JANINA (*przysuwając Telesforowi filiżankę*).

Służę wujowi.

TELESFOR (*siada*).

Kawka—wybornie, doskonale! (*pije*). Pyszności!
(*delektując się*). Już to można powiedzieć, że my so-
bie tu w naszym kółku żyjemy jak w raju.

JANINA (*z przekąsem, półgłosem*).

Nie wszyscy.

WŁADYSŁAW (*patrząc na nią, z łagodnym wyrzutem*).

Janinko.

TELESFOR (*do Władysława*).

Co ona mówi?

KAMILLA.

Że nam tu znowu nie tak bardzo przyjemnie, jak
wujaszek myśli.

TELESFOR.

A czegoż ty jeszcze chcesz, smarkulo jakaś? Masz
chłopca, jak malowanie, co po całych prawie dniach
kamieniem siedzi przy tobie.

KAMILLA (*z ironią*).

To prawda, że kamieniem.

TELESFOR.

Nie tak, jak inny, co to odprawia konkury, jak

za pańszczyznę i patrzy tylko, jakby się wymknąć
od panny na lampartkę (*wstaje*).

ADOLF.

Panna Kamilla woląaby może takiego, byle-by
się umiał szastać, prawić komplementa, znosić z mia-
sta nowinki, bajeczki.

KAMILLA (*z przekąsem*).

A przynajmniej, żeby był zabawniejszym od
pana.

TELESFOR.

A cóż to, ma przed tobą na linie tańczyć, czy
co? Patrzcie ją, jaka mi wybredna dama! Ta to
ty nie wiem jak powinnaś dziękować Panu Bogu,
że ci nadarzył takiego pocziwca, suszyć przynaj-
mniej co piątek.

KAMILLA (*pod nosem, zadąsana*).

Jeszcze czego!

TELESFOR.

Albo Władysław, niech mi kto pokaże drugiego
takiego męża! Codzień z biura prosto, jak strzelił,
do domu.

JANINA.

I do szachów.

TELESFOR.

No, wielka rzecz, że sobie tam czasem parę par-
tyjek...

JANINA (*z uśmiechem*).

Powiedz, wuju, kilka, kilkanaście.



TELESFOR.

Ale za to w wieczór oddaję ci go do dyspozycji;
mało ci jeszcze?

WŁADYSŁAW (z uśmiechem).

Musi jój być mało, skoro się nudzi.

TELESFOR.

Czekaj, nie będzie się nudzić, niech-no tylko zacząć się sypać dzieci jedno po drugim.

JANINA (reflektuje go, wskazując oczyma na Kamille).

Wujaszku!

TELESFOR (zatykając sobie usta, n. s.).

Tam do dyabła! zapomniałem na śmierć, że my tu mamy pannę między sobą. (Krząka i mówi do Kamilli). Te, tego, bo widzisz, ja mówiłem o tych bocianach, co to przynoszą...

KAMILLA (nawnie).

O jakich bocianach? — co, co?

WŁADYSŁAW (wstając, bierze go na stronę).

Daj wuj pokój, nie tłómacz się, bo będzie jeszcze gorzej.

SCENA III.

CIZ I PULCHERYA (z głębi).

(Wstają od stołu).

JANINA (wstaje naprzeciw wchodzącej).

A, pani Pulcherya!

PULCHERYA (ubrana okazale).

Cóż się z wami dzieje? (podaje rękę Janinie). Jak

się masz, Kamilko? (kłania się panom). Witam pana pułkownika.

TELESFOR (który nakładał fajkę).

Sługa pani dobrodziejki.

PULCHERYA (siada).

Co się z wami dzieje? Myślałam, że was niema w Krakowie.

JANINA.

Dlaczego?

PULCHERYA.

Bo was nigdzie nie widać, ani w kościele, ani w teatrze, ani na spacerach. Czy wiesz, panie Władysławie, co zaczynają mówić o panu?

WŁADYSŁAW.

Cóż takiego?

PULCHERYA.

Że jesteś zazdrosny o żonę.—Jak męża kocham!

WŁADYSŁAW (z ironicznym uśmiechem).

O! a to dlaczego?

PULCHERYA.

Bo jój pan nigdzie nie pokazujesz.

TELESFOR (zapalając fajkę).

Pani dobrodziejko, przecież żona nie menażerya, żeby ją pokazywać.

PULCHERYA.

Ale nie należy zamykać jój w domu. Ja, przyznam się państwu, umarła-bym z nudów, żeby mi tak przyszło siedzieć z mężem dzień w dzień.

WŁADYSŁAW.

To bardzo pochwlebie dla męża.

PULCHERYA.

Mój mąż wie o tém dobrze, i dlatego stara się rozerwać mnie, jak może. Przedwczoraj naprzykład byliśmy na balu akademickim.

WŁADYSŁAW.

Proponowałem i ja swojej żonie, ale nie chciała.

PULCHERYA (*mocno zdziwiona*).

Dlaczego?

JANINA.

Nie lubię balów publicznych.

PULCHERYA.

No, to powinniście u siebie urządzić jaki wieczór tańczący.

KAMILLA (*klaszcząc w ręce*).

Zabawę tańczącą! ach, jakby to było dobrze! (*do Adolfa półgłosem*). Niech pan namawia szwagra. Przecież panu także o to chodzić powinno, żebyśmy się zabawili.

ADOLF.

Kiedy ja się i tak doskonale bawię.

KAMILLA.

Obrzydliwy egoista z pana.

JANINA.

Rzeczywiście, Władziu, mogli-byśmy dać jaki wieczór tańczący.

WŁADYSŁAW.

Ale dla kogo? moja droga, mamy tak mało znajomości.

PULCHERYA.

Cóż łatwiejszego, jak o to? Porobicie kilka wizyt i...

JANINA.

Tak, porobimy wizyty.

PULCHERYA.

I będziecie mieli znajomości.

WŁADYSŁAW.

Mamy zawierać znajomości dla jednego wieczoru tańczącego?

PULCHERYA.

No, przecież na jednym, sędzę, nie przestaniecie. Czas już, żebyście skończyli te miodowe miesiące i zaczęli prowadzić dom otwarty.

WŁADYSŁAW (*z ironicznym uśmiechem*).

Nie zamykam go przed nikim, pani dobrodziejko.

KAMILLA.

E, co tam, o tém potem, ale teraz ten bal (*do Telesfora, który wyszedł przed chwilą dla wydymuchania i wyczyszczenia fajki, a teraz wraca, biegnąc naprzeciw niemu*).

TELESFOR.

A o cóż to chodzi?

KAMILLA.

Chcemy urządzić tu u nas zabawę tańczącą.

JANINA.

Ale nasi panowie jakoś nie bardzo są za tém
(*patrzy na męża z wymówką*).

TELESFOR.

A to dlaczego? (*do Władysława*). Ja nie widzę
racy, żeby im odmawiać téj przyjemności.

KAMILLA (*do Adolfa*).

A widzisz pan, wujaszek także za nami.

TELESFOR.

To się rozumié... Dlaczego się nie bawić, i do
tego jeszcze w karnawał?

KAMILLA (*ciszéj*).

To, to, to, wujaszku.

TELESFOR.

Młode to, to nie dziwnego, że rade-by sobie pohu-
lać. Ja sam, choć stary, a nie ręczę za siebie, czy-
bym się jeszcze nie puścił w tany, jakby tak urznię-
ła muzyka.

KAMILLA (*do Adolfa*).

Widzisz pan, bierz przykład z wujcia.

TELESFOR.

Tak, to im się należy. I jeżeli Władysław nie
zechce — to ja wam bal wyprawię.

KAMILLA (*całuje go w rękę*).

Ach, wujaszku drogi!

PULCHERYA.

Brawo! brawo, panie pułkowniku!

TELESFOR (*zbliżając się do Władysława*).

No, zgoda?

WŁADYSŁAW.

Ależ, wuju, przecież mnie o wydatki nie idzie.
Jeżeli Janina sobie życzy, to i owszem.

TELESFOR.

O! na nic, bratku, ja pierwszy się odezwałem,
moje na wierzchu. Zresztą miałem wam i tak urzą-
dzić fetkę na moje imieniny, tylko mi ten zbrodniarz
reumatyzm przeszkodził! Za to teraz wyprawię
wam bal, co się zowie.

JANINA.

E, gdzież-by wuj...

TELESFOR (*grożąc jéj*).

No! bo będę spiskował przeciwko wam — jak
chcecie?

PULCHERYA (*do Janiny*).

Skoro wuj sobie tego życzy.

KAMILLA (*uradowana*).

Muszę wujcia uściskać za to (*ściska go i całuje*).

TELESFOR (*śmiejąc się*).

Gotówką mi płaci, i to z góry. No, no, nie tak
bardzo, bo Adolfowi ledwie oczy nie wyléżą na
wierzch. Patrz, jak się obliżuje (*do Adolfa, drażniąc
się z nim*). A! nie dla psa kielbasa.

PULCHERYA.

Więc kogoż myślicie zaprosić?

JANINA.

Prawda — kogo-by tu? Jak pani myśli?

PULCHERYA.

Najlepiej będzie spisać listę — kawałek papieru.

KAMILLA (*zrywając się*).

Zaraz, zaraz (*do Franciszka, idącego z lewej na prawo*). Franciszku, prędko papieru, atramentu!

FRANCISZEK (*wystraszony*).

O! rany bożkie! czy może kto zachorował.

KAMILLA.

Ależ gdzież tam — będziemy mieli bal.

FRANCISZEK (*uradowany*).

Tu? u nas?

KAMILLA.

Tak.

FRANCISZEK.

He, he, toż to będzie uciechy! Muszę zaraz Walentowej dać moją białą kamizelkę do prania, bo od pańskiego wesela mocno się już przybrukała.

KAMILLA.

No, śpiesz się, Franciszku.

FRANCISZEK.

Lecę, panienko (*wraca się*). Co to panienka ka-
zała przynieść?

KAMILLA.

Papier, pióro i...

FRANCISZEK.

Aha, wiem już, wiem — zaraz, zaraz (*na lewo do
drugich drzwi*).

PULCHERYA (*z żartobliwą powagą*).

A więc zapraszam panów na wojenną radę.
Będziemy układać listę gości.

KAMILLA.

Wujaszek będzie prezesem.

PULCHERYA.

Tak, tak, pan pułkownik będzie prezesem (*biorąc z Kamillą pod rękę i sadzając przy okrągłym stole na
pierwszém miejscu*).

TELESFOR.

Patrzcie, już mnie dygnitarzem zrobiły! To dy-
plomatki dopiero. To mianujcież Adolfa chociaż
sekretarzem, żeby mu zazdrość nie było.

PULCHERYA.

Dobrze. Pan Adolf będzie trzymającym pióro.
ADOLF (*siada po prawej od widzów, obok Telesfora*).

Tylko pióra nie widzę.

KAMILLA (*biegnie do drzwi na lewo*).

Zaraz będzie. — Franciszku!

FRANCISZEK (*z prawej*).

Idę, idę, panienko (*przynosi przybory do pisania —
czas jakiś z głębi przysłuchuje się z zajęciem i uciechą
rozmowie, a potem schodzi ze sceny*).

TELESFOR (*wesoło*).

Kamilka przy sekretarzu, jako pomoconik, a Wła-
dzio przy żonie (*wskazuje na lewo siedzenia*). No, po-
siedzenie otwarte.

PULCHERYA.

Kogoż więc myślicie prosić?

TELESFOR.

A, przedewszystkiém panią dobrodziejkę z mężem.

JANINA.

To się już samo przez się rozumie.

PULCHERYA.

Dziękuję za siebie i za męża. No, a potem?

TELESFOR.

Może-by wypadło zaprosić Ciuciumkiewiczów?
On mój kolega szkolny.

PULCHERYA.

Ale ona sławna bajczarka.

TELESFOR.

To się ją tém właśnie udobrucha.

WŁADYSŁAW.

Będzie to rodzaj okupu, jak owemu smokowi podwawelskiemu; trzeba-by jęj dać baraniny, żeby się nie rzucała na ludzi.

JANINA.

No, i jeżeli się nie mylę, ma cztery córki. Na wieczorze tańczącym cztery panny, to także coś znaczy.

WŁADYSŁAW.

Tak, kadryl już zapewniony.

ADOLF.

A że są brzydkie, więc nie będą robić niebezpiecznej konkurencyi innym pannom.

KAMILLA (*żywo*).

Do kogo pan to stosujesz?

ADOLF.

Do panien w ogólności.

KAMILLA.

A do mnie w szczególności — nie prawda?

TELESFOR.

No, no, ty mała, cicho tam. Wiecznie-by się tyłko klóciła.

KAMILLA (*z pewną irytacją*).

Bądź pan pewny, że mi wcale o to chodzić nie będzie, choćby się pan umizgał do wszystkich czterech panien Ciuciumkiewiczównien naraz.

TELESFOR.

Cicho! A to skaranie bozkie z tą dziewczyną!

KAMILLA.

Ja tylko odpowiadam na zaczepkę.

PULCHERYA

Ależ, państwo, piszmy, bo do jutra nie skończymy.

JANINA (*z zajęciem*).

Tak, tak, piszmy. Któż teraz?

PULCHERYA.

Ja-bym proponowała panią Fifikowską. Ta wprawdzie nie ma córek, ale za to potężny zastęp kuzynek, których dostarcza na wszystkie zabawy prywatne.

WŁADYSŁAW.

I dlatego nazywają ją wszyscy ciocią-swatką.

TELESFOR (*przypominając sobie*).

Fifikowska, Fifikowska — czekajcie, czy to nie będzie ta wdowa po majorze Fifikowskim?

PULCHERYA.

Tak. Pan ją zna?

TELESFOR.

Jak stary szeląg, pani dobrodziejko. Ale przypominam sobie, że o niej nieszczególnie mówiono we Lwowie.

KAMILLA (*kleknąwszy na stolku, opiera się na ręce*).

Jakto nieszczególnie? Dlaczego?

TELESFOR (*przedrzeźniając ją*).

Dlaczego? dlaczego? Jak będziesz taka ciekawa, to nie urośniesz. Miała jakiś feler i basta.

PULCHERYA.

Tak; ale jak odziedziczyła po babce trzy kamienice i wieś, opinia publiczna pogodziła się z nią zupełnie i dziś przyjmują ją wszędzie, była nawet gospodynią na jednym balu.

WŁADYSŁAW.

Ze względu na trzy kamienice.

ADOLF.

To może-by było lepiej kamienice zaprosić?

KAMILLA.

Pana się nikt o to nie pyta. Pan masz tylko pisać, a nie mówić.

JANINA.

To jakżeż, Władziu? Zaprosić tę panią?

WŁADYSŁAW (*wahając*).

Ja-był wolał — nie...

PULCHERYA (*zgorszona*).

A, moi drodzy! jak tak będziecie chcieli skrupulatnie roztrząsać przeszłość każdego, to zostaniecie w końcu bez gości, bo niema nikogo bez *ale*. Zresztą, to było tak dawno...

TELESFOR.

Że nastąpiło przedawnienie. Pal ją licha! — ja wotuję za tę panią.

WŁADYSŁAW.

Ha, skoro wujaszek, to i my. — „Nie sądz, nie będziesz sądzony“.

ADOLF (*pisząc*).

A więc, większością głosów, Fifikowska z przyległościami.

KAMILLA.

Z jakimi znowu przyległościami?

ADOLF.

No, z kuzynkami.

KAMILLA (*kręcąc głową, z przekąsem*).

Jaki pan dowcipny.

PULCHERYA (*przypominając sobie, żywo*).

A! zapomnieliśmy o bardzo ważnej figurze — Pieprzyńska.

ADOLF.

Z ilu córkami?

PULCHERYA.

Córkami? Przecież to panna.

ADOLF.

Przepraszam, nie wiedziałem.

PULCHERYA.

Ale panna już w tym wieku, że śmiało może pokazywać się bez opieki: ma lat przeszło pięćdziesiąt.

TELESFOR.

Porządnie zakonserwowane panieństwo.

JANINA.

To cóż ona tu będzie robić u nas?

PULCHERYA (*z ważnością*).

Jest kanoniczką i do tego frejliną jakiegoś dworu panującego. To też zapraszają ją wszędzie, bo to niemała ozdoba salonu taka figura.

JANINA.

Ależ my nie znamy tej pani.

PULCHERYA.

Nie łatwiejszego. Zapiszesz się na członka stowarzyszenia „Drabiny cnót chrześcijańskich”, którego jest prezesową, i znajomość gotowa.

ADOLF (*pisze*).

Więc pani, to jest chciałem powiedzieć: panna Pieprzyńska, dla udekorowania salonu.

JANINA.

Ja sądzę, że już dosyć będzie pań.

KAMILLA.

O! aż nadto! Tylko teraz panów, i to samych młodych.

TELESFOR (*trącając Adolfa*).

Uważasz, jak cię pikuje.

KAMILLA (*z pewnym naciskiem*).

I do tego przystojnych.

TELESFOR.

O! o! widzisz ją... jaka mi chciwa chłopców! A nie masz to swojego?

KAMILLA

Od przybytku głowa nie boli.

TELESFOR.

Dam ja ci tu przybytek!

JANINA.

Co do młodzieży, może-byś, Władziu, mógł poprosić swoich kolegów biurowych?

WŁADYSŁAW.

Wszyscy żonaci. Jeden Fikalski...

PULCHERYA.

Fikalski, właśnie o tego głównie chodzi. To znakomity aranżer. Panowie pracujecie w jednym biurze?

WŁADYSŁAW.

Jesteśmy w jednym biurze, ale nie pracujemy, bo on ciągle zajęty aranżowaniem kuligów, pikników, teatrów amatorskich; a że dyrektor potrzebuje nieraz jego usług w tym względzie, więc ma nieograniczony urlop.

PULCHERYA.

No, ale znacie się panowie?

JANINA.

Bywa nawet u nas.

WŁADYSŁAW.

Jak mu potrzeba, żebyśmy wyrobił za niego jakiś re-
ferat.

PULCHERYA.

No, skoro się znacie z Fikalskim, to już niema kłopotu, bo on wam i bał urządzi, i młodzież sprowadzi.

KAMILLA (*ucinkowo*).

Ja myślę, że i pan Adolf z łaski swojej mógłby się także postarać o jaką młodzież między swoimi znajomymi.

ADOLF (*przekomarzając się*).

A co za to dostanę?

KAMILLA.

Najpierw się robi, potem się płaci.

TELESFOR.

A dajcież już spokój. Ciagle sobie skaczą do oczu, jak dwa kogutki, kikiryki!

PULCHERYA (*nie patrząc na nikogo i skubiąc chustkę*).

Prawda! I ja przypomniałam sobie, że znam jednego młodego człowieka, którego mogli-byście za-prosić, niejaki Malinowski, może znacie?

TELESFOR.

Któż z nas nie znał się z Malinowskim, pani do-brodziejko!

PULCHERYA (*j. w., wstaje*).

Bardzo miły i przyzwoity młodzieniec. Bywa po znacznych domach.

ADOLF (*trzymając pióro*).

A jego adres?

PULCHERYA (*j. w.*).

Nie przypominam sobie dokładnie. Mnie się zda-je, że ulica Kopernika, numer dwudziesty, pierwsze piętro, jeżeli się nie mylę, drugie drzwi na lewo (*mó-wiąc to, przechodzi na prawo do kanapy*).

WŁADYSŁAW (*z uśmiechem na stronie*).

No, jak na niedokładne przypomnienie, to wcale dokładny adres.

SCENA IV.

CIŻ I FIKALSKI (*brunet, łysawy, modnie uczesany, fawory-ty angielskie, wąsik nieduży, szkiełko w oku, nogi trochę zgięte w kolanach. — Pod pachą trzyma papiery*).

JANINA (*ujrawszy wchodzącego, ucieszona wstaje*).

A! pan Fikalski! (*idzie kroków parę na powita-nie go*).

KAMILLA (*zrywając się, klaszcze w ręce i biegnie na-przeciw*).

Pan Fikalski! pan Fikalski!

PULCHERYA (*wstaje także i idzie ku niemu*).

W samą porę. Prosimy (*prowadzą go na przed-sceny*).

FIKALSKI (*schylając nisko głowę*).

O, panie! Ten wyraz uznania z waszój strony i życzliwość czyni mnie nad wyraz szczęśliwym.

JANINA.

Niech pan siada.

KAMILLA.

Tu, na kanapie (*odbiera mu z rąk kapelusz i kładzie na stolyczku, gdzie szachy*).

TELESFOR (*do Władysława*).

No, i wierz tu kobietom. Przed chwilą wujaszek był cacany, jedyny, najdroższy, a teraz, jak się zjawił inny, mnie starego puściły w trąbę.

ADOLF.

I nas przy wujaszku.

TELESFOR.

O! (*nuci*). Kobiety zmienne są, ich serca płochę.

PULCHERYA.

Spadłeś nam pan, jak z nieba.

JANINA.

Właśnie mówiliśmy o panu.

FIKALSKI (*wstaje*).

Za pozwoleniem, za chwileczkę będę służył paniom (*idzie z papierami do Władysława*). Drogi koleżko!

WŁADYSŁAW (*z pobłażliwym uśmiechem*).

Zapewne referacik?

FIKALSKI.

Zgadłeś, ale bo widzisz, jestem tak zajęty, że moje życie, to ciągła walka z brakiem czasu.

WŁADYSŁAW (*biorąc papiery*).

Dobrze już, dobrze, dawaj (*idzie w głąb; przegląda papiery*).

FIKALSKI.

Mój drogi, wdzięczność moja (*ściska go za rękę*)...

WŁADYSŁAW.

I tam dalej. Idź lepiej do pań, bo czekają.

FIKALSKI (*wraca do pań*).

Więc o cóż chodzi? Czém-że mogę służyć kochanym paniom? (*siada na fotelu obok kanapy*).

JANINA.

Checiałyśmy prosić pana...

PULCHERYA (*prawie równocześnie z Janiną*).

Urządzamy wieczór tańczący...

KAMILLA (*wpadając prędko w słowa Pulcheryi*).

A że nie mamy młodzieży...

JANINA (*j. w.*).

A pan, przy tylu stosunkach, znajomościach...

PULCHERYA (*j. w.*).

Taki znakomity aranżer...

KAMILLA (*j. w.*).

Więc mamy nadzieję, że (*wstaje*)...

TELESFOR (*stając przed kanapą, ze śmiechem*).

Ależ jak będziecie tak wszystkie naraz kłapać mu za uszami, to będzie jak tabaka w rogu.

FIKALSKI.

Rzeczywiście, nie domyślam się jeszcze...

TELESFOR.

Niech-że jedna mówi.

KAMILLA.

Mów, Janino.

JANINA.

Może pani Pulcherya?

PULCHERYA.

A, nie, przecież ty, jako gospodyni...

TELESFOR.

Macie państwo! teraz znowu żadna nie chce.
Otóż, uważa pan, idzie poprostu o to...

KAMILLA (*wpadając w słowa*).

Że mamy do pana...

JANINA (*tak samo*).

Wielką prośbę.

(*Adolf zbliża się do Kamilli*).

FIKALSKI.

Nie jedną, ale sto, tysiąc, łaskawe panie, a spełnię je z ochotą, bo być na rozkazy pań, to mój obowiązek, — więcej, niż obowiązek, przyjemność, — więcej, niż przyjemność: szczęście!

KAMILLA (*do Adolfa*).

Przysłuchaj się pan, jak się to mówi do pań. Pan pewnie nigdy nie zdobędziesz się na coś podobnego.

ADOLF.

Gotów jestem iść na praktykę do tego pana, dla miłości pani.

KAMILLA.

Nie zaszkodziło-by to panu.

FIKALSKI.

Więc o cóż idzie ostatecznie?

PULCHERYA.

Krótko mówiąc, państwo Żelscy urządzają wieczór tańczący i liczą na pana...

JANINA.

Że nam pan nie odmówisz swego udziału.

FIKALSKI (*z powagą, potrząsając głową*).
To jest czystym niepodobieństwem.

JANINA.

Co pan mówi?

FIKALSKI.

Fizyczna niemożebność.

PULCHERYA.

Dlaczego?

FIKALSKI.

Dla tej prostej przyczyny, że do końca karnawału nie mam już jednego wieczoru wolnego, jednej nocy, którą mógł-bym paniom poświęcić (*wyjmując notatki*). Proszę się przypatrzeć (*wskazuje ołówkiem*). Dziś bal prawników, na który jestem zaproszony do prowadzenia tańców; jutro wieczór tańczący u dyrektora banku; pojutrze u Lypkiewiczów; na sobotę mam aż trzy zaproszenia, i tak aż do końca karnawału. Patrz pani (*mówi te ostatnie słowa do Pulcheryi, której podaje swoje notatki*).

TELESFOR (*do Władysława*).
Kiedyż ten człowiek śpi właściwie?

WŁADYSŁAW.

W biurze.

TELESFOR (*śmiejąc się*).

A, tak.

FIKALSKI.

Dodajcie, panie, jeszcze do tego teatr amatorski w resursie, którego jestem reżyserem, żywe obrazy z „Pana Tadeusza“ na dochód Świętego Wincentego à Paulo, loteryą na Salomejki, imieniny u mecenasa Krupkiewicza, trzy obiady składkowe dla naszych znakomitości politycznych i dwa wesela: a sądzę, że będziecie mnie, panie, miały za zupełnie wytłomaczonego.

KAMILLA.

Ach! mój Boże, i cóż my teraz pocniemy?

JANINA.

Myśmy tak liczyły na pana.

PULCHERYA.

Więc ani jednego wieczorku? (*otwiera notatki Fikalskiego, przegląda i idzie na srodek sceny*).

TELESFOR (*do Władysława*).

Czy te kobiety powaryowały? Cóżmy to bez niego nie zrobimy sobie balu? Koniecznie im się za chciało tego Fikalskiego, jakby to on jeden był na świecie.

PULCHERYA (*z radością*).

Jest, jest jeden wieczór.

JANINA (*zbliża się i zagląda do notatki, ucieszona*).

Czy być może?

PULCHERYA.

O, patrzcie, w środę miał być pan Alfons u Krykiewiczów (*do Fikalskiego*). Nie prawda?

FIKALSKI.

Tak, koncert i wieczór tańczący.

PULCHERYA.

No, ale u Krykiewiczów szkarlatyna.

KAMILLA (*klaszcząc w ręce*).

Ach, jak to dobrze!

TELESFOR.

Kamilko! bój się Boga!

KAMILLA (*sposzregłszy się, co powiedziała*).

Ale ja nie to chciałam powiedzieć, wujaszku (*tłómaczy się po cichu i wraca do Fikalskiego*).

FIKALSKI.

Czy tylko pani wieś napewno, że tam szkarlatyna?

PULCHERYA.

Doktor mi mówił, który tam leczy.

FIKALSKI.

A, w takim razie cieszcie się panie, możecie się nazwać szczęśliwemi, bo w środę jestem na wasze usługi.

JANINA.

Ach, jaki pan dobry.

KAMILLA.

A przyprowadzisz nam pan kawalerów?

FIKALSKI.

Ilu tylko panie zechcą!

KAMILLA (*patrząc na Adolfa, czy widzi jej radość*).

Ach, to dobrze!

JANINA.

I będzie pan łaskaw prowadzić tańce?

FIKALSKI (*kłania się głęboko*).

Pani! Będę się starał godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu. Na ile par obliczony wieczorek?

JANINA.

Ja myślę, że będzie może koło szesnastu (*do Pulcheryi*). Prawda?

PULCHERYA.

Tak, najwyższej szesnaście.

FIKALSKI (*poważnie*).

No, w szesnaście par to już da się coś zrobić, jakich kilka figur większych (*chwilkę się namyśla, potem, podnosząc głowę*). A rozmiary sali?

JANINA (*wskazując pokój*).

Jak pan widzi.

FIKALSKI (*zdziwiony*).

Tu?

JANINA.

Tak, to nasz jedyny salonik.

FIKALSKI (*z powagą potrząsa głową*).

To, pani, czyste niepodobieństwo.

JANINA.

Jakto? dlaczego?

FIKALSKI.

Proszę pani, co tu można zrobić, w takim miniaturowym saloniku? Zaledwie krzyż najprostszy, ósemkę i coś tam jeszcze; no, a gdzież waż, ulica, ułańska figura, bramki, krzyż podwójny? Tu ani marzyć o czémś podobnym nie można.

TELESFOR.

Proszę pana, a czy to koniecznie takie wymysły? Wszak idzie tylko o to, żeby sobie młodzi poskakali.

FIKALSKI (*z powagą*).

Ja nie umiem, panie, inaczej urządzać zabawy. Moja fantazyja choreograficzna, jak koń stepowy, potrzebuje przestrzeni, perspektywy, światła.

JANINA.

Cóż więc zrobimy?

FIKALSKI.

Czy nie macie tu państwo jakiego większego pokoju?

JANINA.

Jest jadalny.

FIKALSKI.

No, toby go przerobić na bawialny.

JANINA.

Ach, panie, co-by to było kłopotu, ruinacyi, trzeba-by nowe tapety....

FIKALSKI.

To darmo, pani. Jeżeli idzie o to, żeby się wieczór udał, to wszystkie inne względy ustąpić powinny.

WŁADYSŁAW.

Ależ, kolego, dla jednego wieczoru, czy to warto?

FIKALSKI.

Dla panów taki wieczór wydaje się drobnostką, bo panowie zapatrujecie się na taniec, jako na zwykłą zabawę, nie prawda?

TELESFOR.

No, bardzo naturalnie.

(*Pulcherya zbliża się do Janiny*).

FIKALSKI.

A widzi pan! gdy tymczasem ja zapatruję się na tę rzecz z całkiem innego stanowiska. Dla mnie taniec, to jeden z najważniejszych czynników społecznych, jako najdzielniejszy środek rozbudzenia życia towarzyskiego, kojarzenia związków rodzinnych — mówię tu o małżeństwach, które, jak panom wiadomo, zawiązują się przeważnie na balach—a w końcu, jako neutralny teren, na którym spotykają się i zbliżają do siebie ludzie najrozmaitszych przekonań, wyznań *et caetera*.

TELESFOR (*z ukrytym śmiechem, do Władysława*).

Co ten plecie?

FIKALSKI.

Będę miał nawet parę odczytów w tym przedmiocie.

TELESFOR (*z ukrytym śmiechem*).

Odczyt o tańcu?

FIKALSKI (*z dumą*).

Tak, panie, w połowie postu, na rzecz moralnie zaniedbanych kobiet.

PULCHERYA (*do Janiny, z którą rozmawiała przez chwilę po cichu*).

Trzeba zrobić, skoro tego chce, bo inaczej gotów się cofnąć.

JANINA.

No, to może pan będzie łaskaw zobaczyć ten pokój i osądzić sam....

FIKALSKI.

Służę pani — gdzież to?

JANINA (*wskazując na lewo*).

Tam, proszę pana (*do Pulcheryi*). Może i pani?

PULCHERYA.

To się rozumié (*idzie z Janiną i, zwracając się do Kamilli, woła ją*). Kamilko! (*wychodzi do pierwszych drzwi na lewo z Janiną i Fikalskim*).

KAMILLA (*przy drzwiach, widząc, że Adolf za nią nie idzie*).

Panie Adolfie, no, a pan?

ADOLF.

Ja także do komisji rozpoznawczej? (*idzie za nią*).
Taki zaszczyt.

KAMILLA.

Tylko bez tych żartów, bardzo proszę (*wychodzą*).
TELESFOR (*idzie na prawo do fotelu, parszkając głośnym śmiechem*).

A niech-że go kule biją!... taniec, jako najważniejszy czynnik społeczny... niech go nie znam! (*upada ze śmiechem na fotel*). Małom się nie udusił ze śmiechu. Ha! ha! człowiek, panie, w życiu tyle ładnych dziewcząt naobracał i nigdy mi nie przyszło na myśl, że oddaje tём takie ważne usługi ludzkości.

WŁADYSŁAW (*z uśmiechem*).

Tak, tak, wuju, my teraz wszystko robimy dla jakiejś idei, traktujemy każdą rzecz poważnie, ze stanowiska naukowego. Objadamy się z mikroskopem w ręku i podręcznikiem chemii organicznej w kieszeni; upijamy się, analizując zawartość i składniki płynów, które wlewamy w siebie; tańczymy ze świadomością celów, dla których tańczymy; poruszamy się, śpiemy, oddychamy ściśle według zasad higieny, słowem, żyjemy na seryo, umiejętnie.

TELESFOR.

A niech was kule biją, z waszemi umiejętnościami! Myśmy tego wszystkiego nie znali, a byliśmy zdrowsi, niż wy z waszemi analizami, chemiami, dyablami. Czy to słyszana rzecz, żeby ktoś do tańca zabierał się z takimi ceregielami? Zeszło się, panie, trochę panien i kawaleryi, zagrał kto, bodaj

na grzebieniu, i hulaj dusza. To też my się bawili całą duszą, z ogniem, aż miło wspomnieć sobie, panie dzieju!

SCENA V.

TELESFOR, WŁADYSŁAW, WICHERKOWSKI.

WŁADYSŁAW.

A! pan Wicherkowski! Szukasz pan zapewne swojej żony (*wita go*). Jest, jest, nie zginęła.

WICHERKOWSKI.

Wiem o tём. Weszła tutaj o trzy kwadransy na piątą i minut cztery.

TELESFOR.

Na minutę nie chybił.

WICHERKOWSKI.

A w male pół godziny potём wszedł za nią Fikalski. A co? czy tak?

WŁADYSŁAW.

Jesteś pan może zazdrosny o Fikalskiego?

WICHERKOWSKI.

Ja zazdrosny? Uchowaj Boże. Ja o nikogo nie jestem zazdrosny, ja tylko czuwam nad moją żoną, jak oko Opatrzności, bo każda kobieta jest słabą i ułomną istotą i potrzebuje ciągłej opieki mężczyzny. Przepraszam pana, czy tam jest kto więcej z nimi?

WŁADYSŁAW.

Jest, jest, nie bój się pan, jest i żona, i Kamilla, i Adolf.

WICHERKOWSKI.

To już dobrze, to już dobrze, bo, uważa pan, ten Fikalski zaczyna mi się niepodobać.

TELESFOR.

Daj mu pan pokój, jemu tylko taniec w głowie.

WICHERKOWSKI.

Właśnie, widzi pan, uważam, że za wiele tańczy z moją żoną.

TELESFOR.

No, cóż w tém złego, że sobie tam walczyka, albo poleczkę...

WICHERKOWSKI.

Niech Bóg broni! moja żona nie tańczy nigdy żadnych wirowych tańców.

TELESFOR.

A to dlaczego?

WICHERKOWSKI.

Dlaczego? pan się jeszcze pyta?

TELESFOR.

No, bo dalibóg nie rozumiem.

WICHERKOWSKI.

Proszę pana, co-byś pan zrobił, gdybyś tak, wszedłszy nagle do pokoju, zastał jakiego mężczyznę, który-by trzymał w objęciach, ot tak (*bierze go jak do tańca*) pańską żonę? No, co-byś pan zrobił?

TELESFOR (*śmiejąc się*).

Czy ja wiem, kiedy ja nigdy żony nie miałem.

WICHERKOWSKI (*puszcza go*).

A prawda, pan kawaler (*do Władysława*). No, ale pan co-byś powiedział? a czy w tańcu dzieje się co innego? Jakiś pierwszy lepszy facet bierze pańską żonę bez ceremonii i wywija nią, jak pomiotłem, po całej sali, to w lewo, to w prawo, to w tył, to na przód, jak mu się żywnie podoba.

TELESFOR.

E, jakbyśmy wszystko tak skrupulatnie brali! Skoro taki zwyczaj...

WICHERKOWSKI.

Zwyczaj najniemoralniejszy, proszę pana, i powinien być policyjnie zakazany. Bo pomyśl pan tylko, co taki zbrodniarz może przez ten czas biednej kobiecie do ucha nagadać, nie mówiąc już o uściskach. Dlatego moja żona nie tańczy nigdy wirowych tańców, bo tam wszelka kontrola dla męża staje się niemożliwą.

WŁADYSŁAW.

No, i żona pańska zgadza się na to?

WICHERKOWSKI.

Bo ja jej nie wzbraniam, tylko doktor.

WŁADYSŁAW.

A, rozumiem.

WICHERKOWSKI.

Niby pod pozorem, że jej to może spowodować uderzenie krwi do głowy, zawrót, a nawet apopleksję.

TELESFOR.

Mądry szpaczek z pana.

WICHERKOWSKI.

To mój systemat, panie, niby niewidzialna ręka Opatrzności usuwam jęj z drogi wszelkie pokusy, jak to ta kościelna pieśń powiada: „Aniołom twoim każę cię pilnować“.

TELESFOR.

„Byś snadź o kamień nie obraził nogi“.

WICHERKOWSKI.

Otóż ja jestem takim aniołem dla mojęj żony. Oddałem się temu duszą i ciałem: to, panie, mój żywioł, moja pasya, moja ambicya. Inni mają ambicyą zostania posłem, radcą sławnym człowiekiem; ja mam ambicyą być aniołem stróżem mojęj Pulcheryi.

WŁADYSŁAW.

No, ale po tylu latach mógł-byś pan już sobie trochę oszczędzić tego stróżowania. Pańska żona jest już w tym wieku (*siada*)...

WICHERKOWSKI (*siada*).

O! to się pan grubo mylisz; to, panie, wiek najniebezpieczniejszy. Kobieta, jak owoc, im dojrzała, tém skłonejsza do upadku: dlatego wymaga podwójnej opieki. Ot, nie dawniej jak zeszłego tygodnia, proszę panów, wracaliśmy nocnym pociągami z Tarnowa w towarzystwie niejakiego Malinowskiego...

TELESFOR (*żywo, ruszywszy się na stolku*).

Malinowski, Władziu, czy to nie ten...

WICHERKOWSKI.

Znacie go? Bardzo skromny i przyzwoity młodzieniec, i nigdy nie patrzy na kobiety. O! bo ja uważam na to. Ale był tam drugi, który usadowił się *vis à vis* nas i od czasu do czasu łyp oczyma na moję Pulcheryą. Myślę sobie: źle, baczność, trzeba być ostrożnym...

TELESFOR.

No, i miej-że tu żonę. Człowiek nawet noey nie może mieć spokojnej.

WICHERKOWSKI.

To nie. Słuchajcie, panowie, co się dalej stało: Jedziemy, — lampa świeci się coraz słabiej, słabiej, nareszcie gaśnie... no, rozumię się, bo tym panom kolejnikom idzie więcej o naftę, niż o moralność. Co ich to obchodzi, że tam czyjaś żona...

TELESFOR (*zaciekawiony*).

No, no, cóż dalej?

WICHERKOWSKI.

Jak przewidziałem, młodzik rozpoczął atak: wysunął najprzód jedną nogę w stronę, gdzie siedziała moja żona. Chciał jęj zbrodniarz tą drogą zatelegrafować swoje uczucia; ale ja depeszę przejąłem na koniec mego buta i odtelegrafowałem nawzajem.

TELESFOR (*śmiejąc się*).

A niech-że pana nie znam!

WŁADYSŁAW.

Byleś pan rodzajem konduktora elektrycznego, asekurującego żonę.

WICHERKOWSKI.

Właśnie. Po jakimś czasie, ośmielony tą pobłażliwością moją, a względnie mojej żony, idzie krok dalej, bo wysunął rękę wśród ciemności.

TELESFOR.

W stronę pańskiej żony?

WICHERKOWSKI.

Tak, i spotyka po drodze moję. On mnie ścisnął, ja jego, i tak ściskamy się przez parę stacyi; aż w Bochni, gdy latarnie dworca oświeciły wnętrze naszego wagonu, (z mocą) ścisnąłem go, panie, na ostatku tak, że mu pewnie na długo odejdzie ochota do sięgania po cudzą własność.

WŁADYSŁAW.

I cóż on na to?

WICHERKOWSKI.

Nie, poszedł sobie, jak zmyty, a moja Pulcherya tymczasem w błogiej niewiedomości o niebezpieczeństwie, jakie zagrażało jej enocie, rozmawiała sobie najspokojniej z Malinowskim. Widzicie, panowie, to mój systemat.

TELESFOR.

Dobry, niema co mówić!

WŁADYSŁAW (z uśmiechem).

Tylko czy praktyczny?

SCENA VI.

CIŻ, JANINA, FIKALSKI.

JANINA (*wchodząc z lewej*).

Więc skoro pan utrzymuje, że to konieczne...

FIKALSKI (*idąc obok niej*).

Niezbędne, pani dobrodziejko.

JANINA.

To zrobimy, jak pan radzisz; a! pan Wicherkowski!

WICHERKOWSKI.

Całuję rucie pani dobrodziejki (*z naciskiem*). Witam pana, panie Fikalski (*do Telesfora*). Uważasz pan, jak zbladł.

TELESFOR.

Nie widać tego jakoś!

WICHERKOWSKI.

Bo nie masz takiego oka, jak ja. Przede mną nie się nie ukryje.

FIKALSKI (*do Janiny, nieco w głębi*).

Niech pani będzie spokojną. Skoro ja mówię, że się bal uda, to się udać musi. Już to moja w tém rzecz. Żegnam panie (*do panów*). Moje uszanowanie (*wychodzi*).

WICHERKOWSKI.

O jakim on to balu mówił?

WŁADYSŁAW.

U nas. Dajemy wieczorek tańczący.

JANINA.

Spodziewamy się, że pan nam nie odmówisz; pani Pulcherya już przyrzekła.

WICHERKOWSKI (*do Władysława*).

Jakto? Pan dajesz wieczory tańczące u siebie? chcesz prowadzić otwarty dom? (*z powagą*). Nie radzę panu, będziesz tego żałował.

JANINA.

A to ślicznie buntować mi męża!

WICHERKOWSKI.

Pani dobrodziejo, robię to w interesie samej pani, dla jej własnego spokoju.

WŁADYSŁAW.

Przecież sam pan bywasz z żoną po balach.

WICHERKOWSKI.

Ba, ba, to gruba różnica, bywać, a dawać. Na balu, proszę państwa, jak mi się coś nie podoba w postępowaniu mojej żony, albo widzę, że młodzień zbytecznie jej nadskakuje, dostaję nagle gwałtownej migreny, albo inną jakąś nieszkodliwą słabości i historia skończona. Gdy tymczasem u siebie tego sobie pozwolić nie można, za drzwi także nie wypada wyrzucić zaraz każdego, kto mi się nie spodoba, tylko trzeba cierpieć i jeszcze karmić i poić tych, co mi krew psują. Dlatego ja z zasady nie przyjmuję nikogo, żeby ochronić mój dom od tej strasznej szarańczy, jaką są kawalerowie.

TELESFOR (*z głębi, gdzie nakłada fajkę*).

No, no, tylko tam ostrożnie o kawalerach, bo to i ja kawałek kawalera.

WICHERKOWSKI (*klepiąc go*).

He, he, pan dobrodziej liczysz się już do nieszkodliwych.

TELESFOR (*z udanym gniewem*).

Co? — Władziu, słyszysz ty, co mi ten tu za impertynencye gada? Ejże, nie wywołuj pan wilka z lasu, bo ci pokażę, co umiem, jak ci własną żonę zbałamucę.

WICHERKOWSKI.

Na pana dobrodzieja to-bym się jeszcze zgodził. Ale ci młodzi, to zbrodniarze, złodzieje, panie dobrodzieju, którzy czyhają na cudzą własność. Ja, gdybym był ministrem skarbu, to-bym, panie, tych zbrodniarzy wszystkich opodatkował, i to grubo. Każdy, panie, kawaler od lat dwudziestu, co mówię, od szesnastu, bo i ci już także teraz zaczynają być niebezpiecznymi, musiał-by od kawalerstwa płacić podatek, i to coraz większy, dopóki-by się nie ożenił, albo nie doszedł do wieku, w którym kawaler przestaje już być niebezpiecznym. Był-by to rodzaj cla ochronnego dla instytucji małżeńskiej.

JANINA (*siadając na kanapie*).

Ja sądzę, że najlepszą jej ochroną jest miłość wzajemna. Potrzeba przecież także, panie Wicherkowski, liczyć trochę na uczciwość żon, na ich charakter.

WICHERKOWSKI.

Pani dobrodziejko, często najuczciwsza kobieta staje się ofiarą ich przewrotności i pyszałkowstwa. Ot, niedawno w którymś handelku, niejaki pan, nazwijmy go X, siedząc w osobnym gabinecie, usłyszał, jak przez ścianę jakiś młodzik chwalił się w gronie swoich przyjaciół, że pani X zaszczyca go swemi względami, że go kokietuje w teatrze, że podczas kadryla ścisnęła go za rękę, że... i tak dalej, i tak dalej. To był fałsz wierutny, bo pani X jest godną niewiastą i oprócz tego, że się zanadto dekoltuje, opinia publiczna nie ma jęj nic do zarzucenia. No, ale cóż wypadło robić mężowi, który słyszał szarpanty w ten sposób honor żony? Rad-nie-rad, musiał wyzwać śmiałka.

JANINA.

Pojedynek?

WŁADYSŁAW.

No, ja sędzę, że mu nic innego nie zostawało.

JANINA.

I cóż się stało?

WICHERKOWSKI.

Co mogło się stać najgorszego. Pan X jest ciężko ranny i lekarze wątpią podobno o jego życiu.

JANINA.

Ależ to okropne! I to dla jakiegoś tam smarkacza, pyszałka...

WICHERKOWSKI.

A widzi pani!

SCENA VII.

Ciż, KAMILLA (*później*) ADOLF, PULCHERYA.

KAMILLA (*wychylając głowę*).

Janinko!

JANINA.

A co tam?

KAMILLA.

Jest tu do ciebie interesik. — Dobry wieczór, panie Wicherkowski.

WICHERKOWSKI.

A, sługa.

KAMILLA.

Zaraz panom służyć będziemy, za chwileczkę (*chowa się, za nią wchodzi Janina*).

WICHERKOWSKI (*do Władysława*).

Uważałeś pan, jakie to na pańskiej żonie zrobiło wrażenie? Choć, między nami mówiąc, cała ta historia jest zmyślona.

WŁADYSŁAW.

Co?

TELESFOR.

Nie prawdziwa?

WICHERKOWSKI.

Od początku do końca. Ale to mój systemat. Od czasu do czasu komponuję takie opowiadania moralne, zastosowane do okoliczności, dla zbudowania

mojej żony. To bardzo dobry skutek robi. Zobaczysz pan, że po tém opowiadaniu pańskiej żonie odechce się i balów, i zabaw; zobaczysz pan; to mój systemat.

JANINA (*wchodzi z lewej, za nią Kamilla, Adolf, Pulcherya*).

Więc, mężusiu, rzecz już ułożona, idzie tylko o twoję aprobatę.

WŁADYSŁAW.

O co takiego?

JANINA (*głaszcząc go po twarzy*).

Żebyś nam pozwolił salę jadalną przemienić na balową.

WŁADYSŁAW (*do Wicherkowskiego*).

Słyszysz pan? (*śmieje się*).

TELESFOR (*śmiejąc się także*).

A toś ją pan przekonał doskonale!

JANINA (*zdziwiona*).

Z czego się panowie śmiejecie?

WŁADYSŁAW.

Nie, nie — z systematu pana Wicherkowskiego.

TELESFOR (*j w.*).

A bodaj go z jego systematem!

Kurtyna zapada.

K o n i e c a k t u I.

AKT II.

(Pokój ten sam, ze zmianami. Na środku sali wisi ozdobny świecznik, pod którym chwilowo postawiony stolik i obok krzeselko).

SCENA I.

FRANCISZEK *sam*, *potém* KAMILLA.

FRANCISZEK (*w tuzurku czarnym, białej kamizelce i krawacie, ogolony, stoi na stoliku z pudełkiem zapalek i zaświeca świecznik*).

Cóż u licha dzisiaj z temi zapalkami, że się żadna zapalić nie chce? (*pociera, zapalka gaśnie*). No. A bodaj cię! (*rzuca ją*). Im się bardziej człowiek spieszy, tém gorzej jeszcze... (*pociera znowu*).

KAMILLA (*z drugich drzwi na lewo, w balowej sukni, wyciętej w karo*).

Franciszku! jakto, jeszcze nie zapalony świecznik? Bój się Boga!

FRANCISZEK.

Duchem będzie, panienko, tylko te szelmoskie zapalki... o! co którą zapalę, to zgaśnie.

KAMILLA.

Niech się Franciszek usunie, ja sama zapalę.

FRANCISZEK.

Ale gdzież-by znowu panienka się fatygowała.

KAMILLA.

Prędzěj, prędzěj! Trzeba się śpieszyć, bo już goście w salonie.

FRANCISZEK (*schodzi niezgrabnie, potem mówi*).

Ja panienkę podsadzę.

KAMILLA.

Nie potrzeba (*wybiega na stół, a potem na stolik*).

FRANCISZEK.

Tylko ostrożnie.

KAMILLA.

Podaj mi zapalki.

FRANCISZEK.

Zaraz, zaraz (*wyjmując z kieszeni i z wielkiego pośpiechu upuszcza*). A, Jezus Marya! panienka jak ogień, wszystko mi z rąk leci z tego pośpiechu. Oto są (*Kamilla zapala, Franciszek z podniesioną do góry głową przypatruje się temu*). He, he, jak też to panience zgrabnie idzie, to nie tak, jak mnie staremu (*obchodzi dokoła stolika z drugiej strony*). Jeszcze tu panienka jedną opuściła (*po chwili*). He, he, toż to dopiero będzie bal u nas, prawdziwie książęcy. Żeby panienka widziała, co starszy pan wina nakupił, to strach, a jakich przeróżnych cukrów naprzynoszono z cukierni.

KAMILLA.

Nieoceniony wujaszek. Bo to on ten bal wyprawia.

FRANCISZEK.

A wiem, wiem. E, to się też panienka wytańczy za wszystkie czasy, z panem Adolfem, prawda?

SCENA II.

CIŻ I ADOLF.

ADOLF (*z głębi, w balowym stroju*).

O! cóż to? panna Kamilla została, jak widzę, ministrem oświecenia!

KAMILLA (*wesoło*).

Dobry wieczór panu! No, cóż? dużo młodzieży zamówiłeś pan na dzisiejszy wieczór?

ADOLF (*wskazując na siebie*).

To wszystko, co pani widzisz.

KAMILLA.

Jakto?

ADOLF.

Oprócz siebie, nikogo więcej.

KAMILLA.

O! nie wierzę panu. Pan żartujesz tylko, aby się ze mną drażnić.

ADOLF.

Na seryo mówię, jak panią kocham.

KAMILLA (*z gniewem*).

I pan śmiesz jeszcze pokazywać mi się na oczy?
Toś pan tak uważał na moje prośby?

ADOLF.

Panno Kamillo! robiłem, co mogłem. Przez trzy dni laziłem po wszystkich moich znajomych, zrobiłem jakie kilkadziesiąt pięter; ale teraz młodzi panowie okropnie wybredni, drożą się, jak Bóg wie co; chcą wiedzieć naprzód, jaka będzie kolacya, jaka muzyka, jaka posadzka, jakie panny, czy ładne, czy posażne.

KAMILLA.

Tak, teraz panu nie wypada tłumaczyć się inaczej; ale ja panu ani słóweczka nie wierzę.

ADOLF.

Panno Kamillo!

KAMILLA.

O, ja to widzę dobrze, że pan od samego początku niechętny był temu balowi.

ADOLF.

Jakiż-bym miał powód?

KAMILLA.

Bo pan nie życzysz sobie, żeby tu kto więcej bawił, prócz pana (*drwiąc*), żebyś pan się mógł lepiej wydać.

ADOLF.

Ależ, panno Kamillo...

KAMILLA.

Nie nie słucham. Nie gadam z panem (*chce zejść*).

ADOLF (*podając jej rękę*).

Służę pani.

KAMILLA.

Ja nie chcę, nie potrzebuję pańskiej ręki. Idź pan sobie!

ADOLF.

Ależ pani spadnie.

KAMILLA.

Co panu do tego?

ADOLF.

Złamię pani nóżkę; jakże pani potem będzie tańczyć?

KAMILLA.

Złamię, to swoją nie pańską. Niech mi Franciszek da rękę (*schodzi z pomocą Franciszka*).

ADOLF (*zbliża się do niej*).

Jeszcześmy się nie przywitali (*podaje jej rękę*).

KAMILLA.

Obejdzcie się. Mówiłam już raz panu, że się gniewam.

FRANCISZEK (*wynosząc stół, a potem stółek*).

No, ci się muszą dopiero rzetelnie kochać, bo się ciągle kłócą.

ADOLF.

Ale, pomimo to, można panią prosić do pierwszego kadryla?

KAMILLA (*krótco*).

Już tańczę.

ADOLF.

To do drugiego.

KAMILLA.

Do drugiego także już jestem zaangażowana.

ADOLF.

Któż się tak pospieszył?

KAMILLA.

A co panu do tego?

ADOLF.

No, to może do mazura?

KAMILLA.

I mazura, i polki, i walce, wszystko już mam zajęte, jestem zaangażowaną na cały wieczór.

ADOLF.

Tak?

KAMILLA.

Tak.

ADOLF.

Ha, to i ja będę się musiał postarać o inne tan-serki. Ja myślę, że ich nie braknie dzisiaj (*klania się żartobliwie*). Pani! (*odchodzi na lewo do pierwszych drzwi*).

KAMILLA (*d. s.*).

Może-by mu dać choć jeden taniec? (*biegnie za nim*). Panie A... (*wraca się*). Nie, muszę go ukarać, bo zasłużył na to.

SCENA III.

KAMILLA, TELESFOR, *później* FRANCISZEK.

TELESFOR (*w odświętnej czamarcie, białej kamizelce, wchodzi z drugich drzwi z prawej, z kilku butelkami wina w obu rękach i stawia je na stole po prawej*).

Tak, to będzie na pierwsze strzały: to dla panów, a to dla pań.

KAMILLA (*podbiega i całuje go w rękę*).

Pocziwy wujaszek, tak o wszystkiem pamięta, tak się wszystkiem zajmuje!

TELESFOR.

To mój obowiązek, przecież ja tu dzisiaj gospodarzem, to muszę myśleć o wszystkiem, żeby było wszystko, jak należy.

KAMILLA.

Wujaszku, a jakby wujaszek chciał się potem położyć, to ja tam wujaszкови przygotowałam łóżko za parawanem w pokoju Władzia.

TELESFOR.

Cóż ty sobie myślisz, smarkata jakaś, że ja już tak zkapcaniałem do reszty, że jednej nocy przebawiać nie potrafię? Ja was tu jeszcze wszystkich przetrzymam. Patrzcie ją, jaka mi dowcipna! do łóżka mię pakuje! może jeszcze kaftanikiem flanelowym i rumiankiem mnie potraktujesz, co? Ja się chcę także bawić; kto wie, czy sobie nawet nie podskoczę jeszcze?

KAMILLA.

Ja wujaszka wybiorę do mazura.

TELESFOR.

Dobrze. Będziemy hulać do samego rana. Kiedy się bawić, to się bawić (*do wchodzącego Franciszka z głębi*). A tobie co, się stało? masz minę, jak-byś upiora zobaczył.

FRANCISZEK.

Proszę pana, proszę panienki, tam jakieś draby przysły we frakach i bawelnianych rękawiczkach, i powiadają, żeby im oddać cały kredens, srebra i wszystkie naczynia.

TELESFOR.

No, to im trzeba oddać, bo to są lokaje, najęci do obsługi gości.

FRANCISZEK.

Jakto, proszę pana, a od czegoż ja tutaj?

TELESFOR.

Ty-byś sobie sam przecież rady nie dal.

FRANCISZEK.

Ciekawym bardzo, dlaczego nie? Jak mój pan był jeszcze kawalerem, to się nieraz tyle panów naschodziło, a Franciszek wszystkiemu dał radę. Zresztą, jakby było potrzeba, to można-by było wziąć Walentową do pomocy.

TELESFOR.

Ale głupiś, jakże-by to wyglądało?

KAMILLA.

To przecież bal.

FRANCISZEK.

To już jak bal, to Franciszek ma iść w ką.

TELESFOR.

Gadaj-że tu z takim. Przecież to dla ciebie lepij, że będziesz miał mniej roboty. O cóż ci jeszcze chodzi?

FRANCISZEK.

Jakto nie ma chodzić? Przecież to despekt dla mnie wielki, że ja, domowy, dawny sługa, dziś tutaj nie nie znacę, tylko jakieś tam fagasy.

TELESFOR (*zniecierpliwiony trochę*).

Ale któż ci mówi, że nie znacysz?

FRANCISZEK.

A oni mówią.

TELESFOR.

To im powiedz, że są durnie. Oni są tutaj tylko tego, jak się nazywa, zwyczajni lokaje, a ty będziesz... piwnicznym, albo jeszcze lepiej wielkim podczaszym, będziesz nalewał wino i roznosił (*idzie do stołu*). Masz tu tacę, kieliszki, wino, i wio do salonu (*daje mu dwie butelki na tacę*).

FRANCISZEK (*biorąc tacę*).

No, tak, to co innego.

TELESFOR.

To będziesz dawał damom, a to panom; rozumiesz?

FRANCISZEK.

Niby które damom?

TELESFOR.

Gadaj-że tu z głupcem.

KAMILLA.

Ja pójdę z nim, to będzie najlepiej. Chodźmy.
(*wychodzą na lewo do pierwszych drzwi*).

TELESFOR.

A ja tymczasem przygotuję drugą baterią (*nalewa kieliszki na drugiej tacy*).

SCENA IV.

TELESFOR, WŁADYSŁAW, *potém* JANINA.

WŁADYSŁAW (*w paletocie, kapeluszu i kaloszach, z głębi*).

Ładny zrobiłem spacer (*rozbiera się przy drzwiach na prawo i zostawia paletot, kalosze i kapelusz za sceną, siada*). A! już nóg nie czuję.

TELESFOR (*nalewając wino*).

A ty gdzieś się tak zgonił?

WŁADYSŁAW.

Gdzie ja nie chodził, mój wuju! po jakich dziurach, zakamarkach przedmiejskich...

TELESFOR.

Cóżes ty tam robił?

WŁADYSŁAW.

A za tą nieszczęśliwą muzyką. Gałgany grajki zrobili mi zawód w ostatniej chwili: jeden zachorował, drugi się spił, a trzeci mi odpowiedział, że

przyjść nie może, bo go sama księżna pani prosiła, żeby grał u niej. Jakże pocziwiec mógł się rzec dobrowolnie takiego zaszczytu dla jakiegoś tam urzędnika bankowego?

TELESFOR.

No, i cóż zrobiłeś?

WŁADYSŁAW.

Ha cóż? musiałem z konieczności wziąć wojskową muzykę, i to jeszcze szczęście, że złapałem kilku, bo dziś balów mnóstwo.

TELESFOR (*zadowolony*).

Balują, balują wszyscy. Widzisz, to nie my jedni tylko.

WŁADYSŁAW (*ociera czoło chustką*).

A, zmachałem się!

TELESFOR.

Może kieliszeczek wina? (*przynosi mu*) masz, to cię orzeźwi.

WŁADYSŁAW (*wypija duszkiem, potem, oddawszy kieliszek Telesforowi, który go odniósł na stół, wyciąga się na kanapę*).

A! dał-bym teraz sto reńskich, żebym się tak mógł wygodnie położyć choć na parę godzin.

TELESFOR (*śmiejąc się*).

Bagatela! On już teraz o tym myśli. Cóż to będzie później?

JANINA (*w balowej sukni wchodzi z lewej*).

Niéma tu Władzia?

WŁADYSŁAW (*zrywając się*).

Czego chcesz, duszyczko?

JANINA (*zakłopotana*).

Mężusiu, bój się Boga! co my będziemy robić? pań i panien naschodziło się tyle, a młodzieży, jak na lekarstwo, jest ich zaledwie kilku.

WŁADYSŁAW.

No, przecież Fikalski obiecał dostarczyć.

JANINA.

Ale go dotąd nie widać. Żeby tylko nie skrewił.

TELESFOR.

To nie, nie trap się. Jak będzie brakować, to i my, landwera, ruszymy do boju. Jak mus, to mus.

JANINA.

Pocziwy Adolf obiecał mi za czterech tańczyć, i to z najładniejszymi pannami.

WŁADYSŁAW.

A gdzież on jest?

JANINA.

Zasadziłam go w salonie do bawienia starszych pań. Ach, te panie te panie!... (*uśmiecha się pobłaźliwie*) pocieszne sobie.

WŁADYSŁAW.

No?

JANINA.

Wyobraźcie sobie, cztery na jednej kanapie.

TELESFOR.

A jakże one się tam pomieściły?

JANINA.

To też siedzą ściśnięte tak, że się ani ruszyć, ani nawet swobodnie oddychać nie mogą, a żadna ustąpić nie chce, bo uważają sobie za ubliżenie siedzieć gdzieindziej, niż na kanapie.

WŁADYSŁAW.

Dobre sobie.

TELESFOR.

Może-by im wstawić drugą kanapę, bo się baby gotowe podusić, albo apoplexyi dostaną.

JANINA (*spostrzegłszy wchodzącego, z żywą radością*).

A! pan Fikalski!

SCENA V.

CIŻ, FIKALSKI, LOKAJ, *po chwili* WRÓBELKOWSKI, FUJARKIEWICZ, BAGATELKA i dwóch z gości. (*Fikalski w futrze, szalu, kaloszach*).

JANINA.

A gdzież młodzież?

FIKALSKI.

Będą tu zaraz, już są na schodach.

JANINA (*troskliwie*).

Co panu jest? ból gardła?

FIKALSKI (*odkręcając szal*).

Nie, pani, ale miałem dziś rano trochę chrypki, szło mi o głos; (*probuje tonu*) dobry, niema obawy (*do Władysława*). Gdzie tu garderoba?

WŁADYSŁAW.

W przedpokoju.

LOKAJ.

Chciałem właśnie...

FIKALSKI.

Oho! nie złapiesz mnie na to; wiem ja, co to przedpokój znaczy; człowiek futra, kaloszy niepewny. Już mnie to nieraz sparzyło. Nie masz tu gdzie jakiego bezpieczniejszego schronienia?

JANINA.

Władziu, możeby w twoim pokoju?

WŁADYSŁAW.

Ha, skoro trzeba, darmo.

FIKALSKI (*otwierając drzwi, w głębi*).

Chodźcie, chodźcie, panowie, tu jest garderoba (*do Janiny, wskazując na prawo*). Tam? prawda (*wskazuje wchodzącym*). Wchodzą: Wróbelkowski, Fajarkiewicz, Bagatelka i dwóch gości, z których jeden wysoki bardzo, a drugi trochę garbaty; wszyscy w paletotach lub futrach z podniesionymi kołnierzami, w kaloszach; przechodzą przez scenę na prawo).

WŁADYSŁAW.

A gdzieżeś ty powyszukiwał takie exemplarze?

TELESFOR (*śmiejąc się, na boku*).

Ależ to jeden lepszy od drugiego!

JANINA.

I tylko tylu?

FIKALSKI.

Badźcie państwo kontenci, że i takich się złapało. Dziś kilka balów, więc dobijatyka okropna o dan-serów (*wśród tego zdejmuję wierzchnie ubranie i kalosze, które lokaj odnosi na prawo*).

LOKAJ (*wnosi duży toboł*).

Proszę pana, gdzie to położyć?

WŁADYSŁAW.

Co to jest?

FIKALSKI.

A, to przybory do kotyliona: kostki, buńczuk, nosy, czepek; wypożyczyłem to dla państwa z resursy (*do Janiny*). A bukiety i ordery są?

JANINA.

Tak, jak pan zarządził.

FIKALSKI.

To dobrze. Pani będzie łaskawa kazać umieścić to razem. (*Janina ze służącym, niosącym przybory, wychodzi do drugich drzwi na lewo*).

TELESFOR (*przechodząc na lewo*).

Co ci ludzie teraz nie wymyślają! jakieś figle nie-mieckie, awantury...

(*Wchodzą: Wróbelkowski, blondyn, z gęstą grzywą, pince-nez; Fajarkiewicz, już niemłody, mocno wypomadowany; Bagatelka, pokazujący ostentacyjnie swój nowy chapeau-claque, i dwaj inni goście; wszyscy balowo, tylko dwaj ostatni mają niedość dobrze dobrane fraki, bo wysoki ma*

frak za krótki, a niżki za ciasny. Fujarkiewicz zaś ma frak staromodny).

FIKALSKI.

A otóż i nasza młodzież (*do Władysława i Telesfora*). Panowie pozwolą przedstawić sobie: pan Wróbelkowski, członek różnych komitetów balowych (*ukłony*). Pan Fujarkowski...

FUJARKIEWICZ.

Fujarkiewicz.

FIKALSKI.

Przepraszam, Fujarkiewicz, obywatel z prowincyi.

FUJARKIEWICZ.

Właściwie z Mościsk (*ukłony*).

TELESFOR.

Bardzo nam miło.

FIKALSKI.

Pan Bagatelka.

BAGATELKA.

Zwyczajny członek Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Krakowie.

TELESFOR (*n. s.*).

Patrzcie państwo, i ten już dygnitarz nielada.

FIKALSKI.

Pan Piernikiewicz, pan Ślazierowski.

WŁADYSŁAW (*podaje jednym rękę, drugim się kłania*).

Witam panów.

TELESFOR (*witając się*).

Bardzo nam miło.

WŁADYSŁAW.

Panowie pozwolą do salonu, przedstawię was damom.

TELESFOR.

A jak potem ten tego, to tutaj wino, przekąski, a tam papierosy, bardzo prosimy, bez ceremonii. A może odrazu tak po kieliszeczku, dla kurażu? służę panom (*prowadzi ich do stołu, gdzie piją, a on wypite kieliszki napelnia*).

SCENA VI.

Ciż, Ciuciumkiewicz, MALINOWSKI, *potem* WICHERKOWSKI, PULCHERYA.

(*Ciuciumkiewicz, szeroki w karku i plecach, głowa trochę spiczasta, z krótkim zarostem, kołnierze stojące z halsztukiem, ręce w dół spuszczone, w szerokich rękawach, frak obszerny, z dużym kołnierzem*).

TELESFOR (*spostrzegłszy Ciuciumkiewicza, wychodzącego z salonu*).

A, jest i Ciuciumkiewicz! prosimy do kompanii.

(*Ciuciumkiewicz kłania się z powagą i idzie do stołu*).

MALINOWSKI (*przystojny, ale mało mówny, zbliża się do Władysława*).

Pan pozwoli, że się sam przedstawię: jestem Malinowski.

WŁADYSŁAW.

A, to pan... *(podaje mu rękę)*. Wuju, pan Malinowski.

TELESFOR *(ożywiony, wesół, z kieliszkiem w ręka, zbliża się)*.

Bardzo nam miło... służę *(podaje)*.

MALINOWSKI.

Dziękuję ślicznie, nie piję.

TELESFOR.

Co? nazywasz się pan Malinowski i nie pijesz wina? Ta to wino i Malinowski, niech to pana nie obraża.

MALINOWSKI.

O! panie!

TELESFOR.

Bo my starzy lubimy sobie czasem pożartować. *(Malinowski idzie na prawo, opiera się o kanapę)*.

WŁADYSŁAW *(do wchodzących z salonu)*.

A, państwo Wicherkowscy *(idzie na powitanie)*.

PULCHERYA *(do Władysława)*.

A gdzie żona?

WŁADYSŁAW.

Zaraz będzie służyć *(wychodzi na lewo do drugich drzwi)*.

TELESFOR *(z głębi od stołu)*.

Panie Wicherkowski *(pokazując kieliszek)* introducekya do tańca kieliszeczek *(Wicherkowski idzie w głębi)*. Zdrowie szanownych gości!

PULCHERYA *(przechodzi na prawo w stronę, gdzie stał Malinowski i, nie patrząc na niego, mówi tak, aby nie spostrzeżono tego)*.

Tańczę pierwszego kadryla z Fikalskim, poproszę pan o *vis-à-vis*.

MALINOWSKI.

A kiedyż będę mógł znowu...

PULCHERYA.

Jeszcze nie wiem. Powiem to panu później *(wraca na lewo i tam siada)*.

(Muzyka za sceną gra poloneza).

FIKAŁSKI *(idąc z głębi na przód)*.

Panowie! polonez *(do Pulcheryi)*. Służę pani.

WICHERKOWSKI *(wchodząc żywo między nich)*.

Za pozwoleniem. Ja moję żonę jeszcze w domu zaangażowałem *(bierze Pulcheryą pod rękę i, spojrzawszy groźnie na Fikalskiego, wychodzi do salonu)*.

FIKAŁSKI *(d. s.)*.

Szkoda, bo ta ma niezłą prezencją do poloneza. Trzeba wziąć gospodynią domu *(wybiega tamże)*.

TELESFOR.

No, Ciuciumkiewicz, na przód! bo to nasz taniec, weteranów. Chodźmy do dam. Panowie, proszę za mną *(bierze Ciuciumkiewicza pod rękę i, nucąc poloneza, wychodzi do salonu)*. Wszyscy wychodzą ze sceny, oprócz Wróbelkowskiego i Bagatelki).

SCENA VII.

WRÓBELKOWSKI, BAGATELKA, *później* JANINA, KAMILLA.

BAGATELKA (*który, we drzwiach sálomu widząc, że Wróbelkowski nie idzie od stołu, wraca*).

Ty nie idziesz?

WRÓBELKOWSKI (*zapala papierosa i pije wino*).

Ani myślę. Polonez, to taniec dla starych safandulów (*siada na stolku przy kanapie, kołysze się, puszcza kłęby dymu i często poprawia pince-nez*); zresztą, przyznam ci się, że mnie już taniec nie bawi, i jeżeli tu przyszedłem, to zrobiłem jedynie dla pani tego domu.

BAGATELKA (*siadając na kanapie także z papierosem*).

Znacie się?

WRÓBELKOWSKI.

Dotąd tylko z daleka. Oczkujemy ze sobą w teatrze, na koncertach, w kościele; ale widocznie było jój to za mało, skoro mnie gwałtem prosiła przez Fikalskiego (*wstaje i przechadza się z poważną miną*). Nie dał-bym za to trzech groszy, czy ona tego balu umyślnie dla mnie nie urządziła, aby mi ułatwić wejście do domu, bo ja mam szalone szczęście do kobiet; na którą spojrzę: trup! (*siada przy Bagatelce na kanapie*). Powiadam ci, kolego, u mnie w domu to takie paki listów (*pokazuje ręką na wysokość łokcia nad ziemią*). Hrabiny nie hrabiny, baronowe nie baronowe, słowo honoru daję (*ziewa*). Ale to mi się przepadło, wolę mieszczańskie sfery, tu więcéj serca.

BAGATELKA.

I w jakiż sposób objawisz jój swoje uczucia?

WRÓBELKOWSKI.

Całkiem zwyczajnie (*rzuca papierosa i dobywa z bocznej kieszeni fraka karteczkę*). O! patrz!

BAGATELKA.

Różowa karteczka.

WRÓBELKOWSKI.

I zaperfumowana *Jokey-cloub*; powąchaj.

BAGATELKA.

Prawda.

WRÓBELKOWSKI.

Zapach działa na kobiety. A na kartce te słowa: „Pani! kocham cię oddawna, daj mi znać, kiedy męża twego nie będzie, abym mógł przybiegnąć do stóp twoich i na kolanach przebłagać cię za tę śmiałość, że odważyłem się kochać cię i uwielbiać”. Poetyczne, co?

BAGATELKA.

Bardzo.

WRÓBELKOWSKI.

Niby nieśmiało, a odważnie.

BAGATELKA.

I z ogniem.

WRÓBELKOWSKI (*zwijając kartkę*).

Otóż tę karteczkę zwija się w rulonik, cieniutko, ot tak, wsunie się potem do bukietu kotyliionowego i poczta gotowa, a w tańcu, gdy namiętnym uści-

skiem przytulać ją będę do mego serca, szepnę w małeńkie uszko: szukaj pani w bukiecie.

BAGATELKA.

Genialny pomysł!

WRÓBELKOWSKI (*zadowolony*).

Prawda; chodźmy na papierosy (*idą w głąb i zapalają*).

JANINA (*wchodzi z Kamillą z salonu*).

Pfe, co tu dymu! (*rozgania chusteczką*).

WRÓBELKOWSKI (*cicho do Bagatelli*).

Otóż i ona, patrz ta brunetka.

JANINA (*spoztręglszy palących, do Kamilli*).

Jacy ci panowie niedelikatni (*idzie otworzyć okno*).

KAMILLA.

To także grzecznie. Nadymili, jak w kawiarni.

JANINA.

Czemu panowie nie tańczą?

WRÓBELKOWSKI (*zbliżając się z galanterią*).

Tylko skończymy papierosy, będziemy służyć paniom.

JANINA.

Prosimy, czekamy panów (*do Kamilli*). Chodź, bo tu niepodobna oddychać (*wychodzą do salonu*).

WRÓBELKOWSKI (*z dumą*).

A co? Słyszałeś, co mówiła? Czekamy! I jak łypnęła przytém oczkami, uważałeś? Śliczna bestyjka, co za oko!

BAGATELKA.

Lubo i ta druga nieczego.

WRÓBELKOWSKI.

Ba, kiedy ma feler.

BAGATELKA (*zciekawiony*).

O! jaki?

WRÓBELKOWSKI.

Panna!

BAGATELKA.

A, niby że panna, więc cóż z tego?

WRÓBELKOWSKI.

Ja w pannach nie gustuję. Mężatki, to moja pasya.

SCENA VIII.

Ciż, FUJARKIEWICZ, *potém* FIKALSKI, *w końcu* TELESFOR.

FUJARKIEWICZ (*poprawiając włosy jedną ręką, a w drugiej trzymając cylinder, wchodzi z salonu*).

Panowie, jako tutejsi, będą umieli mnie objaśnić, czy w polonezie podaje się damie prawą rękę, czy lewą? bo ja podawałem prawą, ale widziałem, że niektórzy panowie podawali także lewe.

BAGATELKA.

Rób pan, jak panu wygodniej.

FUJARKIEWICZ.

Przecież muszą być jakieś reguły... Może z paniami trzeba na prawą ręką, a z mężatkami na lewą?

WRÓBELKOWSKI (*kłapiąc go po ramieniu*).
Tak, zawsze na lewą, to się panu udało!

FUJARKIEWICZ.

Nie, bo uważacie, panowie, nie chciał-bym uchodzić za ignoranta w tym względzie; idzie mi o dobre zaprezentowanie się w świecie, bo przyjechałem u umyślnie na karnawał, w zamiarze ożenienia się, to jest starania się o żonę.

WRÓBELKOWSKI (*śmiejąc się*).

Czyją?

FUJARKIEWICZ.

No, niby o moję, to jest, właściwie mówiąc, o pannę.

BAGATELKA.

Tych tu znajdziesz na kopy.

FUJARKIEWICZ.

Bo nie wiem, czy panowie wiecie, że jestem z zawodu farmaceuta, skończony farmaceuta?

WRÓBELKOWSKI (*z drwiniącym respektem*).

A, nie wiedzieliśmy nic o tém.

FUJARKIEWICZ.

Tak, Fujarkiewicz z Mościsk, gdzie odziedziczyłem po ciotce dom i 60 morgów gruntu, a oprócz tego dzierżawię aptekę.

BAGATELKA.

Być nie może? A my pana traktowali, jak zwyczajnego człowieka!

FUJARKIEWICZ.

Nie nie szkodzi. Bardzo proszę ze mną bez ceremonii. Otóż, uważacie panowie, mając teraz takie stanowisko w świecie...

WRÓBELKOWSKI.

Postanowiłeś się pan ożenić.

FUJARKIEWICZ (*ucieszony*).

Zgadłeś pan, i w tym celu...

BAGATELKA.

Przybyłeś pan do Krakowa.

FUJARKIEWICZ (*j. w.*).

Właśnie.

WRÓBELKOWSKI (*kłapiąc go*).

My tu pana wyswatamy.

FUJARKIEWICZ.

Bardzo wdzięczny będę, bo panowie, jako miejscowi, będą mogli mi dać pewne wyjaśnienia.

BAGATELKA (*z filuternym uśmiechem*).

Co do posagu?

FUJARKIEWICZ (*ucieszony*).

Z ust mi pan wyjąłeś.

(*Muzyka przestaje grać poloneza*).

FIKAŁSKI (*wchodzi z salonu żywo rozpromieniony, za nim dwóch danserów*).

Panowie! cudowny, genialny pomysł!

WRÓBELKOWSKI.

Co?

FUJARKIEWICZ.

No? (*wszyscy do niego się garną*).

FIKALSKI.

Uważacie panowie, podczas poloneza, kiedy prze-
myślałem nad tém, czy to nie będzie zbyt rażące
kotyliion przed kolacją, bo, po kolacyi, jak wiécie,
obiecałem się do Guzikowskich..... otóż myślę, jak tu
wyjść z honorem z tego zawikłania? wpada mi myśl
genialna, myśl połączenia mazura z kotyliionem.

FUJARKIEWICZ.

Jakto?

FIKALSKI.

Niby zwyczajny mazur, ale figury kotyliionowe,
ordery, bukiety *et caetera*.

WRÓBELKOWSKI (*z powagą*).

Rozumiem.

FIKALSKI.

Ale bo trzeba wiedzić, jaka głęboka myśl w tém
się kryła. To ściśle połączenie mazura z kotyliionem,
to niby symboliczne przedstawienie naszego stosun-
ku do rządu, alians Galicyi z Austryą, taniec z bar-
wą polityczną, coś całkiem nowego, prawda?

WRÓBELKOWSKI.

A! znakomite, jedyne w swoim rodzaju.

FUJARKIEWICZ.

Rzeczywiście, bardzo, bardzo.

BAGATELKA.

Cudowny pomysł, to warto oblać. Panowie, za
kieliszki! (*spieszą wszyscy do stołu w głęb*).

TELESFOR (*wchodzi z salonu, ocierając czoło*).

No, ja już zrobiłem swoje.

BAGATELKA.

Tylko wina niéma.

WRÓBELKOWSKI.

Hej, wina! prosimy o wino!

TELESFOR (*wesoło*).

Wina, dobrze. Zaraz służę panom (*dobywa z ko-
sza z pod stołu wino i nalewa*).

WRÓBELKOWSKI (*idąc z Fikalskim i innymi na przód
sceny*).

Ten pomysł nieśmiertelni pana w rocznikach
karnawałowych.

BAGATELKA.

Pomysł całkiem nowy.

FIKALSKI (*z dumą*).

Bez zarozumiałości, panowie, mogę sobie przy-
znać, że jestem Kolumbem tego pomysłu.

WSZYSCY.

Prawda, prawda!

(*Telesfor niesie tacę z kieliszkami*).

WRÓBELKOWSKI (*biorąc kieliszek z winem, staje z powagą*).

Panowie! pozwolę sobie tutaj wnieść zdrowie
głównego motora dzisiejszego wieczoru (*zamyśla się*)...

TELESFOR (*stojący na boku z tacą*).

Ta to ci pocziwcy chcą wnieść moje zdrowie.
Pewnie Władzio im wypaplał.

WRÓBELKOWSKI.

Męża, który jest duszą naszego zebrania...

TELESFOR (*zażenowany*).

Ależ, panowie...

WRÓBELKOWSKI (*opryskiwiwie*).

Jeszcze nie skończyłem... męża panowie, którego zasługi są tak wielkie...

TELESFOR.

E, kiedy to znowu za wiele.

GŁOSY.

Cicho! cicho!

TELESFOR.

No, ale bo...

GŁOSY.

Cicho! pst! cicho!

WRÓBELKOWSKI.

Tak wielkie, że należy mu się od nas publiczny wyraz uznania. Pozwólcie więc, że wniosę jego zdrowie...

TELESFOR.

Dziękuję panom, ale...

WRÓBELKOWSKI (*nie zważając na niego*).

Zdrowie naszego aranżera, pana Fikalskiego!

WSZYSCY (*wznosząc kieliszki*).

Wiwat! niech żyje!

TELESFOR (*n. s.*).

A ja, osioł, myślałem... (*ślechać za sceną walca*).

FIKALSKI.

A teraz na pole walki, bożki Strauss nas wzywa, panowie, za mną!

(*Wszyscy stawiają kieliszki na tacy, którą trzyma Telesfor i, nie patrząc nawet na niego, wychodzą do salonu*).

TELESFOR (*patrzy za nimi*).

No, jak się to komu podoba? formalnie wykierowali mnie na kelnera; wypili, postawili i nawet Bóg zapłać nie powiedzieli, jak w restauracyi (*z irytacją*). Pfu! (*odnosi tacę na stół i wraca na przód sceny zalterowany trochę*). Przecież to dawniej inna była młodzież. Miał-by się z pyszna jeden i drugi, który-by się tak rozbijał w obywatelskim domu. A nakadzili temi papierkami, nie ich nie znam! (*gasi nogą niedopalone papierosy*).

SCENA IX.

TELESFOR, FRANCISZEK, *potém* KAMILA.

FRANCISZEK (*wchodzi z głębi, pijany*).

I tacę mi odebrali, i jeszcze za drzwi wyrzucili. Nie, ja tego nie przeżyję!

TELESFOR (*sposztrzegłszy go*).

A ten gdzie się tak ubrał?

FRANCISZEK.

Ubrałem się, to prawda, jak się patrzy, i kamiżelkę dałem wyprać Walentowej, i wszystko na nie.

TELESFOR.

Franciszku, bój się Boga, coś ty zrobił? tu tyle gości, a tyś strąbiony!

FRANCISZEK.

To wszystko z desperacyi, proszę pana. Piję, bo... bo mnie serce boli, że ja *(placze)* na moje stare lata tegom się doczekał.

TELESFOR.

No, no, daj spokój, stary; idź, wypij się, to ci ulży *(odwraca się od niego)*.

FRANCISZEK *(idzie w głąb)*.

Ja spać? O! to mnie pan nie zna. Człowiek ma także swoją ambicję; ja się tu nikomu nie pozwolę posponować *(bierze tacę z kieliszkami)*. Ja im pokażę, kto tu panem *(wychodzi do salonu i zaraz po jego wyjściu słychać brzęk stłuczonego szkła)*.

TELESFOR.

A tam co? *(patrzy)*. Masz tobie!

KAMILLA *(z drugich drzwi z lewej)*.

Co się stało?

TELESFOR.

A Franciszek urznął się jak niebozkie stworzenie i teraz awantury wyprawia. Idź-no go namów, żeby się spać położył, bo wam wszystko szkło wytłucze.

KAMILLA *(idzie do salonu)*.

Biedny Franciszek!

TELESFOR *(skrobie się za uchem, siada przy stoliku do kart)*.

No, jakoś nam ten bal nieszczególnie się zaczyna. Same fatalności.

SCENA X.

TELESFOR, KATARZYNA, CIUCIUMKIEWICZ, TECIA, MIECIA, LOLA, MUNIA, JANINA, *potém* ADOLF.

(Munia, choć już nie tak młoda, ma krótką sukienkę, szarfę i krótkie włosy, po dziecinnemu).

KATARZYNA *(wychodzi szybko z salonu, za nią gęsiego drobnym krokiem cztery córki)*.

Nie, nie, nie!

JANINA *(idąc za Katarzyną)*.

Ależ, pani łaskawa, znajdzie się miejsce, proszę się wrócić.

(Ciuciumkiewicz idzie poważnie, milcząc z tyłu).

KATARZYNA *(słodziutko)*.

Nie, nie, droga pani, skoro pani Fifijkowska sądzi, że jej przysługuje prawo siadania na kanapie, odgrywania pierwszorzędnej roli, to niech siedzi, niech się nasiedzi, ja ustępuję.

TELESFOR *(n. s.)*.

Teraz ta znowu zaczyna. A, czy skaranie bozkie! *(wstaje)*.

KATARZYNA.

Ona taka dama, taka wielka figura, a mój mąż prosty sobie archiwista, tyle tylko, że mamy uciechowe imię, czém nie wszyscy pochlubić się mogą, nawet tacy, co na kanapach siadają *(siada na kanapie)*.

JANINA.

Jakto? pani tu myśli, w tym pokoju?

KATARZYNA (*z przesadną skromnością*)).

Dla takich, jak my, to w sam raz. Jasiu! (*wskazuje mu oczyma miejsce przy sobie*). Panienki tu, przy mnie, (*żywo*) nie na kanapie.

(*Tecia, która już siadała, zrywa się i przesiada się na stół obok kanapy, inne za nią w rzędzie*).

JANINA.

Ależ ja nie mogę pozwolić na to.

TELESFOR (*zbliżając się*).

Skoro sobie pani Ciuciumkiewiczowa tego życzy. Przecież nie miejsce człowieka, ale człowiek miejsce....

CIUCIUMKIEWICZ.

Tak, człowiek miejsce.

KATARZYNA (*z ukrytym gniewem, a słodko*).

Jasiu! proszę cię bardzo, bez tych uwag.

JANINA.

I panienki się nie wytańczą, jak będą tu siedzieć.

TELESFOR.

A nie wiész to, co mówi przysłowie: „siedź w kącie, znajdą cię“.

CIUCIUMKIEWICZ.

Tak, siedź w ką...

KATARZYNA (*j. w.*).

Jasiu! (*do Janiny słodko*). Niech-że się pani dobrodziejka nami nie zajmuje, pani ma tyle innych, dostojniejszych gości.

TELESFOR.

Tak, Janinko, idź do gości, ja tutaj już zabawię panie. Nie bój się, panienki się przy mnie nie znudzą, przecież ja stary wyjadacz! (*Janina odchodzi w głąb*).

ADOLF (*wchodzi, ocierając czoło*).

A tom się stańczył!

JANINA.

Panie Adolfie!

ADOLF.

Co pani rozkaże?

JANINA.

Tańcz też pan trochę z pannami Ciuciumkiewicz.

ADOLF.

Pani, dalibóg nie mogę.

JANINA.

One jeszcze nogą nie ruszyły.

ADOLF.

A ja mojemi już nie mogę ruszać.

JANINA (*słodko*).

Zrób pan to dla mnie, dla nas.

ADOLF.

Ha, na takie zakłęcie, to choćbym miał paść, jak koń żydowski... (*idzie do Teci*). Czy mogę panią prosić?

TECIA.

Czy mnie pan prosi, czy moję siostrę?

ADOLF.

Najprzód panią.

TECIA (*pytając matkę oczyma*).
Mameczko?

KATARZYNA.

No, idź, idź, skoro pan taki łaskaw.

JANINA (*wraca z lokajem*).
Może panie herbaty?

KATARZYNA (*słodko*).

O! niechże się też pani dla nas nie trudzi.

JANINA (*do lokaja*).

Herbaty tu paniom (*chce podać sama*).

TELESFOR.

A! za pozwoleniem, to mój wydział (*podaje kawy*). Kawalerska powinność usługiwać damom (*do Janiny*). Idź, idź, my sobie tu już damy radę bez ciebie.

JANINA.

Ha, skoro wuj taki łaskaw (*odchodzi do salonu*).

KATARZYNA (*do męża*).

Uważasz, jaka kontenta, że się nas pozbyła z salonu.

TELESFOR (*podaje pannom*).

Służę pani, służę pani. A może araczku dla smaczku.

MIECIA.

O! dziękuję!

KATARZYNA.

Pan tylko żartuje, moje panny; bo ten pan jest znanadto dobrze wychowany, aby nie wiedział, że się pannom podobnych rzeczy nie proponuje.

TELESFOR (*n. s.*).

A to mnie baba ucięła (*bierze cukiernicę z tacy i podaje*). Może za mało słodka? Kawaleczek nie zawadzi.

KATARZYNA.

Dziękuję.

TELESFOR (*do Ciuciunkiewicza*).

A my może, zamiast herbaty, po kieliszeczkę, co? i jakąś przekąskę. Służę koledze (*bierze go do stołu*).

KATARZYNA.

Jasiu! tylko proszę z miarą.

TELESFOR.

He, he, kolega, jak widzę, pod kuratelą!

CIUCIUMKIEWICZ.

To tak z troskliwości o moje zdrowie.

ADOLF (*odprowadza Tecię i kłania się Mieci*).

Dziękuję pani, służę pani.

MIECIA.

Jakto, tak zaraz?

ADOLF.

Trzeba korzystać póki grają.

MIECIA.

Mameczko?

KATARZYNA (*słodko*).

Pan ~~je~~ tak trzodzi.

ADOLF.

To tylko przyjemność, pani dobrodziejko. Ja przepadam za walcem.

KATARZYNA.

A skoro sobie pan tego życzy.

(*Miecia i Adolf odchodzą do salonu w podskokach*).

KATARZYNA (*d. s.*).

W tém coś jest. Kamilla nie nie tańczy, a jój narzeczony ciągle przy moich pannach. Musiało coś zajść między nimi, bo to kapryśnica, dziewczyna najgorzej wychowana. Powiem mężowi, żeby go zaprosił do nas. Kto wie, co z tego być może?

CIUCIUMKIEWICZ (*idąc z Telesforem na przód sceny na lewo, z przekąskami*).

A może-byśmy małego preferka?

TELESFOR.

Ta to-by nam się właściwie należało.

CIUCIUMKIEWICZ.

Więc nie traćmy czasu.

TELESFOR.

Tylko kogo-by na trzeciego?

CIUCIUMKIEWICZ.

Na trzeciego? (*ogląda się i spostrzega Wicherkowskiego, wchodzącego z żoną z salonu*). A może-by Wicherkowski?

SCENA XI.

CIŻ, WICHERKOWSKI, PULCHERYA, *później* MALINOWSKI, *w końcu* FUJARKIEWICZ.

WICHERKOWSKI (*prowadząc żonę pod rękę*).

Tak, duszyczko, tu sobie siądziemy, pięknie, ładnie. Tam za gorąco dla ciebie. Wiész, co doktor mówił.

PULCHERYA.

Ale tu znowu za chłodno.

WICHERKOWSKI.

Weź okrycie (*odziewa ją okrywką, którą miał na rękę*). To tak w pierwszej chwili, widzisz, duszko, że się wyszło z gorąca.

PULCHERYA.

Ale tu okno otwarte.

WICHERKOWSKI (*idzie na prawo*).

To się zamknie, zamknie. Tak (*wraca do niej*). Teraz będzie w sam raz.

TELESFOR.

Panie Wicherkowski, może z nami w preferansa?

WICHERKOWSKI.

Zgoda, służę panom (*do Pulcheryi*). Widzisz, aniołku, siądziesz sobie przy nas, to cię rozerwie. A może mi się będzie szczęście przy tobie. He, he, he.

CIUCIUMKIEWICZ.

Więc tedy siadajmy (*siada z powagą i miesza karty*).

(*Lokaj obnosi limonadę.*)

WICHERKOWSKI (*do Pulcheryi*).

A może limonady?

PULCHERYA (*siada po lewej z frontu*).

Nie... nie będę.

WICHERKOWSKI.

To ja za twoje zdrowie; tylko, przyjacielu, hej, trochę araczku! (*idzie za lokajem w głąb*).

PULCHERYA (*zasłonięta wachlarzem, do przechodzącego Malinowskiego*).

Z kim pan tańczysz?

MALINOWSKI.

Nie wiem jeszcze.

PULCHERYA.

Nie masz pan damy?

MALINOWSKI.

Postaram się zaraz (*idzie do Teci*).

TELESFOR.

No, panie Wicherkowski, czekamy.

WICHERKOWSKI.

Idę, idę. Pulcheryo! siadź sobie, duszyczko, tu, bliżej, tak... (*graję*).

MALINOWSKI (*klaniając się Teci*).

Jestem Malinowski.

TECIA.

Mameczko!

MALINOWSKI (*klaniając się po angielsku, poważnie, Katarzynie*).

Jestem Malinowski (*do Teci*). Czy można panią prosić do pierwszego kontredansa.

(*Tecia klania się głową na znak przyzwolenia, sznurując wdzięcznie usta. Malinowski siada obok niej, gładzi wąsy, bawi się klakiem i patrzy nieznacznie na Pulcheryę, która to samo robi*).

TELESFOR.

Siedm pik (*do Wicherkowskiego*). Idziesz pan?

WICHERKOWSKI (*pokazując karty żonie*).

Jakże mi radzisz, duszyczko?

ADOLF (*tańcząc, wpada na scenę z Micią i osadza ją na miejscu, potem klania się i idzie do Loli*).

A panią można prosić?

LOLA (*wstaje*).

Pan doprawdy niezmordowany (*muzyka przestaje grać*). O! koniec.. Jaka szkoda! (*siada*).

ADOLF (*klania się i odchodzi w głąb sceny na lewo*).

Chwała Bogu, przecież sobie odpocznę (*siada na fotelu wygodnie*).

TELESFOR.

Adolfku, mój drogi, naléj nam téż tu po kieliszeczku wina.

ADOLF (*wstając*).

Dobrze, wujaszku (*n. s.*). Ładny odpoczynek (*bierze butelkę ze stołu i nalewa*).

TELESFOR (*grając*).

Ciuciumkiewicz leży.

WICHERKOWSKI.

Widzisz, Aniołku, zaczynam już wygrywać przy tobie (*całuje ją w rękę*).

FIKALSKI (*wpada*).

Panowie, kadryl, proszę angażować!

ADOLF (*n. s.*).

A to idzie pospiesznym pociągiem. Chwilki odechnąć nie dadzą (*idzie do Mieci, podaje jej ramię i wyprowadza do salonu*).

(*Fujarkiewicz podaje ramię Loli, Malinowski Teci i wychodzą do salonu*).

FIKALSKI (*wytrzymawszy w miejscu, aż wszystkie pary przedelfilowały koło niego, zbliża się z galanterią do Pulcheryi*).

Służę pani.

WICHERKOWSKI.

A pan gdzie zabierasz moją żonę?

FIKALSKI.

Do kadryla.

WICHERKOWSKI.

A, do kadryla. Tylko, bardzo pana proszę, nie po waryacku, bo wiesz, duszko, co doktor mówi (*sieda*). Panie Fikalski, proszę delikatnie z moją żoną (*patrzy za odchodzącymi, po chwili*). Wiécie, panowie, co, może-byśmy posunęli stolik trochę dalej.

TELESFOR.

A to na co?

WICHERKOWSKI.

Będziemy mogli grać i patrzeć na tańczących. Zawsze to przyjemnie, muzyka, coś, owoś.....

CIUCIUMKIEWICZ (*wstając, trącając się znacząco z Telesforem*).

Ha, niech będzie.

WICHERKOWSKI (*posuwca stolik*).

O! tak będzie doskonale (*siedają*).

FIKALSKI (*za sceną*).

Chaine anglaise, retour, tour de mains.

CIUCIUMKIEWICZ (*do Wicherkowskiego*).

Pan na rękę, co pan grasz? (*Wicherkowski rozstagniony patrzy za scenę i nie słyszy*).

TELESFOR (*głośno*).

Co pan grasz?

WICHERKOWSKI (*patrzy za scenę*).

Jak ten tańczy! Kto widział brać damę przy *tour de mains* za obie ręce? a jak patrzy impertynentcko; o! za pozwoleniem (*wstaje, kładzie karty i wychodzi żywo*). Bardzo proszę. (*Telesfor patrzy za nim oślepiały*).

KATARZYNA (*do męża*).

Jasiu! na słóweczko (*do Telesfora*). Pan daruje.

CIUCIUMKIEWICZ (*wstaje*).

Co każesz, duszyczko?

KATARZYNA (*bierze go pod rękę i idzie na przód sceny*).

Dobrze idzie, nasze dziewczęta są dzisiaj rozrywane.

CIUCIUMKIEWICZ.

Chwała Bogu!

KATARZYNA.

Jakiś Malinowski nam się przedstawił.

CIUCIUMKIEWICZ.

Tak? A gdzież on?

KATARZYNA.

Tańczy z Tecią. Bardzo mu się widać spodobała, bo jęj na krok nie odstępował. Trzeba, żebyś się dowiedział, kto on taki; jeżeli to człowiek z pozycją, to zapoznasz się z nim bliżej i zaprosisz do nas. Podaj mi rękę, pójdziemy do salonu. Muniu! (*daje jęj znak, aby szła za nią*).

CIUCIUMKIEWICZ.

Kiedy widzisz, duszko, preferans...

KATARZYNA.

Preferans nie ucieknie. Tu idzie o szczęście dzieci.

CIUCIUMKIEWICZ.

Tak, to prawda; ha, no, to... ten tego (*do Telesfora*). Ja tu za chwilę będę służył koledze (*wychodząc z żoną i Munią do salonu*).

SCENA XII.

TELESFOR, LOKAJ, JANINA, *potem* WŁADYSŁAW, *w końcu* KAMILLA.

TELESFOR.

Ładnie mnie urządzili, niema co mówić! (*wstaje i rzuca karty*). A niech was kule biją z waszym preferansem! (*do przechodzącego lokaja*). Złóż stolik (*do Janiny, która, wyszedłszy z salonu, upadła zmęczona na kanapę*). A tobie co się stało?

(*Lokaj składa stolik i odnosi na bok*).

JANINA.

Jestem tak zmęczona.

TELESFOR (*głaszcze ją*).

Biedaczka, aż wypieków dostała.

JANINA.

Nie myślałam, że to tak trudno bawić te panie. Powiadam wujowi, to męka prawdziwa: mów z tą, tamta się obraża; niewiadomo, czém której uchybić można. Fifijkowska już chciała odejść.

TELESFOR.

A niech-by sobie poszła. Kto-by tam robił z nami tyle ceregieli. Cheesz, baw się, a nie, to z Panem Bogiem!

JANINA (*oglądając się z przestrachem*).

Wujaszku, na miłość Bożką, bo kto usłyszy.

TELESFOR.

A niech sobie, bo mnie już szewcka pasya bierze

na tych gości. Zamiast zabawy, to tylko kłopot z nimi. Ja chciałem, żebyście się trochę rozerwały, poskakały, a tu masz! *(do Władysława, wchodzącego z głębi w kapeluszu i szalu)*. A ty gdzieś chodził?

WŁADYSŁAW *(kwaśny, macha ręką)*.

Wracam od gospodarza *(zrzuca szal i oddaje do drzwi na prawo)*. Czy wiecie, co ten dziwak mi zrobił?

JANINA.

No?

WŁADYSŁAW.

Przysłał do mnie służącego, żeby mu nie hałasować nad głową i nie skakać, bo mu się kamienica otrzęsie.

TELESFOR.

Dobry sobie! i cóż ty na to?

WŁADYSŁAW.

Poszedłem wytłómaczyć mu, że to nonsens żądać czegoś podobnego od lokatora.

TELESFOR.

To się rozumie.

WŁADYSŁAW.

A on mi na to, że jeżeli mam zamiar wydawać bale, żebym sobie od kwartału innego mieszkania poszukał.

TELESFOR.

Masz, babo, redutę! Jeszcze tego było potrzeba.

WŁADYSŁAW *(siadając na kanapie)*.

A, jestem zirytowany na tego faceta!

JANINA *(zbliża się do niego i głaszcząc go)*.

I to wszystko przeze mnie. Zacheiało mi się koniecznie tego balu.

WŁADYSŁAW *(łagodnie)*.

No, moja droga, cóż ty temu winna jesteś, że się tak wszystko na nas sprzysięgło?

JANINA.

Jakiś ty dobry, jakiś ty pocziwy, mój Władziu! Zawstydzasz mnie doprawdy swoją pobłażliwością *(całuje go)*.

WŁADYSŁAW *(całując ją także i tuląc do siebie)*.

Ależ moja droga!

TELESFOR.

E, jak widzę, to się wam na miłość zebrało. Może odejść?

WŁADYSŁAW *(żartobliwie)*.

No, wuju, nie rumień-że mi niewiasty *(tuli zawstydzoną Janinę i okrywa pocałunkami)*.

TELESFOR *(przysiadając się do nich)*.

Nie, ale przyznaj się między nami, Janinko, czy bardzo-byś się zgniewała, żeby tak teraz ci wszyscy goście znikli, jak kamfora, a my zostali sami w naszym kółeczku? A widzisz, uśmiecha ci się ta propozycja. No, no, przyjdzie i to *(klepie ją po ręce)*.

FIKALSKI *(za sceną donośnym głosem)*.

Rrrrond!

TELESFOR (*podskoczywszy na stolku*).

Wszelki duch Pana Boga! a to co?

WŁADYSŁAW (*z uśmiechem*).

Szósta figura.

TELESFOR.

A czegoż on się tak drze? Ja przed frontem nie pozwalałem sobie rozpuszczać takiego głosu.

FIKAŁSKI (*za sceną*).

En colonne, en avant!

TELESFOR.

A niech go nie znam z taką komendą!

WŁADYSŁAW (*do Kamilli, wchodząc z salonu*).

A to co, Kamillo? ty nie tańczysz?

KAMILLA (*zadąsana*).

Jakże mam tańczyć, kiedy mnie nikt nie zaangażował (*siada na taburecie obok Janiny i nie patrzy na nikogo*).

TELESFOR.

He, he, sprzedajemy pietruszeczkę.

WŁADYSŁAW.

A Adolf?

TELESFOR.

Pewnieście się znowu o co popsztukali? No, przyznaj się.

JANINA.

Ale tak, tak, i nawet zabroniła mu tańczyć z sobą.

TELESFOR.

Bagatela!

KAMILLA (*j. w.*).

To cóż z tego, że zabroniłam? Przecież nieraz zabraniam mu się całować po rękach, a jednak całuje.

TELESFOR (*z filuternym uśmiechem, wstając*).

To może mu to powiedzieć?

KAMILLA (*zatrzymując go*).

Nie, nie, nie, wujaszku! skoro woli z innemi, skoro mu to większą przyjemność sprawia...

FIKAŁSKI (*za sceną*).

Grande chaîne!

JANINA.

Ależ dziecko z ciebie, Kamilko; tańczy, bo go prosiłam, ale bądź pewna, że mu to nie sprawia wcale przyjemności.

KAMILLA (*z irytacją*).

O! moja kochana, tylko go nie broń, bo na własne oczy widziałam, jak z jedną z panien Ciuciumkiewicz tańczył aż trzy razy wokoło. Czy to także musiał?

TELESFOR (*drocząc się*).

A i ja to także zauważyłem, że coś zaudadto kręci się koło tych panien Ciuciumkiewicz.

KAMILLA (*do Janiny*).

A co? słyszysz?

JANINA (*z uśmiechem*).

Miałabys być zazdrosną o panny Ciuciumkiewicz!

TELESFOR (*j. w.*).

A kto wie? Dyabeł nie śpi. Ha, ha! no, to-by dopiero była historia, gdyby jej tak która z nich kawalera zdmuchnęła z przed nosa.

KAMILLA (*na-pół z płaczem*).

Niech mi wujaszek nie dokucza, bo się naprawdę pogniewam (*idzie na przód sceny na prawo, a potem do drzwi*).

TELESFOR (*idąc za nią*).

Daj pokój, gniew piękności szkodzi (*śpiewa*): „Hańdziu miła, nie żurysia“... (*wychodzi za Kamillą na prawo*).

FIKAŁSKI (*za sceną*).

A sa place!

WŁADYSŁAW (*wstając*).

Kadryl się skończył (*idzie do gości*).

(*Muzyka grać przestaje*).

SCENA XIII.

Ciż, WRÓBELKOWSKI, BAGATELKA, GOŚCIE, *po chwili* FIKALSKI z PULCHERYĄ, *za nimi* WICHERKOWSKI, *później* MALINOWSKI.

WRÓBELKOWSKI (*wchodzi, chłodząc się szapoklakiem i, rozmawiając głośno, idzie prosto do stołu z innymi*).

A przepysznie, doskonale, już to takiego kadry-

ła dawno nie pamiętam (*pije wino i zapala papierosa*). Świetnie prowadzony!

BAGATELKA.

Znakomicie.

WRÓBELKOWSKI (*siada obok Janiny, zakłada nogę na nogę i, paląc papierosa, mówi*).

Pani nie widziała ostatniej figury?

JANINA (*zatykając usta chustką*).

Nie, panie.

WRÓBELKOWSKI.

Kolosalna! zakomita! Co to za aranżer z tego Fikalskiego! genialny! (*strzepuje popiół z papierosa*).

WŁADYSŁAW (*biorąc mu z ręki papierosa*).

Pan pozwoli (*mówi to spokojnie, ale ze stanowczością*).

WRÓBELKOWSKI (*zmieszany*).

Co takiego?

WŁADYSŁAW.

Są damy, które nie znoszą, jak im kto papierosem w twarz dmucha. (*odchodzi na lewo, rzuca papierosa na ziemię i mówi pod nosem*). Błazen!

WRÓBELKOWSKI.

A, pani nie znosi?

JANINA (*wstaje*).

Pan daruje, ale, jako gospodyni, muszę zająć się gośćmi. (*odchodzi do salonu*).

WRÓBELKOWSKI (*d. s.*).

A! mąż zazdrosny, jak widzę. To nic, romansik

będzie więcéj *piquant*! (*idzie do stołu, gdzie pije, pali i rozmawia głośno*).

FIKALSKI (*odprowadziwszy Pulcheryą na przód sceny na lewo*).

Pani! (*klania się po angielsku*). Pozwól pani wyrazić sobie najgłębsze podziękowanie.

PULCHERYA (*obojętnie*).

O, panie!

FIKALSKI.

Z panią tańczyć, to prawdziwa rozkosz dla aranzera, bo pani masz to instynktowe odczucie każdego drgnienia myśli mojej, a przytém jakie *pas* wyrobione, jaka gracya w tańcu!

PULCHERYA.

Ależ, panie Fikalski.

FIKALSKI.

Jak honor kocham, pani tańczysz wzorowo.

WŁADYSŁAW (*do Wicherkowskiego, który w połowie sceny stoi, wpatrzony w żonę i Fikalskiego, dotykając jego ramienia*).

Może kieliszeczek wina?

WICHERKOWSKI (*dając mu znak milczenia*).

Teraz nie mogę, mam na nich oko.

WŁADYSŁAW (*z uśmiechem*).

Oko Opatrzności.

WICHERKOWSKI.

Tak.

FIKALSKI.

Więc jeszcze raz przyjmij pani dzięki, jakie ci składa aranzér i danser.

PULCHERYA (*z uśmiechem*).

Dziękuję obu panom.

(*Fikalski odchodzi do stołu, gdzie piją jego zdrowie*).

WICHERKOWSKI (*z poważną miną zbliża się prędko do żony, bierze ją za rękę, wpatruje się w nią chwilę, potem mówi*).

Pulcheryo! wyznaj mi wszystko, ale tak, jak na świętej spowiedzi, jak-bys stała wobec Tego, który kiedyś tam.....

PULCHERYA (*wzruszając ramionami*).

Co mam wyznawać?

WICHERKOWSKI.

Chcę wiedzieć, co on ci mówił.

PULCHERYA.

Ale kto?

WICHERKOWSKI.

Fikalski, tu przed chwilą.

PULCHERYA.

E, nie warto powtarzać (*chce odejść*).

WICHERKOWSKI (*zatrzymując ją*).

Pulcheryo! w imię naszej małżeńskiej miłości, naszego przywiązania, proszę cię, powiedz mi, co ten zbrodniarz ci powiedział?

PULCHERYA.

Kiedy będziesz się gniewał, unosił.

WICHERKOWSKI (*z wzrastającą gorączką*).

Nie będę, przyrzekam ci; no, więc?

PULCHERYA.

Najprzód jakieś czułości, oświadczenia.

WICHERKOWSKI.

No, no, a potem?

PULCHERYA (*powoli*).

Potém... ale nie będziesz się gniewał?

WICHERKOWSKI (*żywo*).

No, no, nie, nie, co potem?

PULCHERYA.

Potém prosił mnie o schadzke.

WICHERKOWSKI (*wybuchnąwszy*).

O! nędznik!

PULCHERYA.

Widzisz, już się unosisz.

WICHERKOWSKI (*trzęsąc się cały*).

Nie, nie, jestem spokojny, całkiem spokojny.

Więc schadzka? gdzie? kiedy? jak?

PULCHERYA.

Pojutrze, o trzeciój, i to aż koło cmentarza.

(*Malinowski idzie na prawo do kanapy, śledząc Pulcheryą*).

WICHERKOWSKI.

O! sodomezyk! dam ja mu na cmentarzu!

PULCHERYA.

Nie zechcesz mnie przecież kompromitować i robić z nim awanturę.

WICHERKOWSKI.

Nie obawiaj się, przecież mnie znasz, ja jestem dyplomata w takich razach. Ja mu tylko zrobię nie spodziankę i, gdy przyjdzie na miejsce schadzki, zamiast ciebie, zastanie mnie, uważasz?

PULCHERYA (*śmiejąc się nieszczerze*).

W istocie to będzie bardzo zabawne (*zatykając usta wachlarzem, idzie powoli na prawo, gdzie stoi Malinowski*).

WICHERKOWSKI.

Prawda, wyborne? (*do Władysława, który się zbliżył*). Anioł nie kobieta, powiedziała mi wszystko; prosił ją (*resztę cicho opowiada z gestem*).

PULCHERYA (*przechodząc koło Malinowskiego*).

Pojutrze o trzeciój u nas. Jego nie będzie. (*Malinowski kłania się nieznacznie i wychodzi głębia*).

WICHERKOWSKI (*do Władysława*).

A co? mój systemat!

WŁADYSŁAW.

Doskonały.

WICHERKOWSKI (*ucieszony*).

Prawda? (*idzie, całuje w rękę Pulcheryą, prowadzi i siada z nią na lewo*).

(*Władysław wychodzi do salonu*).

FIKALSKI (*w głębi sceny, oparty o stół z kieliszkiem w ręku, do otaczającej młodzieży*).

Panowie! Jeżeli w istocie coś zrobiłem na tém polu, to tylko dzięki waszemu życzliwemu poparciu,

waszemu energicznemu współdziałaniu. Wnoszę więc zdrowie dzielnych danserów!

WSZYSCY (*idą do stołu*).

Wiwat!

SCENA XIV.

CIŻ, CIUCIUMKIEWICZ, KATARZYNA, TECIA, MIECIA, LOLA, MUNIA, *za nimi* FUJARKIEWICZ.

KATARZYNA.

Panienki na swoje miejsca (*córki siadają; do męża*). I tu go niema.

CIUCIUMKIEWICZ.

Znikł jak kamfora.

KATARZYNA.

Musiał już odejść.

CIUCIUMKIEWICZ.

Przed kolacją, to nie do pojęcia.

KATARZYNA.

O! w tém się coś kryje. Z tym panem Malinowskim jakaś nieczysta sprawa. Chyba-bym nie była Ciuciumkiewiczową, żebym tego nie doszła (*siada na kanapie, mąż obok niej*).

FIKALSKI (*stając we drzwiach, prowadzących do salonu, i patrząc za scenę, klaszcze w dłonie*).

Musik! bitte Mazur! (*zwracając się za scenę*). Panowie! mazur się zaczyna! (*wychodzi, za nim młodzież*).

(*Muzyka zaczyna grać mazura*).

FUJARKIEWICZ (*od stołu z winem ostatni, w zabawnych podskokach, zbliżając się do Pulcheryi*).

Służę pani (*podaje jej ramię*).

WICHERKOWSKI (*idąc za nimi*).

Tylko powoli, panie, z moją żoną, ostrożnie, żeby się nie zmęczyła (*wychodzą do salonu*).

FUJARKIEWICZ.

Bądź pan spokojny, jestem z zawodu skończony farmaceuta (*wychodzą*).

SCENA XV.

CIUCIUMKIEWICZ, KATARZYNA, TECIA, MIECIA, MUNIA, *potém* JANINA, LOKAJ, *w końcu* WRÓBELKOWSKI.

(*Panny zirytowane, że ich nikt nie wziął do mazura, wachlują się gwałtownie wachlarzami*).

KATARZYNA.

To także concept! dawać bal i nie postarać się o młodzież.

TECIA.

I jaka tu młodzież, Boże!

MIECIA.

Wcale im się ten bal nie udał.

JANINA (*wchodzi żywo z salonu*).

Jakto? panie tutaj? znowu?

TECIA.

Tam w sali takie gorąco...

MIECIA.

Że wytrzymać nie można.

KATARZYNA.

Zresztą moje córki nie bardzo za mazurem.

(Lokaj podaje tacę z limonadą).

WRÓBELKOWSKI *(wpada z bukietem i, podając go Janinie, która oddaliła się na chwilę od Ciuciumkiewiczów na lewo).*

Czy mogę panią prosić?

JANINA *(biorąc bukiet).*

Bardzo panu dziękuję, ale było-by to niegrzecznością ze strony gospodyni tańczyć, gdy tyle panien siedzi podczas mazura. Jeżeli mi pan chcesz zrobić przyjemność, to bądź pan łaskaw poprosić jedną z tych panienek. Panno Teciu, ten pan prosi cię do mazura, oto bukiet *(podaje).*

WRÓBELKOWSKI *(zmieszany).*

Ależ pani.

(Słychać gwałtowny brzęk szkła za sceną).

JANINA *(idąc w stronę salonu).*

A tam co? *(do wchodzącego lokaja).* Co się stało?

LOKAJ.

E, nie, lustro, proszę pani.

JANINA.

Może to wielkie?

LOKAJ.

Tak; będzie szczęście, proszę pani, bo się dziś szkło strasznie tłucze *(wychodzi do salonu za Janiną).*

TECIA *(podając rękę Wróbelkowskiemu).*

Służę panu.

WRÓBELKOWSKI *(zakłopotany).*

Ależ, bo...

FIKAŁSKI *(za sceną).*

Czwarta para!

TECIA.

Wołają nas *(podaje mu rękę i wybiega w podskokach).*

MIECIA *(zobaczwszy kartkę, która wypadła z bukietu).*

Mamo, jakaś kartka.

KATARZYNA.

Pewnie oświadczenia miłosne *(uradowana rozwija i czyta).* „Kocham cię oddawna“, słyszysz, Jasiu? *(nagle zmienia ton).* Co?

CIUCIUMKIEWICZ.

Co takiego?

KATARZYNA *(czyta prędko).*

„Daj mi znać, kiedy męża twego nie będzie w domu“ — to nie do Teci!

CIUCIUMKIEWICZ.

No, tak, bo zkądże-by ona wzięła męża tak na poczekaniu.

KATARZYNA.

A, rozumiem, to do niej! Bukiet był dla niej przeznaczony!

CIUCIUMKIEWICZ.

Dla kogo?

KATARZYNA.

Dla Żelskiej.

CIUCIUMKIEWICZ.

Horrendum!

KATARZYNA (*tragicznie*).

I mają tu panny wychodzić za mąż, kiedy im mężatki w ten sposób psują interesa!

CIUCIUMKIEWICZ.

Tak, konkurencja w takich warunkach dla pańien jest prawie niepodobną.

KATARZYNA.

Ha! obłudnica! a udaje taką skromniśią! Muszę też to zaraz pokazać Turtulińskiej, która tak unosi się nad jęj cnotą... Będzie miała teraz dowód!

CIUCIUMKIEWICZ.

Corpus delicti.

KATARZYNA.

Chodźmy prędzej do salonu, panienci, Jasiu!

CIUCIUMKIEWICZ (*podając jęj rękę*).

Duszyeczko, uspokój się, jesteś cała wzburzona, trzęsiesz się.

KATARZYNA.

Trzęsę się z oburzenia w imieniu wszystkich matek, których córki wędną w panińskim stanie przez takie kokietki! Chodźmy! (*wychodzą szybko do salonu*).

SCENA XVI.

WRÓBELKOWSKI, *potém* JANINA, TELESFOR, CIUCIUMKIEWICZ.

WRÓBELKOWSKI (*z lewój z drugich drzwi*).

Gdzie ta kartka mogła się podziać? Zlustrowa-

łem bukiecik tęg gąski, z którą tańczyłem, ale tam już nie było. Chyba tu gdzie wypadła (*szuka po ziemi, po chwili*). E, ostatecznie niema się o co kłopotać. Kartka była bez podpisu, a co do oświadczyn, to sobie i bez pisania dam radę. W tańcu naprzykład, albo gdzieś na uboczu. Poco tu robić długie ceregiele? (*siada na kanapie z papierosem*).

TELESFOR (*z sali prowadząc Ciuciumkiewicza*).

Ale, co tam! kobiety nie zginą bez ciebie; chodźmy lepiej na kieliszeczek (*sposstrzegłszy Wróbelkowskiego*). A pan czemu nie tańczy? tam mazur.

WRÓBELKOWSKI.

Mam już póty tego tańca.

TELESFOR.

He, he, jesteś pan już kaput, co?

WRÓBELKOWSKI.

Kaput, nie kaput, ale nie widzę żadnej przyjemności tańczyć z pannami staremi i brzydkimi (*wstając, do Ciuciumkiewicza*). No, bo przyznasz pan, że co brzydkie, to brzydkie; naprzykład ta fornalka.

CIUCIUMKIEWICZ.

Jaka fornalka?

WRÓBELKOWSKI.

No, te cztery panny, co tu siedziały przed chwilą, prawdziwe monstra.

CIUCIUMKIEWICZ.

To moje córki, panie!

WRÓBELKOWSKI.

A, tak? to przepraszam.

TELESFOR.

Mój panie, jak ja byłem w pańskim wieku, to był-bym tańczył choćby z kawalkiem patyka.

WRÓBELKOWSKI (*siadając*).

Są gusta i guściki, ja do patyków nie zwykłem się palić.

TELESFOR (*n. s.*).

A to mi uciał. Dobrze mi tak. Po co się wda-
ję w rozmowę z takim chłystkiem (*do Ciuciumkiewi-
cza*). Chodźmy na kieliszeczek (*idąc w głąb*). Nasze
kochajmy się.

WRÓBELKOWSKI (*kładzie się na kanapie*).

O! mnie już potrzeba bardzo wiele, abym się
mógł bawić tańcem; ja potrzebuję pięknych salonów,
ładnych kobiet.

TELESFOR (*z oburzeniem zbliża się*).

A to co? co to ma znaczyć?

WRÓBELKOWSKI (*obojętnie*).

Co takiego?

TELESFOR.

Kto to pana uczył zachowywać się w ten spo-
sób w obywatelskim domu?

WRÓBELKOWSKI.

Obywatelski, nieobywatelski, ja lubię bez że-
nady.

TELESFOR.

Wstań mi zaraz, chłystku jakiś! Jeżeli cię nie
nauczono grzeczności dla starszych, to ja cię nauczę,
smarkaczu jakiś!

WRÓBELKOWSKI (*zrywając się*).

Panie! to jest obraza, ja żądam satysfakcyi,
prześlę panu swoich sekundantów! (*bierze kapelusz*).

TELESFOR.

Przysyłaj sobie, błaznie, kogo ci się podoba, ja
tobie i twoim sekundantom uszy poobcinam!

WRÓBELKOWSKI.

Zobaczmy! (*z bohaterską miną wychodzi głębia*).

TELESFOR.

A to arogant, błazen! (*chodzi*). Aż mi lżej, że mu
palnąłem *verba veritatis*.

CIUCIUMKIEWICZ.

Śmiał nazwać moje córki fornalką!

TELESFOR.

Już to ten Fikalski nasprowadzał nam młodzieży,
niech go nie znam! (*patrzy do salonu*). O! co to za
młodzież, jak to tańczy. Boże zmiłuj się (*do Ciucium-
kiewicza z fantazyą*). Za naszych czasów nie tak tań-
czono, co? prawda? z ogniem, z animuszem! (*śpie-
wa*). „Podkóweczki dajcie ognia, bo dziewczyna
tego godna“, hej, ha! i jak człowiek wyrznął obca-
sem o podłogę, to aż, panie, drzazgi się łupały! to
był taniec; ale dziś jakieś tam fidrygałki, michałki,
komedye.

CIUCIUMKIEWICZ.

To się nazywają figury.

TELESFOR.

Niech ich dunder śwśnie z ich figurami! Za naszych czasów nie znano tych wymysłów, tańczono po prostu, ale dziarsko, ogńście, prawda? No, trąćmy się, niech żyje stara gwardya!

FIKAŁSKI (*za sceną*).

Za mną, panowie! para za parą!

TELESFOR (*do Ciuciumkiewicza*).

O, jak oni tańczą! (*usuwa się na przód sceny na lewo*).

SCENA XVII.

Ciż, Fikałski z Janiną, Wicherkowski z Pulcheryą, Fujarkiewicz z Kamillą, Adolf z Tecią, Bagatelka z Lolią, Władysław z Munią i jeszcze dwie pary.

Fikałski (*wpada z Janiną, udekorowany mnóstwem orderów*).

Pary na lewo za mną! (*tańczy w lewą stronę, za nim pary w porządku wyżej wymienionym*). Rondo!

TELESFOR.

Krzyczy, jak do głuchych.

FIKAŁSKI.

Dwa kółeczka, cztery kółeczka, ośm kółek, ho-lupiec, mazur! (*tańczy z ręką lewą podniesioną do góry, ocierając od czasu do czasu pot z czoła*). Para za parą, stać! (*zatrzymuje się przed budką suflera, za nim inne pary*). Panowie w lewo, panie w prawo, przy spo-

tkaniu *chaîne*! (*tańczą*). Żle! pomyłone! Jeszcze raz, para za parą, para w prawo, druga w lewo! (*komenderuje resztę*) w prawo! w lewo! (*Fujarkiewicz, zamiast w prawo, idzie w lewo*). Ależ, panie Fujarkowski!

FUJARKIEWICZ (*poprawiając*).

Fujarkiewicz.

FIKAŁSKI.

Fujarkiewicz, mniejsza o to, gdzie pan idziesz? tu na prawo, w prawo, w lewo. Tak. Po dwie pary, *en avant*, stać! Panowie na skrzydłach, panie w środku (*biegnie ustawiać dalsze pary, powtarzając tę samą komendę*). Panowie podają sobie ręce, panie zostają na miejscu! Panowie za mną (*prowadząc wę-ża, wychodzi z tańcerzami do salonu*).

TELESFOR (*wzruszając ramionami*).

To także grzecznie, niema co mówić. Damy zostawili, a sami latają tam, jak waryaci! E! szkoda czasu (*do Wicherkowskiej*). Służę pani. Ja wam пока-żę, jak się tańczy mazura (*tańczy ostro, zamaszycie, po dawnemu*). Hop ha! hejże ha!

KAMILLA (*do Janiny*).

Patrz, jak wujcio jeszcze wywija; dobrze, wujciu, doskonale!

CIUCIUMKIEWICZ.

A co! chwat jeszcze z niego, he, he, he...

TELESFOR (*z coraz większym ogniem*).

Hej dziś, dziś, jutro, jutro...

CIUCIUMKIEWICZ.

Brawo! brawo, Telesforku!

TELESFOR (*tańcząc*).

No, Ciuciumkiewicz, za mną.

CIUCIUMKIEWICZ.

E, ja tam już nie do tego.

JANINA (*rozochocona, z uśmiechem podaje mu rękę*).

Służę panu.

CIUCIUMKIEWICZ.

Ha! no! (*puszcza się w taniec za Telesforem*).

FIKALSKI (*wpada z młodzieżą*).

Teraz panie rondo. A to co? (*do Telesfora*). Panie, tak nie można, pan mi psujesz figurę!

TELESFOR (*nie słuchając*).

Hop ha! hejże ha! Za mną, panowie, tylko ostro!

(*Adolf i Władysław biorą tancerki i tańczą za Telesforem*).

FIKALSKI (*zirytowany*).

Ale to na nie tak! (*łapie Telesfora za rękę*). Panie! bo ja robię ulicę!

TELESFOR (*wyrywając rękę*).

A ja mazura! Z ogniem, panowie! hej dziś, dziś! (*mazur około*).

KATARZYNA (*wchodzi i, ujrzawszy męża, rozkłada ręce zgorzszona*).

Jasiu! bój się Boga! Co ty robisz?

TELESFOR.

Odbijanego, panie dzieju! (*puszcza swoją damę, klaszcze w dłonie, robi holupca z Ciuciumkiewiczową i mimo jej woli porywa ją w taniec do drugiego pokoju*). Hop, ha! ostro, panowie!

(*Wszystkie pary puszczają się za nim*).

FIKALSKI (*zrozpaczony, biegnie za nim*).

Ale to na nie! Tak nie można! Za pozwoleniem, na nowo! (*tańczą*).

(*Kurtyna zapada*).

K o n i e c a k t u I I.

AKT III.

(Ten sam pokój, ale urządzony jak w pierwszym akcie).

SCENA I.

FRANCISZEK, ADOLF.

FRANCISZEK (*z miotłką, w fartuchu, rozgląda się ucieszony po pokoju*).

No, tak, teraześmy wrócili już jako tako do dawnego porządku. Aż miłej spojrzeć. A, pan Adolf!

ADOLF (*wchodzi, z głębi*).

Jak się Franciszek ma?

FRANCISZEK (*klaniając mu się z wyrazem wdzięczności i życzliwości*).

Dziękuję ślicznie panu.

ADOLF.

A gdzież panie?

FRANCISZEK.

U siebie i jeszcze nie ubrane.

ADOLF.

Czy może słabe?

FRANCISZEK.

Panienka, dziękować Bogu, zdrowa, jak rybka,

co-by jój tam było? Ale nasza pani jakoś niedomaga na głowę od tego balu. Do tego jeszcze biedaczka wczoraj tyle się umęczyła.

ADOLF.

A to czém?

FRANCISZEK.

Hm, proszę pana, albośmy to wczoraj małą mieli uwijatykę? I ja, i panienka, i pani, i Walentowa, wszystko miało co do roboty, bo trzeba było po téj rujnacyi balowej każdą rzecz znowu na swoje miejsce transportować, czyścić, porządkować, to znowu oddawać naczynia, srebra, co się pożyczyło, a tu to zbite, tego brakuje, i kłopot. Samych łyżeczek srebrnych, proszę pana, zginęło pięć przy tych wielbnych fagasach,—jak pana szanuję; a Franciszek tyle lat służy, i jeszcze, dziękować Bogu, nie przy nim nie zginęło. Będą państwo mieli nauczkę na drugi raz, skoro im się zachciało fagasów.

ADOLF (*siadając, z uśmiechem*).

Jak widzę, to Franciszek niekontent coś z tego balu.

FRANCISZEK.

O! proszę pana, ja nieprędko zapomnę tego despektu, jaki mnie spotkał. I to jeszcze nie koniec na tém, bo niech-no się tylko rok skończy, to ja państwu powiem wyraźnie, że jak sobie chcą wyprawiać bale z fagasami we frakach i bawełnianych rękawiczkach, to ja im ślicznie dziękuję za służbę.

ADOLF.

No, no, ja myślę, że się państwu więcej nie zechce balów.

FRANCISZEK.

Bo i na co im to tego, proszę pana? koszt duży, mitręgi jeszcze więcej, a zabawy żadnej. Z dobrymi znajomymi zabawić się, to nie mówię, ale...

SCENA II.

CIŻ, WŁADYSŁAW, później TELESFOR.

WŁADYSŁAW (*w kapeluszu z głębi, w paletocie, który zaraz zdejmuję i oddaje Franciszkowi*).

A, jesteś tu? Wracam od gospodarza.

ADOLF.

I cóż?

WŁADYSŁAW.

Ha, cóż — dziwak uparł się i ustąpić nie chciał, dopiero aż mu przyrzekłem, że już więcej balów dawać nie będziemy.

ADOLF.

Słyszysz, Franciszku, nie mówiłem ci?

FRANCISZEK.

To tylko pytanie, co panienka i pani na to powiedzą? (*zabiera paletot, kapelusz i wychodzi na prawo*).

ADOLF. (*z uśmiechem*).

Franciszek jakoś nie bardzo wierzy w twoje rzady tutaj.

WŁADYSŁAW (*widząc wchodzącego Telesfora*).

A to co? Na kogo wuj wybiera się z temi mordercami narzędziami?

TELESFOR (*z pierwszych drzwi na lewo, trzymając w lewej ręce szpadę, w prawej szablę*).

Ha, może trzeba będzie niemi kogoś pomagać, dlatego wyjąłem je z szafy i odpolerowałem troszeczkę (*robi kilka cięć w powietrzu*). A co? dobrze jeszcze idzie?

WŁADYSŁAW (*z uśmiechem*).

Przecież wuj nie myśli się pojedynkować?

TELESFOR.

Właśnie, że myślę.

WŁADYSŁAW (*j. w.*).

Z kim?

TELESFOR.

Z jednym z tych smarkaczy, co ich tu Fikalski do tańca posprowadzał. Obraził się kawaler, żem go nazwał tém, czém jest właściwie, to jest smarkaczem, i przysłał mi sekundantów.

WŁADYSŁAW.

Ale przecież wuj nie zechcesz?

TELESFOR.

Dlaczego?

WŁADYSŁAW.

Bo-by to było nonsensem stawać na wyzwanie jakiegoś tam młokosa.

TELESFOR.

Więc mam zgodzić się na to, żeby ten sam młokos głosił potem po całym mieście, że pułkownik Telesfor stehórzył przed nim? Nie zapominaj, mój kochany, że ja stary wojskowy i muszę dbać o swój honor.

WŁADYSŁAW.

Ale wuj już w tym wieku....

TELESFOR.

Nie bój się, pokażę ja im jeszcze, co stary potrafi, zmasakruję na kwaśne jabłko.

WŁADYSŁAW.

Ależ to być nie może. Jeżeli już koniecznie idzie o załatwienie tej sprawy, to ja, albo Adolf..

TELESFOR.

O! o! widzisz go, jaki mi dobrodziej! Patrzaj ty sobie swojej żony, którą masz, i dzieci, które mieć będziesz, a nie mieszaj się w cudze sprawy.

WŁADYSŁAW.

No to Adolf.

TELESFOR.

Tak, dała-by mi Kamilka, żeby mu tak z mojej przyczyny kawałek nosa odrąbali! ta dziewczyna-by mi oczy wydrapała.

WŁADYSŁAW.

W każdym razie, mój wuju, nie mogę pozwolić na to.

TELESFOR (*z udaną surowością*).

E, cóż wy mnie, u stu dyabłów, pod kuratelę wzięli, czy to ja małoletni, czy co? A subordynacya, mosanie. Mileżać i słuchać, co starsi każą. Gdzie są pistolety?

WŁADYSŁAW.

W moim pokoju.

TELESFOR.

Tak, to rozumiem. Muszę je opatrzyć, czy nie zardzewiały. Ja pokażę tym smarkaczom, co to zaczynać ze starym. Uszy poobcinam, dziurki w nosie powystrzelam, jak mi Bóg miły! kroćset milion beczek, fur beczek batalionów! (*wychodzi na prawo*).

WŁADYSŁAW.

Cóż ty, nie na to wszystko? Przecież to było-by dzieciństwem, żebyśmy pozwolili.

ADOLF.

Nie obawiaj się, nie przyjdzie do tego, mam sposób.

WŁADYSŁAW.

Jaki?

ADOLF.

To mój sekret (*patrzy na zegarek*). O! już druga (*bierze żywo kapelusze*). Bądź zdrow.

WŁADYSŁAW.

Gdzie idziesz? Kamilka zaraz przyjdzie.

ADOLF.

Wróćę za chwilę, za małą godzinkę. Do widzenia (*wychodzi głębia*).

WŁADYSŁAW (*chodzi zły*).

Otóż to takie skutki, jak się smarkaczów, niedowarzonych młodzików wpuszcza do domu (*sposstrzega wchodzącą Pulcheryą*). A! ta znowu tutaj, nieznośna kobieta, patrzeć na nią nie mogę! (*zostaje po lewej*).

PULCHERYA.

Dzień dobry panu, a gdzie żona?

WŁADYSŁAW (*chłodno*).

Zaraz będzie pani służyć (*wychodzi do drugich drzwi na lewo*).

SCENA III.

PULCHERYA, JANINA.

PULCHERYA (*patrząc na zegar*).

Mam jeszcze pół godziny czasu (*siada i wnet wstaje, ujrawszy wchodzącą*). A, jak się masz, moja droga. Co to? główka boli?

JANINA (*skronie chustką związaną*).

Nieznośna migrena.

PULCHERYA.

Znać w tobie nowicyuszkę, moja droga; po jednej nieprzespanej nocy już chora. To tylko z początku tak; jak dasz drugi, trzeci balik...

JANINA.

A niech-że Bóg broni!

PULCHERYA.

Co? No, przecież spodziewam się, że nie poprzestaniecie na tym jednym, choćby dla zrehabilitowania się w opinii, która wasz balik nazwała damskim piknikiem (*siada obok kanapy*). Przyznaj sama, że dowieć się, bo były same prawie kobiety, a mężczyźni zaledwie jak na spróbowanie.

JANINA.

Wszak słyszałaś sama, że Fikalski obiecał.

PULCHERYA.

O! Fikalski wcale się nie spisał, ale on umył ręce od wszystkiego i całe niepowodzenie poszło na wasz rachunek, to też wzięto was na języzki.

JANINA (*z oburzeniem*).

Na języki nas?

PULCHERYA.

No, no, moja droga, nie trzeba się tak zaraz alterować. Świat zawsze się musi kimś bawić, dziś wami, jutro kim innym...

JANINA.

Piękna zabawa kosztem bliźnich!

PULCHERYA.

Ha, darmo, moja droga, ludzi nie przerobisz. Potrzeba być trochę filozofką na takie rzeczy. Z początku to drażni, gniewa, ale potem oswoisz się.

JANINA.

Wolę się wcale nie przyzwyczajać.

PULCHERYA.

Już to najwięcej obniosła was po mieście Ciuciumkiewiczowa; a radziłam nie zapraszać téj bajczarki.

JANINA.

Cóż ona może mówić takiego?

PULCHERYA.

Ach, niestworzone rzeczy: żeście kazali sobie zapłacić za stłuczone lustro,—ja wiem, że to nieprawda, nie potrzebujesz się tłumaczyć, ale ta baba z igły robi widły; że limonada była z apteki, a kołtety nieświeże, podobno zakupione z akademickiego balu.

JANINA (*wstając oburzona*).

Ależ to jest ohydne, potworne, szkaradne!

PULCHERYA.

No, tak, lubo mówiąc między nami, moja droga, to kolacya była wcale nieświeżna, nawet bardzo nieświeżna. Majonez był ohydny, a szampan wcale nieszczególny, jak cię kocham, ja się znam na tém. Skoro się wystąpiło, to trzeba było już wystąpić porządnie, zwłaszcza, że to piérwszy bal u was. A tak teraz Ciuciumkiewiczowa ostrzy sobie na was swój język i przypina łątki, gdzie może. Jestem pewna, że ta historyjka o miłosnym bileciku do ciebie, to także od niej wyszła.

JANINA.

O jakim bilecie pani mówi? Nic nie wiem, nie rozumiem.

PULCHERYA.

No, no, moja droga, przede mną nie masz powodu robić sekretu, ja jestem wyrozumiałą na takie rzeczy; któraż z nas nie ma na sumieniu podobnych grzeszków? Tylko pozwól sobie zrobić uwagę, że niepotrzebnie bawicie się w pisaninę. Rób, co chcesz, tylko nie pisz, bo to zostaje i kompromituje potém. Nie tak nie plami honoru kobiety, jak atrament. Wierz mi, moja droga, bo ja mam już niejaki doświadczenie w tym względzie (*wstaje*).

JANINA (*j. w.*).

Ale przysięgam pani.

PULCHERYA.

Co? już pół do trzeciej? Czy wasz zegar dobrze idzie? A niech-że ja idę. No, do widzenia, moja droga; a jak będziecie dawać drugi bal, to już ja go wam urządzę; zobaczysz, że wypadnie całkiem inaczej. Całuję cię. Nie fatyguj się, jesteś słabą. A na migrenę przysłę ci Po-ho, znakomity środek, kilka kropli rozetrzeć na skroni i ból ustaje; no, do widzenia (*odchodzi głębia*).

JANINA (*d. s.*).

Takie potworne plotki! Ach, gdybym była wiedziała! (*chodzi żywo po scenie*).

PULCHERYA (*spotkawszy się we drzwiach z Ciuciumkiewiczową, całują się serdecznie*).

A! łaskawa pani, jakże mi się pani miewa? Jakże zdrowie?

KATARZYNA.

Ślicznie dziękuję (*przysiadając we wzajemnych dygach*).

PULCHERYA.

Córeczki?

Dzięki Bogu.

JANINA (*spozregłszy Katarzynę*).

Co? ta kobieta ma jeszcze śmiałość pokazywać się w moim domu. A! to bezczelność!

PULCHERYA.

Do widzenia, do widzenia z kochaną panią.

KATARZYNA.

Mężusiowi moje uszanowanie (*całując się*).

SCENA IV.

JANINA, KATARZYNA.

KATARZYNA (*idzie drobnym kroczkiem*).

Jakże mi się droga pani miewa? O! coś nienajlepiej. (*Janina wita ją obojętnie, milcząc i wskazuje kapturę, na której i sama siada*).

KATARZYNA.

To tak, jak mój mąż, który od tego wieczorku u państwa nie może przyjść do siebie. Biedaczek, on taki delikatny, że jak tylko zje coś niezdrowego...

JANINA (*z ironią*).

Czém-że struliśmy męża pani?

KATARZYNA.

Struli?

JANINA.

No, bo tak wypada z tego, co pani mówi.

KATARZYNA.

Uchowaj Boże! ja nie nie mówię, bo się na tém nie znam, tylko doktor tak utrzymuje. Tak. Bożeż kochany, a gdzieżbym ja śmiała! Ta to my tylko wdzięczni państwu być musimy, żeście byli tak łaskawi pamiętać o nas i zaprosili na taki śliczny wieczorek. A że się moje panienki nie ubawiły tak, jak się spodziewały, to już nie państwa wina, bo teraz w ogóle zabawy się nie udają. U nas dawniej to się bawiono, można powiedzieć, jak mało gdzie, ale odkąd panienki powyrastały, nie wypada nam ciągnąć młodzieży do domu, bo pani wie, jaki to świat złośliwy, zaraz obmówią, oszkalują.

JANINA.

O! to prawda.

KATARZYNA.

To strach, jakie to bajeczarskie miasto ten Kraków. Śmiało naprzykład utrzymywać, że do państwa zbierano młodzież po kawiarniach bez najmniejszego wyboru, że były jakieś podejrzané indywidua, gdy tymczasem my z mężem sprawdzaliśmy tę okoliczność i okazało się, iż rzeczywiście był tylko jeden taki, o którym nikt nie wie, co za jeden, z czego się utrzymuje, niejaki Malinowski.

JANINA.

Malinowski? Pani Wieherkowska go nam zaproponowała.

KATARZYNA (*z dwuznacznym uśmiechem*).

A!

JANINA.

Co pani chcesz przez to powiedzieć?

KATARZYNA.

E, nie, nie chcę o nikim źle mówić, lubo o tém dało-by się dużo powiedzieć. Ale ja tu gadu, gadu, a tam mój biedny Jaś sam jeden; panienki na lekcjach (*wstaje*). Pani daruje, że pożegnam (*bierze torbeczkę ze stołu*). A! była-bym na śmierć zapomniała (*otwiera i wyjmuje*). Odnoszę paniną zgubę.

JANINA (*zdziwiona*).

Moję?

KATARZYNA.

Tak (*szuka w torbie*). Gdzież ja ją podziałam? List pasterski o miłości bliźniego, przepis na serowy placek, próbka materyi, a! otóż jest (*oddaje różową kartkę*).

JANINA (*przejrzawszy prędko*).

Zkąd-że pani przypuszcza, że to do mnie?

KATARZYNA (*słodko*).

Kartka była w bukieciku, który pani oddała Teci, a że Teci męża nie ma...

JANINA (*z oburzeniem rzucając kartkę na stół środkowy*).

Ależ to chyba szaleniec, albo bezczelnik jakiś śmiał pisać podobne brednie!

KATARZYNA.

W każdym razie radzę pani spalić. Gdyby mążulek zobaczył...

JANINA (*z godnością*).

Ja przed mężem moim nie mam żadnych sekretów.

KATARZYNA.

Zawsze to nie było-by mu może bardzo przyjemne. Zresztą co mnie do tego, ja zrobiłam swoje. No, całuję kochaną panią, padam do nóżek (*dygając nisko i całując w powietrzu, odchodzi głębiej*).

JANINA (*patrzy za nią z pogardą*).

Ha, jaszczurka! Potrzebowałam całej mocy nad sobą, aby nie wybuchnąć oburzeniem na tę bajeczkę (*chodzi wzburzona*). A! cóż to za kobiety. Plotki, obmowy, komeraże, i to się nazywa u nich życiem towarzyskiem! (*do Władysława, wchodzącego z Kamillą z drugich drzwi z lewej*). O! miałeś słuszność, Władziu, że nie chciałeś puszczać do domu tych ludzi.

SCENA V.

WŁADYSŁAW, KAMILLA, JANINA, później FIKALSKI.

WŁADYSŁAW (*troskliwie*).

Co się stało? Jesteś cała wzburzona.

KAMILLA.

I twarz rozpalona.

JANINA (*siadając na kanapie*).

Ach, to te wizyty szanowne tak mnie zmęczyły, zirytowały. Żądła owadów były-by mniej dokuczliwe od języków tych pań.

WŁADYSŁAW.

A! rozumiem! naznosiły ci pewnie cały zapas bajeczek, jakie krążą o nas po mieście.

JANINA.

Więc już wiesz o tém?

WŁADYSŁAW.

Nie, ale domyślam się, bo bajeczki, to zwykła potrawa tych pań po każdym balu, jak barszcz po przepieciu. Nie strawiły-by, żeby nie wygadały.

JANINA (*wstaje i chodzi*).

O! ludzie są podli, źli, obrzydliwi (*przechodzi na lewo, Kamilla na prawo*).

WŁADYSŁAW (*idąc za nią*).

No, no, tylko nie wpadajmy znowu w ostateczności. Źle-by było, żeby wszyscy byli tacy. Są źli, ale są i dobrzy, idzie tylko o to, żeby umieć wybrać i odróżnić jednych od drugich (*spostrzega Fikalskiego*). A! otóż i nasz bohater karnawałowy.

FIKALSKI (*ożywiony*).

Moje uszanowanie (*kłania się paniom, które go chłodno przyjmują*). No, cóż? Czytaliście państwo w dzienniku artykuł o waszym balu?

WŁADYSŁAW (*zdziwiony*).

O naszym balu?

FIKALSKI.

Jakto? nie czytaliście jeszcze? Był we wczorajszym numerze?

WŁADYSŁAW.

Któż go podał?

FIKALSKI (*z przechwałką*).

Ja sam postarałem się o to.

WŁADYSŁAW.

I w jakim celu? Cóż czytelników może obchodzić jakaś tam prywatna zabawa?

FIKALSKI.

Dobry sobie! Bal, na którym ja aranżuję, ma nie obchodzić ludzi? taki bal, to fakt, który staje się własnością publiczną. Zaraz państwu pokażę ten artykuł (*wyjmując*). Mam go w odcinku, bo ja zbieram wszystkie takie artykuły, w których jest wzmianka o mnie; mam już takie album z tego (*pokazuje na grubość dość sporą książki*), to moje laury; o! proszę posłuchać (*czyta*): „Do najświetniejszych wieczorów tego karnawału należy bal u państwa Ż.” (*mówi*). To niby u państwa (*czyta*). „Znana gościnność gospodarstwa, wdzięk uroczych tancerek, liczne grono gości, przybyłych nawet z dalekiej prowincyi, a w końcu dzielne kierownictwo znanego w naszym mieście znakomitego aranżera, pana Fikalskiego, przyczyniło się niemało do podniesienia świetności tego wie-

czoru, który mile zapisał się na długie czasy w pamięci obecnych". — A co?

WŁADYSŁAW.

Ależ tu w tém wszystkiém od początku do końca niema słowa prawdy! Przecież sam wiesz najlepiej, że nie było nikogo z prowincyi.

FIKALSKI.

Owszem, był przecież jakiś Fujiarkiewicz z Mościsk; ale tu nie o to chodziło, tylko o sztuczne zrehabilitowanie w oczach publiczności tego balu, który, mówiąc między nami, nie udał się wcale, mimo to, że robiłem wszystko, co mogłem. Bo proszę państwa, co to za bal, który się skończył o pół do drugiej? to rzecz niepraktykowana w dziejach mego aranżerstwa. Za to u Guzikowskich, powiadam państwu, bawiliśmy się od północy znakomicie. Będzie i o tym balu w dzisiejszym numerze. To był dopiero bal, do ósmój rano! Przy ostatnim mazurze, to, powiadam państwu, muzykantom smyczki z rąk wypadły, a panny oddechu złapać nie mogły z umęczenia i tak robiły pierściami; ale ja muzykantom obiecałem dolożyć dwadzieścia florenów ze składki między młodzieżą zebraną, pannom zaaplikowałem po kieliszku starego wina i tańczyliśmy do upadłego. To też byłem taki zmachany, spocony, że, jak siedliśmy potem z paniami do barszczyku i bigosu, formalnie lało się ze mnie.

WŁADYSŁAW (*śmiejąc się*).

Nie zazdroszczę wcale tym pannom, co siedziały obok ciebie; mogły-by łatwo dostać kataru z wilgoci.

FIKALSKI.

One, nie wiem, ale co ja, tom się ogromnego kataru nabawił. Radzono mi łaźnię parową. Muszę spróbować, bo dziś w wieczór mam znowu być u Szyperkowskich, i właśnie dlatego przyszedłem tutaj prosić panią o te przybory do kotyliona.

JANINA.

Odesłałam je panu.

FIKALSKI.

Wiem o tém, ale braknie jeszcze kilku chorągiewek, czepek i kilku nosów. Musiały tu gdzie zostać.

KAMILLA.

Ja widziałam, zdaje mi się, jakieś nosy za lustrem, czy też na piecu w salonie.

JANINA.

To może tam i reszta pańskich skarbów się znajdzie; chodźmy poszukać, Kamilko (*idzie na lewo do drugich drzwi*).

FIKALSKI (*idąc za niemi*).

Będziemy wspólnie szukali, bo mi idzie o te przybory, szczególnie o nosy (*wychodzi*).

WŁADYSŁAW (*sam*).

I są ludzie, którzy utrzymują, że on nic nie robi,

a on tymczasem pracuje więcej, niż my wszyscy, i dlaczego? Dla zdobycia sobie sławy niezmordowanego galopeda (*spozstrzega Wicherkowskiego*). A, otóż i drugi galoped, tylko w innym rodzaju.

SCENA VI.

WICHERKOWSKI, WŁADYSŁAW, *później* FIKALSKI, JANINA,
KAMILLA.

WICHERKOWSKI.

On tu jest? prawda?

WŁADYSŁAW.

Kto taki?

WICHERKOWSKI.

Fikalski.

WŁADYSŁAW.

Ale żony pańskiej tu niema.

WICHERKOWSKI.

Wiem o tém. Moja Pulcherya siedzi teraz spokojnie i bezpiecznie w domu, gdy tymczasem ja idę za nim krok w krok, ścigam go, jak Erynnia. Jak panu mówiłem, prosił ją o schadzke.

WŁADYSŁAW.

No tak, i pan miałeś tam iść i czekać.

WICHERKOWSKI.

Ale zmieniłem zamiar. Przy takiem spotkaniu oko w oko musiało-by koniecznie przyjść do awantury, a ja tego sobie nie życzę, to-by się sprzeciwiało mojemu systematowi; zresztą mógł-by mnie zobaczyć z daleka i zminąć, a ja musiał-bym Bóg wie

jak długo marznąć na stanowisku, i to jeszcze w sąsiedztwie nieboszczyków. To niewielka przyjemność. Dlatego ułożyłem sobie coś lepszego (*poufnie*). Od drugiej godziny mam go na oku i nie opuszczam ani na chwilę. On wychodzi z restauracyi, ja spotykam go niby przypadkiem na rynku. On wstępuje do apteki, ja także wszedłem na szklankę wody sodowej; on do krawca, ja także wymyślam sobie interes i obstałowałem kamizelkę, choć ich mam kilkanaście w domu. Potém on udaje, że ma jakiś pilny interes do biura, puszczam go, ale w cukierni naprzeciwno zająłem stanowisko, bo wiedziałem, że to tylko wymówka i że niezadługo wyjdzie. Jakoż rzeczywiście wyszedł, ale dla zmylenia tropu wstąpił po drodze do państwa, a ja za nim. I tak krok w krok będę go ścigał aż do wieczora.

WŁADYSŁAW (*j. w.*).

I w jakim celu?

WICHERKOWSKI.

Jakto? pan się nie domyślasz jeszcze? Pomyśl pan, co jemu teraz dziać się musi. On przypuszcza (bo ci zarozumiałcy wszystko przypuszczają), że tam Pulcherya czeka na niego, drży z niecierpliwości i obawy, aby się nie spóźnić, a iść nie może, bo ja krok w krok za nim. Patrz pan, co za wyrafinowana zemsta! jaka męczarnia dla rozpustnika. A wszystko spokojnie, grzecznie, bez hałasu; to mój systemat. Cicho! to on!

(*Janina i Kamilla wchodzą z drugich drzwi na lewo.*)

FIKALSKI (*do Janiny i Kamilli*).

No, zabieram moje rzeczy i uciekam. A! pan Wicherkowski!.. jakoś dzisiaj mamy szczęście spotykać się.

WICHERKOWSKI.

A tak, rzeczywiście, wielkie szczęście.

FIKALSKI.

Żegnam łaskawe panie, moje uszanowanie.

WICHERKOWSKI (*biorąc kapelusz*).

Czekaj pan. Idziemy razem, może nawet w jedną stronę.

FIKALSKI.

Ja do parówki, na katar.

WICHERKOWSKI.

A to się doskonale składa, bo mnie właśnie doktor polecił łaźnią parową; będziemy się razem parzyć (*do Władysława*). A co? mój systemat (*do Janiny i Kamilli*). Sługa pań (*do Fikalskiego, biorąc go pod rękę*). Chodźmy!

JANINA.

Zkąd-że teraz Wicherkowski w takiej przyjaźni z Fikalskim?

WŁADYSŁAW (*śmiejąc się*).

To nie przyjaźń, to zazdrość.

JANINA.

I z zazdrości tak szuka jego towarzystwa?

WŁADYSŁAW.

Tak, to jego systemat.

KAMILLA.

A o co on zazdrośny?

WŁADYSŁAW.

Adolf ci to kiedyś wytłumaczy (*w czasie tej sceny, stojąc przy stole, mimowiednie bierze karteczkę różową w takiej chwili, kiedy Janina nie uważała, może najlepiej podczas odejścia Wicherkowskiego, i bezmyślnie bawi się nią, nie patrząc na nią, n. s.*). Ale co to jest, że jego dotąd niema? miał wrócić za godzinę, a teraz już pół do czwartej. Czy-by przypadkiem on sam nie chciał w zastępstwie wuja?... ten jego pośpiech, całe zachowanie się (*chodzi po scenie*).

JANINA (*spostrzegłszy kartkę w jego rękach, wydaje lekki okrzyk przestrawu*).

A!

KAMILLA.

Co się stało?

JANINA (*j. w.*).

Patrz! ta nieszczęsna kartka w jego rękach.

KAMILLA.

A co to za kartka? (*Janina mówi jej po cichu*).

WŁADYSŁAW (*n. s.*).

Muszę posłać Franciszka do jego mieszkania dowiedzieć się (*zafrasowany, nie patrząc na panie, wychodzi do swego pokoju na prawo*).

JANINA.

Widziałaś, jak się nagle zmienił, zachmurzył? Odszedł, nie spojrzawszy nawet na mnie. Boże! Boże! co tu robić? (*chodзи zalamując ręce*).

KAMILLA.

Ale bo ja nie rozumiem, o co tu desperować? Cóż ty temu winna, że jakiś tam głupiec ośmielił się pisać do ciebie? Powiesz mu, jak się rzecz miała, i historia skończona.

JANINA.

Ależ on, jako mąż, nie będzie mógł płazem puścić takiego zuchwalstwa. Wyzwie go i może się skończyć, jak z tym panem X, o którym Wicherkowski nam mówił. O! ja nieszczęśliwa, co tu począć? Ja nie mogę przecież pozwolić na to (*chce iść do pokoju męża i u drzwi zatrzymuje się*). Nie, ja nie mam odwagi wejść. Co ja mu powiem? czy mi uwierzy?

KAMILLA.

Czekaj, ja piérwój zobaczę (*zagląda przez dziurkę od klucza*).

JANINA (*niespokojnie*).

Cóż? czyta?

KAMILLA.

Nie, chodzi.

JANINA.

Pewnie już przeczytał, wie wszystko! (*chodзи*).

SCENA VII.

JANINA, KAMILLA, FUJARKIEWICZ.

FUJARKIEWICZ (*ubrany po balowemu*).
Czy wolno?

KAMILLA (*n. s. z gniewem*).
Ten także tu teraz potrzebny!

JANINA (*zblizając się do Kamilli*).
Mów z nim, bo ja nie mogę, nie mam głowy (*odchodzi na bok, siada, potem staje, przechodzi niespokojnie, patrząc na drzwi, prowadzące do pokoju męża, znowu siada*).

FUJARKIEWICZ.

Panie darują, że przychodzę o kilka minut później, niż tego wymagają przepisy towarzyskie, ale to z winy moich kaloszy, a właściwie mówiąc, nie moich, tylko kogoś, co był łaskaw zamienić je na tym wieczorku u państwa. Nie wiem, jak się to stało, ale dostały mi się tak kolosalnych rozmiarów, że, z przeproszeniem, moje nogi tańczą w nich na wszystkie strony.

JANINA (*wchodząc z głębi*).

I to ja, ja jestem winna temu wszystkiemu!

FUJARKIEWICZ.

Pani dobrodziejko, broń Boże, ja tego nie powiedziałem, ale zawsze to niedelikatnie ze strony tych panów.

JANINA (*j. w.*).

Zacheiało mi się koniecznie tego balu i teraz tyle, tyle zmartwienia!

(*Fujarkiewicz siada przy środkowym stole*).

FUJARKIEWICZ.

Niech pani dobrodziejka nie bierze tak bardzo tego do serca; ja myślę, że się znajdują.

KAMILLA (*półgłosem do Janiny*).

Janino, uspokój się.

FUJARKIEWICZ.

Niech pani uspokoi siostrę, że to przecież znowu nie taka strata. Więcej mi chodzi o kapelusz, który mi zamieniono; mój był całkiem nowy, a ten, o! proszę się przypatrzeć (*pokazuje stary kapelusz*), i co najgorzej, że o ile kalosze za duże, o tyle kapelusz za mały.

JANINA (*do Kamilli*).

Powiedz mu, żeby sobie poszedł, bo mnie irytuje jego obecność w takiej chwili.

KAMILLA.

No, moja droga, jakże ja mu to powiem?

FUJARKIEWICZ (*siada, głaszcze kapelusz, krząka i w końcu zaczyna mówić*).

Ładny mamy karnawał, bardzo ożywiony.

KAMILLA (*roztargniona siada z drugiej strony stołu*).

A tak, bardzo.

FUJARKIEWICZ.

Mówią, że przybyło umyślnie wiele osób z Poznńskiego i z zabranych prowincyi.

KAMILLA (*j. w.*).

A tak, tak.

FUJARKIEWICZ.

Podole, Ukraina i Wielkopolska dały sobie rendez-vous na gościnnych salonach stariej Piastów stolicy, jak mówi „Czas”.

KAMILLA (*j. w.*).

A tak, tak, wcale ładny czas.

FUJARKIEWICZ (*do Janiny, która chwilowo usiadła, przesiadając się bliżej do niej*).

A gdzież szanowny mąż pani dobrodziejki?

JANINA (*niecierpliwie i żywo*).

Mego męża niema w domu, a ja jestem cierpiąca.

FUJARKIEWICZ (*ze współczuciem*).

O! cóż to takiego? Może mógł-bym doradzić coś na razie, bo nie wiem, czy paniom wiadomo, że jestem z zawodu farmaceuta, skończony farmaceuta.

JANINA (*j. w., wstając, idzie ku drzwiom, gdzie wyszedł Władysław, za nią Kamilla*).

Na razie potrzebuję przede wszystkim spokoju, dlatego pan daruje, że go nie będziemy zatrzymywać dłużej.

FUJARKIEWICZ (*wstaje, n. s.*).

Musiałem przetrzymać pierwszą wizytę po-zas oznaczony przepisami towarzyskimi i dają mi to delikatnie do zrozumienia (*patrzy na zegarek, z prze-*

strachem). Rzeczywiście, o całe półtóry minuty (*głośno*). Mam honor pożegnać panie.

JANINA.

Żegnamy pana.

FUJARKIEWICZ (*wracając się od drzwi*).

A gdyby kto przypadkiem zgłosił się z mojemi kaloszami, albo kapeluszem...

KAMILLA.

Nie omieszkamy uwiadomić pana (*n. s.*). A to nudziarz!

FUJARKIEWICZ (*wracając się*).

Hotel Krakowski, numer szesnasty, oto mój bilet. Polecam się pamięci pań (*wychodzi głębiej*).

KAMILLA.

Nareszcie!

JANINA (*niepokojnie*).

Co on tak długo robi? Dlaczego nie wychodzi?

KAMILLA.

Czekaj, zobaczę (*zagląda przez dziurkę*).

JANINA (*niepokojnie*).

I cóż?

KAMILLA.

Rozmawia z wujaszkiem.

JANINA.

Pewnie mu wszystko opowiada.

KAMILLA.

Teraz coś wyjęli ze szkatułki.

JANINA.

Co takiego?

KAMILLA.

Zaraz, bo mi zasłonili plecami. Mnie się zdaje, że pistolety.

JANINA (*z rozpaczą, chodząc po pokoju*).

Pistolety! pojedynek! Boże! Przewidywałam to (*ze stanowczością*). Nie, ja nie mogę pozwolić na to, nie pozwolę nigdy, nigdy! Rzucę mu się do nóg, będę błagać, prosić (*do Kamilli*). Puść mnie!

KAMILLA (*zatrzymując ją*).

Idą tutaj.

SCENA VIII.

KAMILLA, JANINA, WŁADYSŁAW, TELESFOR, *potém* ADOLF, *w końcu* FRANCISZEK.

JANINA (*odsuwa Kamillę, chcąc ją zatrzymać, biegnie do Władysława, i chwytając go za ręce, mówi żywo, błagalnie*).

Władysławie! ja nie pozwolę nigdy na ten pojedynek!

TELESFOR.

Masz tobie, już się dowiedziały!

JANINA (*j. w.*).

Ty nie możesz, ty nie powinienes się bić!

WŁADYSŁAW (*zdziwiony*).

Ależ ja przecie wcale bić się nie myślę, to wuj.

JANINA.

Wuj? nie ty? Ach, oddycham! (*rzuca mu się na piersi*).

KAMILLA.

Ale i wujaszkwici bić się nie dają.

TELESFOR.

Coooo?

KAMILLA.

A rozumie się, bo czy to warto o takie głupstwo?
Że tam jakiś smarkacz śmiał...

TELESFOR.

Patrzcie państwo, i to nawet wiedzą; a że też
przed temi kobietami nie się ukryć nie może.

KAMILLA.

No, czyż nie mam słuszności? powiedz sam, wu-
jaszku...

TELESFOR.

A to nie wtrącaj nosa, gdzieś nie dała grosza,
rozumiesz? Smarkacz, nie smarkacz, skoro wyzwiał,
to stanąć jest moim obowiązkiem.

ADOLF (*który, wchodząc, słyszał ostatnie słowa*).

Kochany wuju! niema potrzeby.

TELESFOR.

A to dlaczego?

ADOLF.

Bo sprawa już załatwiona...

WŁADYSŁAW.

Więc już po pojedynku?

KAMILLA (*przestraszona*).

Jakto, pan się pojedyńkował? (*biegnie ku niemu*). Może pan jesteś ranny?

ADOLF (*całując ją w rękę z uśmiechem*).

Nawet nie drażnięty, bo przeciwnik stehórzył.

WŁADYSŁAW.

Spodziewałem się tego.

ADOLF.

Z początku stawiał się kawaler bardzo ostro
i udawał bohatera, bo ufał zapewnieniu swoich se-
kundantów, że pistolety będą nabite prochowymi
kulami.

TELESFOR.

A to szubrawcy!

ADOLF.

Ale moi nie zgodzili się na to i zażądali pojedyń-
ku na seryo. Wtedy dopiero paniczowi zrzęda mi-
na, zląkł się i zaczął prosić o przebaczenie.

WŁADYSŁAW.

No i, rozumie się, zgodziłeś się na to?

ADOLF.

Pod warunkiem, że przyjdzie tu i wobec świad-
ków przeprosi wuja i nas wszystkich.

TELESFOR.

A niech go tam kule biją z jego przeprosinami!

JANINA.

Ja go nie chcę więcej na oczy widzieć.

WŁADYSŁAW.

Ani ja.

TELESFOR (*stając z miną poważną przed Adolfem*).

Wszystko to bardzo pięknie, bardzo ładnie, ale

powiedz-no mi, panie, jakiem prawem mieszałeś się w nie swoje interesa, skoro ten chłystek chciał się ze mną bić?

KAMILLA.

Przecież wujaszek powinien być kontent, że pan Adolf taki dobry.

TELESFOR.

Ty mała bądź cicho, ja do ciebie nie gadam (*do Adolfa*). Któż to panu dawał plenipotencyą występować w mojem imieniu?

ADOLF.

To téż ja nie występowałem wyłącznie w imieniu wuja, tylko w obronie honoru domu, który mnie równie, jak wuja, obchodzi.

KAMILLA.

A widzi wuj (*do Adolfa*). Doskonale pan powiedziałeś.

TELESFOR (*spuszczając z tonu*).

No, i gadaj-że z takim filozofem. Zamknął mi gębę jednym słowem.

KAMILLA (*biorąc Adolfa za rękę*).

Ach, panie Adolfe, jaki pan jesteś dobry, jaki uczciwy, jaki zacny. Nie wiem doprawdy, jak panu podziękować za to, co dla nas zrobiliś.

TELESFOR.

No, pocałuj go, pocałuj, bo widzę już, że masz ochotę.

ADOLF (*przyciągając ją ku sobie*).

Panno Kamillo, słyszy pani, co wujaszek mówi?
— No?

KAMILLA (*chowając twarz*).

Kiedy wujaszek się patrzy.

TELESFOR.

No, no, nie patrzę, nie patrzę, całujcie się, całujcie.

(*Adolf całuje Kamillę zażenowaną*).

JANINA (*stojąc z drugiej strony Telesfora*).

Władziu kochany, więc nie gniewasz się na mnie?

WŁADYSŁAW.

Ja na ciebie? Ależ moja droga (*całuje ją*).

TELESFOR.

Teraz ci znowu, masz tobie! a to wzięli na całowanie; tylko ja jeden nieborak jak syngelton między nimi.

KAMILLA (*przybiega i całuje go*).

Żeby wujaszкови zazdrość nie było.

TELESFOR.

No, tak to co innego.

(*Słychać dzwonięcie za sceną*).

WŁADYSŁAW.

Pewnie znowu jaka wizyta.

JANINA (*prędko*).

Ja już nie chcę żadnych wizyt (*do wchodzącego z lewej Franciszka*). Idź, powiedz, Franciszku, że nas

niéma w domu. (*Franciszek wychodzi srodkowemi*).
Nam tu tak dobrze samym, nie prawda? (*mówi to do Władysława*).

KAMILLA (*trzymając Adolfa*).

O! bardzo dobrze.

WŁADYSŁAW (*do Franciszka*).

Któż to był?

FRANCISZEK.

A jakaś z tych balowych jeszcze. Jakoś nie bardzo chciała wierzyć temu, że państwa niéma w domu, bo się skrzywiła, jak po occie siedmiu złodziei, i poszła taka zła, że nawet biletu nie zostawiła.

TELESFOR.

A niech sobie poszła (*śpiewa*): „A kiedy odchodzisz, bywaj zdrów, o naszej przyjaźni jak chcesz mów”.

JANINA.

Franciszku, jakby jeszcze kto dzwonił...

FRANCISZEK (*uśmiechając się filuternie*).

Już nikt nie zadzwoni, proszę pani.

JANINA.

Dlaczego?

FRANCISZEK (*j. w.*).

Bom odkręcił dzwonek do góry, żeby państwo mieli już dzisiaj spokój.

KAMILLA.

Pocziwy Franciszek!

JANINA (*do Władysława zadowolona*).

No, teraz dom nasz znowu zamknięty.

WŁADYSŁAW (*całując ją w czoło*).

I będziemy go otwierać tylko dla dobrych przyjaciół.

JANINA.

Dla najlepszych.

TELESFOR.

Słusznie, bo lepiej mieć kilku przyjaciół, a dobrych, niż kupę ladajakich.

JANINA (*biegnąc po stolik do szachów*).

No, a teraz panowie zagrają sobie w szaszki.

WŁADYSŁAW.

A nie; to-by było nadużycie z naszej strony.

JANINA.

Mój Władziu! zrobisz mi tém wielką przyjemność.

TELESFOR (*nakładając fajkę*).

No, kiedy jój to przyjemność robi, to siadaj, siadaj.

WŁADYSŁAW.

Ależ będziesz się nudzić, duszyczko.

JANINA.

Jak cię kocham, tak nie. Ja sobie tu usiądę przy was z robótką, o! tak (*siada*), i będziemy rozmawiać.

KAMILLA (*do Adolfa*).

A my może zagramy sobie?

ADOLF.

Z ochotą.

KAMILLA.

A może pan wolał-by porozmawiać?

ADOLF.

To będziemy najprzód grać, a potem rozmawiać,
a w przestankach... *(całuje ją w jedną i drugą rękę kil-*
kakrotnie).

KAMILLA *(grozi mu z uśmiechem, siadając).*

Bo się panu sprzykrzy prędko, jak będzie tak
często.

ADOLF *(całując ją znowu).*

Ręczę pani, że nie *(siadając).*

JANINA.

Franciszku, samowarek.

FRANCISZEK.

Duchem będzie, proszę pani.

KAMILLA.

No, zaczynamy razem; raz, dwa, trzy—raz, dwa,
trzy *(grają sonatę).*

(Kurtyna zapada).

K O N I E C.

NA ŁONIE NATURY.

Fraszka sceniczna w dwóch odsłonach.

OSOBY:

Katarzyna Pipczyńska.
Jan Kapistran Pipczyński, jój mąż.
Hermenegilda, ich córka.
Eulalia, panna pełnoletnia.
Paulina, jój kuzynka.
Cyrylak.
Maryan.
Ksawery.
Dezydery Przytykiewicz.
Hanka, góralka.
Stach, przewodnik.

Rzecz się dzieje w górach.

ODSZŁONA PIÉRWSZA.

(Okolica górzysta i lesista. W głębi sceny po lewej stronie od widzów pagórek z szalasem, na przodzie po prawej strumień wśród zarośli, przez który prowadzi kładka bez poręczy, po lewej kilka kamieni lub darniowych siedzeń).

SCENA I.

KSAWERY, MARYAN (*wchodzą przez kładkę*).

MARYAN (*z lekko drwiącym uśmiechem do Ksawerego, który idzie przed nim*).

No, Ksawerku, przyznaj mi się szczerze, po coś ty tu właściwie przyjechał?

KSAWERY (*w ubraniu stosowniejszém na wizytę, niż na wycieczkę, zakłopotany*).

Jakto po co? Dziwne pytanie. Po to samo, co ty, co tylu innych. Zachwycać się górami i basta.

(*Maryan parska śmiechem*).

KSAWERY (*urazony*).

No, i cóż w tém tak śmiesznego?

MARYAN (*śmiejąc się*).

Ty cheesz zachwycać się górami? ty, co w spacerach swoich nie posunąłeś się nigdy za linią roga-

tek miejskich z obawy zakurzenia lakierków, a troary przenosiłeś nad najcudowniejsze widoki? Ty naraz zdecydowałeś się trząść na góralskim wózku mil kilkanaście dla zobaczenia gór? daruj, ale z nadto znam ciebie, bym w to uwierzył.

KSAWERY.

A cóż tak nadzwyczajnego? Gusta się zmieniają; mogłem dawniej nie lubić tego wszystkiego, ale dziś przekonałem się, że i góry, choć takie nierówne, mają tego... jak się nazywa... swoje dobre strony... mają, panie, drzewa zielone, to znowu trawę... no i wodę... to, panie, wszystko tego, jak się nazywa...

MARYAN (*j. w.*).

Jakoś ci nie idzie ten panegiryk natury; no, no, nie sil się na próżno, bo mnie i tak nie przekonasz. Uważałem, że wśród najpiękniejszych widoków szukałeś miejsca tylko, gdzie-by się wygodnie przespać można.

KSAWERY.

Przecież i odpoczynek na łonie pięknej natury...

MARYAN.

No, no, tylko mi łonem natury nie zawracaj głowy. Daję w zakład wszystkie moje wiersze, że ty tu nie dla tego łona przyjechałeś. A co? czy nie prawda? no, przyznaj się.

KSAWERY (*wahająco*).

A nie powiesz nikomu?

MARYAN (*z udaną powagą*).

Będę mileżał, jak grób.

KSAWERY (*biorąc go na stronę*).

Otóż ci się przyznam pod sekretem, że ja tu przed długami drapałem.

MARYAN.

Tak-że mi gadaj! Teraz to rozumiem.

KSAWERY.

Wyobraź sobie: dla głupich czterystu guldenów muszę tu siedzieć na tej pustyni i tłuc nogi po tych nieznosnych skałach. Ale cóż było robić? ciotka zapłacić nie chciała, wierzyciele spokoju nie dawali, musiałem więc, rad-nie-rad, wyrzec się przyjemnego pobytu w mieście i udaję tutaj z konieczności amatora gór, tych gór, które mi już kością w gardle stoją.

MARYAN.

Biedny Ksawerek! No, i długo tu tak myślisz siedzieć?

KSAWERY.

Dopóki ciotka nie zmięknie i nie przysła pieniędzy. Napisałem ztąd do niej list rozpaczający, że się ze skały rzucę. Dla większego efektu pokropiłem list wodą—to miało niby lży imitować. Myślę, że ją to poruszy, bo jeżeli nie, to ja tu zgine, zmarnięję w tym dzikim kraju. Przypatrz się, jak ja wyglądam, jak chodzę. Wszystko, co miałem porządniejszego, poniszczyłem, potargałem na tych

dyabelskich krzakach i kamieniach. Spójrzysz tylko na moje buciki, co się z nich zrobiło? Ruina, kompletna ruina; o! całkiem straciły formę. Albo ten żakiet; co to był za żakiet, powiadam ci, arcydzieło sztuki krawieckiej! a teraz do czego podobny? Zmięty, zniszczony, że się serce kraje patrzeć na niego. Desperacya już mnie bierze.

MARYAN.

Wstydził-bys się lametować nad takimi drobnostkami.

KSAWERY.

Paradny sobie! on to nazywa drobnostką. A wiesz ty, mój kochany, że ja raz przez taką drobnostkę popsułem sobie śliczny romansik?

MARYAN.

Jako? przez żakiet?

KSAWERY.

Widzisz, przez głupi żakiet romans dyabli wzięli, a może i co więcej, bo panna była bogata.

MARYAN.

Rozelekawiasz mnie (*siada*).

KSAWERY (*siadając przy nim*).

Widzisz, kochałem się w pannie z klasztoru, na którego ogród wychodziło moje okno. Panienska była niezgo, i do tego kochliwa. Zaczęło się od spojrzeń, poszło potem do telegraficznych znaków, a w końcu do karteczek. Romansowe te ćwiczenia trwały czas jakiś, aż jednego dnia wpada oknem

od mojej bogini kartka w tych słowach: „Mama przyjechała, chce mnie zabrać do innego klasztoru, zmiłuj się, wykradnij mnie. Czekać cię będę o siódmiej przy furcie ogrodowej, od której mam już klucz. Twoja Hermenegilda.“

MARYAN.

No, i nie wykradłeś jej?

KSAWERY.

Jakże miałem wykraść, kiedy mi brakło najpotrzebniejszych rzeczy.

MARYAN (*słuchając go roztargniony i spoglądając od czasu do czasu za kulisy na prawo*).

Drabiny sznurowej?

KSAWERY.

Ale gdzież tam drabiny! wszak ci mówiłem, że miała klucz od furtki. Widzisz, moje finanse nie pozwalały mi wtedy na utrzymywanie kilku garniturów; jak Byas, cały majątek na sobie nosiłem, a tu, jak na nieszczęście, tego dnia żakiet poszedł do reparacyi. Widzisz więc, że taka mała na pozór drobnostka stanęła na drodze memu szczęściu. Odtąd zacząłem mieć nadzwyczajny respekt dla mojej garderoby, która pozbawiła mnie na zawsze mojej Hermenegildy. Bo już jej odtąd więcej nie widziałem (*sposstrzegłszy roztargnienie Maryana*). Cóż tak spoglądasz ciągle na mnie? Czy może czekasz na kogo?

MARYAN.

Zgadłeś. Oczekuję tu dwóch pań.

KSAWERY.

Kobiety! A ja w takim stanie! Zmiłuj się, jakże ja im się pokażę?

MARYAN.

Nie nie szkodzi. Owszem, ten romantyczny nieład w ubraniu doda ci uroku w ich oczach, bo te panie są bardzo poetyczne. Jedna z nich nawet sama pisuje wiersze, improwizuje.

KSAWERY.

Więc je znasz dobrze?

MARYAN.

Poznałem je tutaj niedawno, i to w dość oryginalny sposób. Przechodząc koło pewnego ogródka, usłyszałem w nim głos kobiety, deklamujący moje „Piosenki z gór“, które wyszły pod pseudonimem.

KSAWERY.

Kobieta musiała być zapewne młodziutka i piękna...

MARYAN.

Nie, była już dobrze pełnoletnia i malowana, ale miała przy sobie kuzynkę z ślicznymi, lazurowymi oczyma, od których zajęło się moje serce. Przypadek ułatwił mi zbliżenie. W parę dni bowiem potem zobaczyłem je jadące wózkiem. Na szczęście wózek przez nieostrożność woźnicy nachylił się, pannie w krzyk, ja przybiegam z pomocą i jedną z dam,

wylatującą z wózka, zatrzymałem w moich ramionach.

KSAWERY.

To była zapewne kuzynka?

MARYAN.

Niestety, była to znowu ciocia, która za moję kawalerską przysługę obsypała mnie podziękowaniami i pudrem.

KSAWERY.

Kłaniam uniżenie za taką przyjemność!

MARYAN.

No, darmo. Musiałem w ten sposób zapoznać się z wiekami średnimi, aby mózdz potem zbliżyć się do nowszych czasów, to jest do panny Pauliny, która, o ile sądzić mogę, jest mi dość życzliwą. Ci-cho, słyszę jakieś kroki; zdaje mi się, że to one.
(*Ksawery poprawia na sobie ubranie, otrzepuje surdut i kamazki chustką od nosa*).

SCENA II.

MARYAN, KSAWERY, CYRYAK, STACH.

CYRYAK (*ubrany z angielska, z wszelkimi możliwymi przyborami, jako to: lunetą, torbą, parasolem, wiszącym na rzemykach, pudełkiem do cygar etc.; ukazuje się na pagórku i mówi do Stacha*).

Gdzież ty mnie nierozsądny prowadzisz, wieśniaku? Ja ci kazałem przewodniczyć mi w lokalności, najwięcej frekwentowane przez dystyngowanych wo-

jażerów, a ty, ignorancyi, czy téż złośliwości pełny człowieku, wodzisz mnie, moim życzeniom na przekor, po ledwie dla kóz dzikich dostępnych gór ścieżkach.

STACH (*skrobiąc się po głowie, zakłopotany*).

Kiej nie wiem, czego wy, panie, chcecie.

(*Cyryak odwraca się od niego i patrzy przez lunetę na góry*).

KSAWERY (*do Maryana*).

A to oryginał jakiś.

MARYAN.

Nie poznałeś go? To nasz dawny koleżka Cyryak Porządnicki.

KSAWERY.

Cyrus! prawda, masz słuszość. Jak on się wyrobił z takiego osła; patrzaj, jaką ma porządną garderobę, a jaki ciekawy krój kołnierzyków; to musi być najświeższa moda. Spytam się go (*głośno*). Cyrusiu!

CYRYAK (*odejmuje lunetę od oczu, zakłada kukera i powoli schodzi z pagórka*).

Z kim-że mam tę przyjemność?

KSAWERY.

Nie poznajesz nas? Toż kolegowaliśmy z sobą. Ja Ksawery Dudliński, a to Maryan Zneneki.

CYRYAK.

Zdaje się, że nazwiska te nie są mi obce (*wita się z nim protekeyonalnie*). Bardzo mi miło powitać

i uścisnąć bratnią dłoń towarzyszy studyów szkolnych.

MARYAN.

Tak, studyowaliśmy razem elementarz i tabliczkę mnożenia, i wspólnie mierzyliśmy długość ławki, nad którą stróż szkolny powtarzał Hamletowskie: „bić, czy nie bić, panie profesorze?”

CYRYAK.

Były to fundamenta konieczne, bez których nie byli-byśmy w świecie tém, czém dzisiaj jesteśmy.

KSAWERY (*kwaśno*).

Naprzykład ja, koncypientem adwokackim.

CYRYAK.

Nie jest to jeszcze stanowisko, ale zawsze jesteś na drodze do wyrobienia sobie w świecie pozycyi (*do Maryana*). A ty?

MARYAN.

Ja uprawiam *paterna rura*, a w chwilach wolnych od pisania rejestrów gospodarskich popełniam wiersze.

CYRYAK.

Rokowałeś, o ile sobie przypominam, daleko większe nadzieje.

MARYAN.

A ty czém-że jesteś, jeżeli wolno spytać?

CYRYAK (*z dumą i powagą*).

Ja poszedłem wcześniej drogą poważnej pracy

i surowych obowiązków życia... i jestem dziś już profesorem obojga kaligrafii przy szkole normalnej.

MARYAN (*z zadziwieniem*).

Czego?

CYRYAK.

Obojga kaligrafii, polskiej i niemieckiej... Poświęciłem się jednej i drugiej, aby mieć obszerniejsze pole działania na umysły młodzieży.

KSAWERY (*wybuchnąwszy głośnym śmiechem*).

Obojga kaligrafii! A niech-że cię nie znam! Słyszałeś, Maryan, obojga kaligrafii? oj! oj! umrę, pękne ze śmiechu! Ja myślałem, że on, co najmniej, został ministrem oświecenia, a tu tymczasem profesor obojga Sycylii, chciałem powiedzieć kaligrafii, doktor wielkiego i małego abecadła!

CYRYAK.

Pismo, to charakter; kto uczy młodzież pisać, ten wyrabia jej charakter, charakter przyszłych pokoleń. Spodziewam się, że można być dumnym z takiego stanowiska.

MARYAN.

Dajcież pokój dysputom. Po tylu latach niewiedzeniach się, mogli-byście o czémś inném pogadać, nie sprzeczać się o ogonki kaligraficzne.

CYRYAK (*zbliżając się żywo ku niemu*).

A za pozwoleniem, co się tyczy ogonków, to znowu inna kwestya, bo są ogonki...

MARYAN (*przerywając mu*).

Ale przestań-że, na Boga, o tém. Mów raczej, gdzie przebywasz, jak ci się powodzi, czy się już ożeniłeś (*wśród rozmowy siadają*).

CYRYAK.

Jeszcze nie; dotąd jestem stanu wolnego. Chciałem bowiem piérwój wyrobić sobie w świecie stanowisko, znaczenie pewne, i dopiero teraz, kiedy już doprowadziłem do tego punktu, zaczynam nosić się z myślą wstąpienia w świątynią Hymena.

MARYAN.

I cóż?

CYRYAK.

Dotąd jednak nie znalazłem nie odpowiedniego dla siebie. Dlatego to puściłem się na wояż; chciałem zwiedzić trochę świata, mając nadzieję, że w podróży nowe znajomości nastęcą mi jaką partyą, odpowiednią memu stanowisku. Tymczasem, jak widzę, tutejsza miejscowość wcale nie obfituje w wojażerów, i zdaje się, że trzeba mi będzie wyjechać gdzie za granicę, na Szlązk, a może jeszcze dalej.

SCENA III.

CIŻ, EULALIA, PAULINA.

EULALIA (*niezbyt piérwszej młodości, wybielona, wyróżzana, w pasterskim, dużym kapeluszu. Idąc przez kładkę, trwoży się i chwije; z przesadą wymawia ś i ć, nie*

mięcząc ich tak, jakby należało, np. w wyrazach: cię się etc.).

Ach! ach! w głowie mi się mąci! Paulino! utonę, spadnę!

MARYAN (*podbiegłszy, podaje jej rękę*).

Służę pani.

EULALIA (*rzuca się całkiem na jego ramiona; potem, ochłonawszy nieco z przestachu, cofa się zażenowana*).

Och! tysiączne dzięki! Drugi to raz winnam panu życie.

MARYAN (*strzepując nieznacznie puder z surduta*).

O! pani, jestem sownie wynagrodzony.

EULALIA.

Zaciągnęłam u pana dług wielkiej wdzięczności, z którego nie wiem jak będę mogła się uiścić (*rogląda się przez szkiełka po okolicy*).

MARYAN (*do Pauliny*).

Pani cici w tym względzie pomoże.

PAULINA (*z kokieterią*).

Do czego?

MARYAN.

No, do spłacenia długu wdzięczności.

PAULINA.

Nie z tego. Cudzych długów nie płacę.

MARYAN.

Choćby pozwoleniem ucałowania rączki na powitanie.

PAULINA.

To chyba dlatego, żeby się pana pozbyć. Masz pan. (*Maryan całuje ją w rękę*).

EULALIA (*nagle zwracając się ku Maryanowi*).

Ach! jakaż to dziko-romantyczna okolica.

MARYAN (*zmieszany*).

A tak, okropna.

EULALIA.

Ależ cudowna! Ten wzgórek skalisty uroczy, ten szalas opuszczony, ze ścieżką, co się tak wiję, wiję, wiję wśród trawy. Ach! to mi przypomina ten wiersz, który niedawno czytałam. Pamiętasz, Paulinko? (*Staje w pozie i deklamuje*):

Puste szalase patrzą w manowce

I wysyłają ścieżki na zwiadę,

Czy nie wracają już do chat owce

I czy... Jak tam było?... Czyli...

MARYAN (*podpowiadając przez zapomnienie*).

Czyli pasterze ze wsi nie jadą.

EULALIA.

Ach, tak, tak, czyli pasterze ze wsi nie jadą... Pan znasz te wiersze?

MARYAN.

Z konieczności.

EULALIA.

A może i ich autora.

MARYAN (*z uśmiechem*).

Podobno.

EULALIA.

Ach, jakże panu zazdroszczę! Ja tak zawsze pragnęłam mieć znajomość z poetą.

MARYAN (n. s.)

Kłaniam uniżenie.

EULALIA.

Bo tylko poeta może poznać serce takiej, jak ja, kobiety; tylko poeta może odgadnąć, ile niewypowiedzianych uczuć, pragnień mieści się tu (*wskazuje na serce*). I nie wiem pan, gdzie on teraz przebywa, ten pieśniarz, ta nowa gwiazda na firmamencie poezyi naszej?

MARYAN (*uśmiechając się*).

Może bardzo blisko.

EULALIA (*z radością*).

Co pan mówisz? Może jest tu między nami?

MARYAN (*j. w.*).

Bardzo być może.

EULALIA.

Przez litość, powiedz pan, który to? (*patrzy w stronę, gdzie stoi Cyrylak z Ksawerym*).

MARYAN.

Wolno pani zgadywać. Mnie mileżć wypada.

EULALIA.

Wystawiasz pan na próbę domysłność moję; o! zobaczysz pan, że mnie przeczucia nigdy nie mylą (*patrzy w głębi sceny na Ksawerego i Cyrylaka*).

MARYAN.

Może i ja mam stanąć tam do przeglądu?

EULALIA.

O! pana uwalniam od tego. Nie przyszło-by mi nigdy na myśl posadzić pana o poezją. Poeci mają coś... coś...

MARYAN.

Czego ja nie mam.

EULALIA.

O! nie masz pan tego. Mają coś, co, chociaż niewidzialne, działa na nas i pociąga nas, to czar uczucia; a pan jesteś za zimny, za prozaiczny.

MARYAN.

Więc którego przecie pani wybiera na poetę?

EULALIA (*patrząc przez lornetkę*).

Czekaj pan... O! tak, nie mylę się, to ten brunet, bladego oblicza, z posępną na czole zadumą. To on? nie-prawda?

MARYAN.

Nie potwierdzę, ani zaprzeczę, żeby nie zdradzić tajemnicy.

EULALIA.

W oczach pana czytam, że się nie zawiodła w przeczuciach moich. Pan go znasz dobrze, co? Pan mi go przedstawisz, nie prawda?

MARYAN.

Z ochotą (n. s.). Biedny Ksawerek, toć będzie w obrotach (*do Eulalii*). Ale uprzedzam panią, że poeci lubią *incognito*.

EULALIA.

O! będę umiała szanować tę dziewczęą delika-
tność uczucia (*siada, poprawia suknię i loki*).

(*Paulina zbiera kwiatki nad strumieniem*).

KSAWERY (*do zbliżającego się Maryana*).

Patrz, but drugi mi się rozłazi, co ja zrobię nie-
szczęśliwy człowiek?

MARYAN.

Ależ dzieciństwo; chodź przedstawić się tym pa-
niom (*bierze go gwałtem za rękę i prowadzi przed Eula-
lią*). Pozwoli pani przedstawić sobie mego kolegę,
Ksawerego Dudlińskiego.

EULALIA.

Dawno już było mojem życzeniem poznać pana
i cieszę się niezmiernie z téj sposobności.

KSAWERY (*zaambarasowany*).

Żałuję mocno, że mnie pani dobrodziejka pozna-
je w najniekorzystniejszej chwili.

EULALIA.

Jakto?

KSAWERY (*pokazując na ubranie*).

W chwili, gdy cała garderoba dogorywa na
mnie.

(*Maryan, dusząc się od śmiechu, odchodzi w głąb*).

EULALIA (*n. s.*).

Jakże zręcznie się maskuje (*głośno*). Taka dro-
bnostka pana żenować nie powinna.

KSAWERY.

Owszem, pani. Wiem, co się płci pięknej należy,
i nigdy nie ośmielił-bym się przedstawić paniom
w takim stanie, gdyby nie Maryan.

EULALIA.

Ludzie tacy, jak pan, są wyżsi nad te marności;
zwyczajną miarą form towarzyskich nam śmiertel-
nym mierzyć panów nie wolno.

KSAWERY (*patrzy na nią głupio, pytając*).

Jak to pani dobrodziejka rozumie?

EULALIA.

Sądzę, że się rozumiemy. Ale niech pan siada.
(*siadają i rozmawiają*).

MARYAN (*do Cyryaka*).

Może i ciebie przedstawić tym paniom?

CYRYAK.

Czy sądzisz, że to wypada?... że to będzie od-
powiednie towarzystwo dla mnie?

MARYAN.

Nie wątpię. To kobiety miłe i intelligentne.

CYRYAK.

Intelligentne, powiadasz? Więc widziałeś ich
pismo? Bądź-że więc łaskaw przedstawić mnie tym
paniom.

MARYAN (*prowadzi go na przód sceny; do Eulalii*):

Pan Cyryak Porządnicki (*do Pauliny*). Profesor!

CYRYAK (*krząka i poważnie zbliża się do Pauliny*).

Pani studjuje kwiaty?

PAULINA.

Zbieram bukieciiki dla mojej przyjaciółki, bo obiecałam jej przywieźć do Warszawy tatrzańskich kwiatów (*siada nad brzegiem strumienia i układa bukiety*). A pan lubi kwiaty?

CYRYAK.

Ja? Mnie już takie rzeczy bawić nie mogą. Dla człowieka, zajmującego w świecie stanowisko pewne, było-by to nawet śmieszném. Jedynie, jako dla badacza przyrody, mogła-by ta rzecz mieć dla mnie jakiś interes.

PAULINA.

Więc pan może jesteś naturalista?

CYRYAK.

O, nie, pani. Lubo i ta gałąź wiedzy nie jest mi obcą, gdyż miałem raz sposobność kopiowania całego manuskryptu botaniki. Ten manuskrypt pogodził mnie z botanikami, których dotąd dość lekko traktowałem. Ależ to był pisany, powiadam pani, był tak znakomicie pisany...

PAULINA.

Może w rodzaju Humboldta?

CYRYAK.

Nie wiem, nie znam pisma tego pana; ale, powiadam pani, był tak pisany, że byłem zdumiony. Szczególniej jedna roślina, zaczynająca się od litery M.

PAULINA.

Magnolia może?

CYRYAK.

Być może, nazwiska nie pamiętam; ale to M było napisane tak, że najpierwszy kaligraf-by się go nie powstydział.

PAULINA (*śmiejąc się*).

Więc pan o kaligrafii mówisz?

CYRYAK.

A pani sądziła?

(*Maryan, śmiejąc się, odchodzi na bok*).

PAULINA.

Pan zdajesz się wielką wagę przywiązywać do pisma.

CYRYAK.

Największą.

PAULINA.

To-byś się pan w tym względzie zgodził z moją ciocią, która mi zawsze powtarza, że dla panienki piękne pismo, to połowa wykształcenia.

CYRYAK.

To pani ciocia powiedziała? (*patrzy z uszanowaniem w stronę, gdzie Eulalia rozmawia z Ksawerym*). W istocie, ciocia pani pod tym względem...

PAULINA.

Ach, brakło mi z tej strony goździków (*do Cyryaka*). Bądź pan łaskaw, przynieść mi ich z tamtej skały.

CYRYAK.

Jakto? ja?

MARYAN (*po cichu do Cyryaka*).

No, idź-że, kiedy prosi.

CYRYAK (*do Maryana*).

Czy sądzisz, że mi to wypada?

MARYAN (*j. w.*).

Chcesz, żeby cię za gbura uważała?

CYRYAK (*j. w.*).

Masz słuszość; idę (*odchodzi*).

PAULINA (*śmiejąc się*).

Zabawna figura ten pański przyjaciel!

MARYAN (*tłumacząc go*).

Profesor. Uczeni ludzie mają swoje dziwactwa i oryginalności.

PAULINA.

Wiész pan co? przychodzi mi pewien planik do głowy. Czy ten pan kawaler?

MARYAN.

Najczystszej wody.

PAULINA.

Otóż przychodzi mi na myśl, żeby tego profesora ożenić z ciocią. Ona-by może nie była od tego?

MARYAN.

Bardzo wierzę.

PAULINA.

O! bardzo proszę nie ubliżać cioci. Trzeba panu wiedzieć, że ciocia miała świetne partye w mło-

dości, ale je odrzucała, czekając zawsze na jakiś wymarzony ideał. Tymczasem ideał się nie zjawił, i biedna ciocia, z pakami listów i wierszy dawnych adoratorów, została, jakby to powiedzieć...

MARYAN.

Pełnoletnią.

PAULINA.

I to dobrze pełnoletnią: więc myślę, że teraz nie będzie już tak bardzo wymagającą. Bardzo-bym sobie życzyła wydać ją już raz za mąż. A pan mi dopomożesz do tego, dobrze?

MARYAN.

Pod jednym warunkiem.

PAULINA.

Ciekawam.

MARYAN.

Że jeżeli nam udadzą się swaty, to poproszę panią o wyswatanie i mnie także.

PAULINA (*zakłopotana*).

To-by było trudno, bo nie znam gustu pana.

MARYAN (*z uczuciem*).

Nie idzie tu o wybór, ale o wstawienie się za mną do osoby, którą kocham od pierwszej chwili, w której ją poznałem.

PAULINA (*z kokieteryą*).

I dawno już trwa ta miłość?

MARYAN (*spuszczając oczy*).

Od kilku dni.

PAULINA.

Nie sądziłam, że pan tak długo umiesz kochać.

MARYAN.

Nie mierzę czasu tej miłości zegarkiem, ale sercem, i dlatego wierzę w jej trwałość. Idzie mi tylko o to, abyś pani w to uwierzyła.

PAULINA.

I przekonała tę osobę, prawda? Nie wiem jednak, czy mi uwierzy.

MARYAN.

Skoro pani zechcesz tylko, uwierzy.

PAULINA.

Przez samą ciekawość poznania gustu pana gotowa jestem podjąć się tej trudnej misji; spróbuję pana przedstawić w najlepszym świetle.

MARYAN (*całując ją w rękę*).

Mam słowo pani.

CYRYAK (*wraca z pękiem kwiatów*).

Służę pani (*krząka*).

PAULINA.

Dziękuję ślicznie. Ależ co pan zrobiłeś? Ja prosiłam o goździki, a pan narwałeś, co panu pod rękę weszło. Musimy rozsortować te pańskie zbiory. Za karę pomożesz mi pan. Proszę usiąść tu przy mnie, bliżej, tak, a teraz potrzyмай pan tego bukietu. Ach, jak to panu niewprawnie idzie. Pan musiałeś bardzo mało bywać w towarzystwie dam?

CYRYAK.

Studia moje nie pozwalały mi na to.

PAULINA.

Nieźnośne te nauki. My doprawdy powinniśmy znienawidzić je, choćby dla tego, że one pozbawiają nas przyjemnego towarzystwa panów.

MARYAN (*n. s.*).

Paulinka nie traci czasu.

CYRYAK.

Zechciej jednak uważać pani, że właśnie te nauki, to wykształcenie czyni nas tak przyjemnymi (*krząka*).

PAULINA (*wstrzymując się od śmiechu*).

Tak; ale znowu zbyt oddawanie się tym naukom nie pozwala panom pomyśleć o ważniejszych rzeczach. Pan, na przykład, zajęty pracą, nie pomyślałeś zapewne dotąd o małżeństwie?

CYRYAK (*krząka*).

W istocie, pani, dotąd nie miałem czasu myśleć o tém. Dopiero teraz, gdy stanowisko moje...

EULALIA (*która od jakiegoś czasu przechadzała się, wsparta na ramieniu Ksawerego, i podziwiała przez lunetkę widoki, zbliża się do rozmawiających*).

O czém-że rozmowa?

PAULINA.

Mówiliśmy właśnie...

EULALIA (*żywo zbliżając się do niej*).

Okrutna, co robisz? Jak możesz pastwić się tak nielitościwie nad temi biednymi kwiatkami?!

PAULINA.

I cóż w tém złego, proszę cioci?

EULALIA (do Ksawerego).

Oni tego nie pojmują, oni nie rozumieją, co ta trawka, ten umęczony kwiatek mówi, ale my rozumiemy, prawda? Mam gdzieś wiersz, z tój okazyi pisany dla mnie przez jednego poetę, o śmierci kwiatów, przez Oskara, pan go znasz?

KSAWERY.

Oskar Firkiewicz, adjunkt sądowy.

EULALIA.

O! nie, nie, poeta w całym znaczeniu tego słowa; zaraz pan usłyszysz jęk jego lutni, wcześniej strzaskanój; pan będziesz umiał ocenić, zrozumieć te potoki uczucia, rozlane w jego pieniąch. Zaraz (dobywa pęk papierów, przewraca i szuka).

KSAWERY (do Maryana, odprowadziwszy go na prawo).

Zmiluj się, wytłómacz mi, czego ta baba chce ode mnie. Ciągłe mi powtarza, że tylko tacy ludzie, jak ja, rozumieć ją mogą, a ja, jak Boga kocham, nie a nie nie rozumiem. Ciągłe mi mówi o jakimś wylewaniu, rozlewaniu uczuć; czyś ty jój przypadkiem nie mówił co o tój fabrykacyi łez do ciotki?

MARYAN.

Ależ uchowaj Boże.

KSAWERY.

Więc o jakimś-że ona wylewaniu myśli?

MARYAN (śmiejąc się).

Alboż ja wiem.

KSAWERY.

Do tego jeszcze uwiesiła się na mojej ręce, że cały mankiet mi pomięła, i wzdycha, jakby jój kto miech kowalski wpakował pod sznurówkę.

MARYAN.

Może zakochała się w tobie?

KSAWERY.

Upadam do nóg za taką łaskę. Wiész ty, ja dłużej nie wytrzymam, drapnę gdzie w krzaki i kwita. Jeżeli chcesz koniecznie parawanika, za którymbyś mógł bezpiecznie rozmawiać z swoją blondynką, to masz Cyryaka, niech on ci bawi ciocię, ja już mam tego po uszy.

EULALIA (podczas rozmowy Maryana z Ksawerym przerzuca papiery i między ich rozmowę wsuwa swoje poje-
dynicze słowa i wykrzykniki).

To od Ernesta, to „Łza smutku“, od Szymona „Kwiat pamięci“, ach! jest „Śmierć kwiatów“ (wstaje i zbliża się do Ksawerego). Oto są, posłuchaj pan.

KSAWERY (n. s.).

Uwzięła się zamęczyć mnie. Drapnę, jak Boga kocham, drapnę w krzaki!

EULALIA (deklujuje).

„Zerwałeś kwiaty, cóż one ci winny,
Że je ich ziemi wydarłeś rodzinnój,

Na której łonie tak swobodnie one
Żyły, w lazury niebios zapatrzone?
A dziś, zerwane świętokradzką dłonią,
Konając, zwiedle na dół głowy kłonią,
Woń, jak duch z ciała, uleciał w niebiosy!
Ni już poranniej nie będzie pić rosy,
Ni słońce wasze ucałuje szaty,
O kwiaty, kwiaty, kwiaty, biedne kwiaty!...

(Przy ostatnim wierszu co słowo postępuje na przód sceny, tu staje i ociera łzy).

PAULINA *(wstaje, otrzepuje suknię i bierze z rąk Cyryjaka bukiety).*

Dziękuję panu.

KSAWERY *(po cichu do Maryana).*

Bądź zdrow, ja daję nura w krzaki.

MARYAN.

Daj pokój, będą robić najrozmaitsze przypuszczenia.

KSAWERY.

Mniejsza o to, ja z tą ciocią dłużej nie wytrzymam *(powoli usuwa się w głąb sceny).*

CYRYJAK *(podchodząc do Maryana).*

Wdzięczny ci jestem, że mnie poznałeś z temi paniami. Młodsza daje mi wyraźnie czuć swoje sympatyę, a że ja mam stanowisko wyrobione, więc kto wie, czy tu jeszcze nie przystąpię do stanowczego kroku.

MARYAN *(n. s.).*

Będzie komedia.

EULALIA *(na przodzie sceny).*

O! kwiaty, kwiaty, kwiaty, biedne kwiaty! *(zamyśla się).*

SCENA IV.

CIŻ, PIPCZYŃSKA z HERMENEGILDĄ *(wchodzą z głębi z lewej).*

PIPCZYŃSKA *(w różne najniestosowniejsze kolory przystrojona).*

A! przecież znajduję kochane panie! Mówiłam, że muszę odszukać was i odszukałam; nie była-bym Pipeczyńską *(biegnie do Eulalii)*. Jakże się miewa droga, nieoceniona pani? Pani mnie nie przypomina sobie? u Rzepeckich w Warszawie widywaaliśmy się przed sześciu laty na wieczorkach czwartkowych *(widząc zakłopotanie Eulalii)*. Pipeczyńska, Katarzyna Pipeczyńska.

EULALIA *(nie z wielką radością).*

A, pani Pipeczyńska! przypominam sobie, bardzo mi miło. Cóż pani w tych stronach porabia?

PIPCZYŃSKA.

Wczoraj wieczorem przyjechałyśmy do Zakopanego. Dziś rano, dowiedziawszy się, że kochana pani tu bawi, pobiegłam zaraz, nie zastałam, powiedziano mi, żeście się wybrały na wycieczkę, więc i ja za wami. Kochana! *(całując się).*

KSAWERY (*z głębi sceny wraca żywo do Maryana i bierze go za rękę*).

Ach!

MARYAN.

Cóż? pękło ci co znowu?

KSAWERY.

Nie, ale ta panienka...

MARYAN.

Znajoma twoja?

KSAWERY.

To Hermenegilda!

MARYAN.

Hermenegilda?

KSAWERY.

A ja znów bez bucików.

PIPCZYŃSKA.

No, jakże się kochana pani ma? Nie potrzebuję się nawet pytać, aż miło, krew z mlekiem. A to zapewne siostrzenica pani? U Rzepeckich na wieczorach znalazłam to jeszcze podłotkiem, a dziś pannica co się zowie. Moję Hercię przerosła. A prawda, zapomniałam pani przedstawić moję córkę. Pani jej nie знаła. Chowala się po klasztorach; to już mój systemat. No, Herciu, przywitaj się z panią (*do ucha Eulalii*). Wzór skromności i nieśmiałości (*spostrzeglwszy mężczyzn*). Ale panie tu, jak widzę, nie same.

EULALIA (*przedstawiając*).

Ci panowie byli tak łaskawi towarzyszyć naszej wycieczce (*ukłony wzajemne*).

(*Hermenegilda, spostrzegłszy Ksawerego, rzuca mu znaczące spojrzenie, potem spuszcza oczy zarumieniona*).

PIPCZYŃSKA (*do Eulalii*).

Uważa pani? Na sam widok mężczyzn zarumieniła się biedaczka. Już to, niech co chcą mówią, ja powiadam, że niema, jak wychowanie klasztorne.

PAULINA.

A teraz, kiedy jesteśmy w takim komplecie, możemy iść dalej w góry.

EULALIA (*do Maryana*).

Czy to bardzo męcząca droga? Jak pan sądzisz, czy wątłe siły kobiety podolają tym trudom?

MARYAN.

O, nie jest tak źle. Zeszłego roku robiłem tę wycieczkę z kilku paniami, tylko starsze panie zostały przy tym szalasie.

EULALIA.

W takim razie ja idę.

CYRYAK (*zbliża się do Pauliny*).

Czy można pani ofiarować męskie ramię?

PAULINA (*zakłopotana nieco*).

Pan będzie łaskaw podać je cioci, bo ja już moję rękę obiecałam panu Maryanowi (*mówi to tak, aby Maryana uwagę zwrócić*).

MARYAN (*przybiega i podaje jej rękę*).

O! dziękuję pani za tę łaskę.

PAULINA.

Jesteś pan zarozumiała, myśląc, że to dla niego zrobiłam. Ja to zrobiłam dla szczęścia cioci. To był tylko krok dyplomatyczny, nie więcej.

MARYAN.

Błogosławię tę dyplomacyą (*idzie z nią w głąb sceny*).

(*Cyryak kwaśny podaje rękę Eulalii*).

KSAWERY (*do Hermenegildy*).

Służę pani.

PIPCZYŃSKA (*żywo*).

Za pozwoleniem (*przytrzymuje Hercię, do Eulalii*). Na słóweczko, na małe słóweczko (*do reszty*). Państwo może będą łaskawi zatrzymać się na pagórku, zaraz będziemy służyć. Herciu, proszę cię tu, kochaneczko.

HERMENEGILDA.

Słucham mamy.

PIPCZYŃSKA (*do Eulalii*).

Zaraz służę (*do Herci, biorąc ją na bok, mówi z namaszczeniem*). Herciu, pamiętaj na zasady, które wpajałam w ciebie. Z mężczyznami ostrożnie i z daleka; mowa twoja niech będzie „tak“ i „nie“, jak Pismo Święte mówi, bo jeszcze nie wiesz, co to za jedni, jakie ich utrzymanie, jakie stosunki *et caetera*. Właśnie chcę tę rzecz wyjaśnić i zasięgnąć u panny

Eulalii bliższych informacji. No, idź, moje dziecko. (*całuje ją w głowę*).

KSAWERY (*który czekał na Hercię, podaje jej rękę, którą ona nie przyjmuje*).

A to dlaczego? Czy pani zagniewana na mnie?

PIPCZYŃSKA (*z przodu sceny odpowiada za córkę*).

Nie miała-by powodu gniewać się, bo pana nie zna; ale jest młoda i zdrowa, więc zwykle sama chodzi.

(*Ksawery idzie za Hercię, która ze świętą miną idzie na przód, czując za sobą wzrok matki. — Całe towarzystwo, oprócz Eulalii, Pipczyńskię i Stacha, grupuje się na pagórku i ścieżce, na niego prowadzącej. Paulina i Maryan patrzą przez lunetę, którą trzyma profesor. Hermenegilda w chwili, kiedy widzi matkę zajętą rozmową, podaje rękę do pocałowania Ksaweremu, gdy nikt nie uważa. Stach, stojąc na boku, gapi się na to i śmieje, przestępując z nogi na nogę. Pipczyńska wtedy, urywając rozmowę, odwraca się. Ksawery i Hercia odskakują od siebie*).

PIPCZYŃSKA (*przysiadając się do Eulalii*).

Pani daruje, że, jako matka, zapytam panią, czy znasz dobrze tych panów? Co to za jedni? z kąd? jakie ich stanowiska? *et caetera*.

EULALIA.

Poznałyśmy ich dopiero tutaj, na spacerze, z wyjątkiem jednego, którego znamy od kilku dni.

PIPCZYŃSKA (*odsuwając się zgorzozona*).

A! przyznam się kochanej pani, że mnie to bar-

dzo dziwi! jak można otaczać się ludźmi, których się dobrze nie zna, pozwalać im zbliżać się do siebie? Herciu! Herciu!

HERMENEGILDA.

Co mama rozkaże?

PIPCZYŃSKA.

Proszę cię tutaj, kochanie (*do Eulalii*). Ja sądziłam, że pani zrobiłaś z nimi znajomość, jako z epuzerami w całym znaczeniu tego słowa. A jeżeli nie są takimi, to szkoda czasu.

EULALIA.

A jeżeli niema innego towarzystwa?

PIPCZYŃSKA.

To zmienić miejsce i basta.

HERMENEGILDA (*zbliżając się do matki*).

Co, mamó?

PIPCZYŃSKA.

Mówi się: słucham mamy.

HERMENEGILDA.

Słucham mamy.

PIPCZYŃSKA.

E... tego, jak się nazywa... poszukaj szpilki, tu mi gdzieś upadła.

HERMENEGILDA.

Ależ mamó, jakże ja ją znajdę wśród tylu kamieni?

PIPCZYŃSKA.

Szukaj, a znajdziesz, jak mówi Pismo Święte.

(*Hermenegilda rusza ramionami, potem daje znak Ksaweremu, by się do niej zbliżył i oboje szukają, powtarzając całowania w rękę*).

EULALIA.

Zmienić miejsce, pani powiada? Ależ tu tak uroczu, tak błogo na łonie natury.

PIPCZYŃSKA.

Natury, natury! to tak się mówi przed ludźmi, że się jedzie dla natury, dla przyjemności, a przecież wiemy dobrze, że tu idzie o co innego. Dziękuję za to, żeby mi córka na łonie natury zestarzała się. Upadam do nóg za takie łono. My z Hercią byliśmy już w Szczawnicy, w Krynicy, ale nie upatrzyłam nie odpowiedniego. W Szczawnicy same herlaki. W Krynicy na jednego młodzieńca czterdzieści panien czyha, to niema interesu. Myślałam, że tu, ale zdaje się, że także nic nie będzie. Ludzie młodzi, zapewne bez stanowiska. Trzeba będzie jeszcze spróbować Szmeksu. Mówią, że Węgrzy przepadają za Polkami. A pani co myśli ze sobą zrobić?...

EULALIA.

Ja chciała-bym tu zostać jeszcze czas jakiś.

PIPCZYŃSKA.

I po co? Szkoda czasu na rozmawianie z ludźmi, z których żaden nie ma odpowiednich kwalifikacyi na męża, ani dla panny Pauliny, ani dla pani.

EULALIA (*wstydliwie*).

Ja weale nie mam pretensyi. Ja żyję tylko marzeniami, wspomnieniami, poezją.

PIPCZYŃSKA.

A to czemu? Jesteś pani jeszcze w tym wieku... Daruj pani, że spytam, ile kochana pani sobie liczy? (*Eulalia wymawia liczbę lat niewyraźnie, nachylając się do ucha Pipczyńskiej*).

HERMENEGILDA.

Nie ma nigdzie, mamo.

PIPCZYŃSKA.

Szukaj tylko, szukaj (*do Eulalii*). Więc ile? przepaszam, nie słyszałam.

(*Eulalia zażenowana znowu po cichu mówi*).

PIPCZYŃSKA.

A no, więc... Ja jestem o kilkanaście lat starsza, a gdyby mój stary, czego nie daj Boże, nogi wyciągnął, nie wahałabym się po raz trzeci wstąpić w związki małżeńskie (*n. s.*). E! coś one tu muszą mieć pewnego na wędce. Poczekaj, wymacam ja cię (*głośno*). Któż to jest ten pan, co pani ramię podawał?

EULALIA.

To profesor.

PIPCZYŃSKA.

Nu tak, ale czego profesor? jaki profesor? z kądem profesor?

EULALIA.

Nie wiem.

PIPCZYŃSKA.

A to ogromnie ważne. Bo są profesorowie na dwu tysiącach reńskich i na siedmset pięćdziesięciu, a są i na dwustu pięćdziesięciu; ja się znam na tém. Zawsze to, jak widać z miny, musi być najmniej profesor gimnazyalny. No, to była-by niezła dla pani partya.

EULALIA.

Ależ pani!...

PIPCZYŃSKA.

Jeżeli więc pani nie masz na teraz nic korzystniejszego, zostaw mi pani zajęcie się tym interesem. Dziś go jeszcze wybadamy (*n. s.*). Jeżeli to profesor uniwersytetu, zostawię go dla mojej Herci (*głośno*). A ci inni co za jedni?

EULALIA.

Jeden z nich poeta.

PIPCZYŃSKA (*żywo*).

Który?

EULALIA.

Ten błydy brunet.

PIPCZYŃSKA.

Ten, co Hercię chciał prowadzić? Herciu! (*Hercia biegnie na przód sceny, Ksawery się cofa*). Herciu! zakazuję ci pod błogosławieństwem rozmawiać więcej z tym brunetem. To poeta, rozumiesz? króciś

mówiąc—holysz. Zostań tu, przy matce, moje dziecko; nie masz tam po co wracać... gotów się do ciebie przyczepić. Zbieraj sobie kwiatki, moje dziecko (*głaszcze ją*), tu, blisko matki, to bardzo odpowiednie dla młodej panienki (*wraca do Eulalii*). A czyjaż to bryczka, którą spotkałyśmy na dole przy karczynie? stangret mówił, że tego pana, co poszedł w góry.

EULALIA.

To już nie wiem, do kogo-by należała.

(*Hercia posyła całusy Ksaweremu*).

PIPCZYŃSKA.

Czekaj pani, dowiemy się od górala (*kiwa na Stacha*). Chodź-no tu, mój przyjacielu. Słuchaj-no, nie wiesz ty, czyja to bryczka tam koło karczmy na dole?

STACH.

A no tego panicza, co to ma wieś.

PIPCZYŃSKA.

Ma wieś! (*do Eulalii*). Widzi pani, to ważne (*n. s.*). Przysięgła-bym, że wiedziała o tém (*do Stacha*). I nie wiesz, mój przyjacielu, który to?

STACH.

Ja dyć nie wiem. We wsi gadali, że to ten pan, co książki układa, wiecie?

EULALIA.

Nasz poeta!

PIPCZYŃSKA.

Poeta? któż-by się tego spodziewał? (*n. s.*). Bóg strzegł, żem mu jeszcze żadnej impertynencyi nie powiedziała; wszystko się jeszcze da naprawić.

PAULINA (*z pagórka schodząc*).

Ciociu, jeżeli mamy iść w góry, to już czas ogromny.

(*Eulalia wstaje*).

PIPCZYŃSKA.

Przepraszam państwa, żem zatrzymywała tak długo, ale nie widziałyśmy się tyle lat z panną Eulalią, pocziwaj, kochaną (*całuje ją*), miałyśmy tyle wspomnień (*do Ksawerego*). Szczególniej pana przepraszam. Z mojej winy opóźniłeś się pan w podziwianiu tych bozkich widoków natury. Ach! natura; niéma, jak natura. Ja przepadam za naturą. Te kamienie... te, te, te ziola, te drzewiny; ach! *c'est superbe, magnifique*. No, idźmy. Herciu! poproś panną (*wskazuje na Ksawerego*) o ramię (*do Ksawerego*). Polecam moję córkę pańskiej opiece. Idźcie dzieci. (*Ksawery, osłupiały, odurzony tą nagłą grzecznością, podaje rękę Hermenegildzie*).

PIPCZYŃSKA (*n. s.*).

Chwała Bogu, wszystko naprawione (*idzie za innymi w górę*).

(*Kurtyna zapada*).

ODSŁONA DRUGA.

(Scena przedstawia ogródek wiejski. W głębi front góralskiej chaty, z boku po lewą w trzeciej kulisie także chata. Z przodu darniowa ławka, po prawej stół pod drzewem).

SCENA I.

PIPCZYŃSKI, *za nim* PRZTYKIEWICZ, *później* HANKA, *potém*
PIPCZYŃSKA.

PRZTYKIEWICZ (*otyły*).

Na miłość Bożką, panie Pipeczyński, nie tak prędko, nie nastarczę, ach!

PIPCZYŃSKI.

Podaj mi pan rękę, jeszcze tylko kilka kroków, potem sobie odpoczniemy, ot tam (*wskazuje na ławkę*), i posilimy się, panie dobrodzieju.

PRZTYKIEWICZ (*ociera czoło, siadając*).

Oj, oj, ledwie żyję, tehu nie czuję w sobie. Ależ to okropne drogi, niech ich nie znam! Co to człowiek dla milego zdrowia nie robi (*po chwili*). Jak

pan sądzisz, panie Pipeczyński, takie umęczenie powinno mi dobrze zrobić, co?

PIPCZYŃSKI.

Ależ bardzo naturalnie, panie dobrodzieju.

PRZTYKIEWICZ.

Powinno mnie przynajmniej połowę ubyć.

PIPCZYŃSKI.

No tak, przy ciągłym ruchu...

PRZTYKIEWICZ (*z trwogą*).

Przy ciągłym ruchu?... (*po chwili*). To wszystko dla mojej Małgosi. Bo trzeba ci wiedzieć, panie Pipeczyński, że ją moja tusza do desperacyi doprowadza. Ciągłe sobie imaginowała, wyobraż sobie, to apoplexya, to astmę, że sypiać po nocach nie mogła. Dla uspokojenia tedy biedaczki, z jej namowy zryzykowałem na tę jazdę.

PIPCZYŃSKI.

I nie będzie kochany sąsiad tego żałował. Tu, panie, w górach, na łonie natury, człowiek młodzieje, panie, czuje się lekkim...

PRZTYKIEWICZ.

Ja jeszcze nie całkiem.

PIPCZYŃSKI.

Zdrowym, panie, jak koń. Co to, panie, za rozkoszna rzecz, natura. Gdzie człowiek w mieście może mieć coś podobnego? Żeby tak jeszcze jaka piękna pastereczka, panie dobrodzieju...

PRZTYKIEWICZ.

Bój się Boga, panie Pipczyński! A szóste przykazanie?

PIPCZYŃSKI.

Co tam, panie, przykazanie! Albośmy to teraz nie wdowcy słomiani, he?

PRZTYKIEWICZ.

Żeby tak teraz żona pańska słyszała.

PIPCZYŃSKI (*zrywając się*).

Gdzie żona?

PRZTYKIEWICZ.

Ja tylko do tego mówię. Gdyby tak, na ten przykład, słyszała, miał-bys się sąsiad z pyszna!

PIPCZYŃSKI (*nabierając odwagi*).

A! gdyby... To i cóż z tego?

PRZTYKIEWICZ.

Toż wszyscy wiedzą, że kochany sąsiad pod pantoflem.

PIPCZYŃSKI.

O! to mnie kochany sąsiad nie zna, jeżeli sądzi, że pozwolił-bym na coś podobnego. Trzeba panu wiedzieć, że moja żona inaczej mnie nie nazywa, tylko tyranem, despotą...

(*Prztykiewicz śmieje się*).

PIPCZYŃSKI (*wpadając w zapal*).

I jestem nim! A jeżeli czasami ustępuję, to tylko dlatego, że znam moją gwałtowność i boję się przyjść do okazji (*sposstrzegłszy Hankę, wychodzącą*

z domu środkowego). Otóż się zjawia, jakby na zawołanie.

PRZTYKIEWICZ.

Żona?

PIPCZYŃSKI (*zły*).

Cóż to sąsiad ciągle o téj żonie? Zkąd-że znowu żona?

PRZTYKIEWICZ.

A o kim-że sąsiad mówi?

PIPCZYŃSKI.

O téj góralczce. Patrz-no sąsiad, warta grzechu, co?

PRZTYKIEWICZ (*zgorszony*).

Panie Pipczyński, panie Pipczyński!

PIPCZYŃSKI (*do Hanki*).

Jak się masz, moja rybko?

HANKA.

Jak się mom, to się mom, a wam co do tego? Jaki mi ciekawy!

PIPCZYŃSKI (*do Prztykiewicza*).

Co tu natury (*zbliża się do Hanki*). Żem ciekawy, toś zgadła. Okrutnie ciekawy, panie dobrodzieju! (*bierze ją wpół*).

HANKA (*odpychając go*).

Idźcie, idźcie; głowa wam posiwiiała, a despetów wam się zachciewa!

PRZTYKIEWICZ (*n. s.*).

A to mu palnęła!

PIPCZYŃSKI.

No, no, nie bądź taka płochliwa, moja Basiu, Franuś, Kasiu, czy jak ci tam (*zbliża się do niej w umizgach*). Dostaniesz na wstążeczki, na koralki, panie dobrodzieju (*obejmuje ją*).

HANKA.

Ze odcepciesz się ode mnie (*ucieka na prawo*).

PIPCZYŃSKI.

Nie odcepię, rybko, póki całusa nie dostanę (*biegnie za nią*).

PRZTYKIEWICZ (*podnosząc się*).

Ależ, panie Pipeczyński, nie wypada! (*biegnie za kulisy*). A to biegnie! Mnie-by się taka komocya przydała, gdyby to nie szło o szóste przykazanie.

HANKA (*wpada na scenę*).

Idźciez, pókim dobro!

PIPCZYŃSKI (*zdyszany*).

Nie uciekniesz, prze-pió-reczko (*wpada na żonę, wychodzącą z bocznego domu*).

(*Hanka, śmiejąc się, wchodzi do domu środkowego*).

PIPCZYŃSKA (*chwytając męża*).

Janie! Co to jest?

PIPCZYŃSKI.

Ka... Ka... Kasia! (*robi pokorną minę*).

PRZTYKIEWICZ (*śmiejąc się*).

Jego żona! oj, oj! a to się złapał! (*usuwa się za kulisy na lewo*).

PIPCZYŃSKA.

Sodomczyku! Bezbożniku! co ty tu robisz?

PIPCZYŃSKI.

Jakto, co robię? Przyjechałem, no i basta.

PIPCZYŃSKA (*przerywając mu*).

Janie! proszę cię, ani słowa! Czegoś ty chciał od tej dziewczyny, hę? Pocoś ty ją gonił?

PIPCZYŃSKI.

Chciałem się jęj spytać o twoje mieszkanie, a że szła za prędko, więc musiałem i ja przyspieszyć kroku.

PIPCZYŃSKA.

O bezczelności! Powiedz mi, kto ci pozwolił wyjeżdżać z domu?

PIPCZYŃSKI.

Jakto? czego? Toć ci przecie już tyle razy mówiłem.

PIPCZYŃSKA.

Sto razy za mało na usprawiedliwienie takiego szkaradnego postępu! I to obywatel, ojciec dzieciom, takie zgorszenie!

PIPCZYŃSKI.

A cóż miałem robić? Zabrałaś mi dwumiesięczną pensją naprzód, że, gdyby nie Prztykiewicz, z głodu-by mi przyszło umierać, i pojechałaś sobie do kąpiel.

PIPCZYŃSKA.

Tak, może powiesz jeszcze, że dla własnej przy-

jemności pojechałam, co? Czy nie wiesz, że (*ogląda się*) Hercia nasza już w tych latach, że potrzeba nam na gwałt myśleć o jój szczęściu, co?

PIPCZYŃSKI.

Tyle lat szukacie tego szczęścia i jakoś...

PIPCZYŃSKA.

Janie! proszę cię, bądź grzeczniejszy! Herci dlatego tylko dotąd nie wydałam, że córka Pipeczyńskiej byle jakiej partyi zrobić nie może. Ale dziś trafia się jój człowiek, który urodzeniem, majątkiem całkiem odpowiada moim wymaganiom.

PIPCZYŃSKI.

Ilu to już takich było.

PIPCZYŃSKA.

Janie! zapominasz się! Kiedy ci powiadam, że się trafia, to się trafia i *punctum*, rozumiesz? (*chodzi i mówi do siebie półgłosem*). Idzie tylko o to, żeby to próchno, wytynkowane, wyróżzowane, ze swoją kuzynką, kokiетką, nie porwały go nam z przed nosa. Już widocznie zagięty parol na niego. Ten obiad, który dziś daje dla niego, to nie bez przyczyny. Chce go sobie ująć, odciągnąć od Herci. O! nic z tego. Chyba nie była-bym Pipeczyńską. Mam sposób skłonienia tego pana poety do przyspieszenia oświadczenia. Środek to trochę śmiały. Ale darmo, cel uświęca środki (*do męża*). Ty mi będziesz w tém pomocny.

PIPCZYŃSKI.

Ja?

PIPCZYŃSKA.

Tak. I dlatego jedynie uszło ci to tak na sucho, że bez mego pozwolenia opuściłeś dom.

PIPCZYŃSKI.

Włec cóż ja mam robić?

PIPCZYŃSKA.

Słuchaj. Siadaj tu (*zniżonym głosem*). Trzeba, abyś poszedł zaraz na drogę, prowadzącą do miasta... Rozumiesz?...

PIPCZYŃSKI (*wstając, chce iść*).

Do miasta... rozumiem...

PIPCZYŃSKA.

Co rozumiesz? gdzie idziesz? po co? kiedy nie jeszcze nie wiesz.

(*Pipczyński siada*).

PIPCZYŃSKA.

Otóż we wsi schowasz się za jaki krzak lub dom i będziesz czekał. A skoro zobaczysz tego pana poetę, jadącego...

PIPCZYŃSKI.

Jakiego pana poetę?

PIPCZYŃSKA.

Prawda, ty go jeszcze nie znasz. Nie nie szkodzi. Poznasz go łatwo: brunet, przystojny, szkiełka na nosie, zresztą będzie jechał z Hercią.

PIPCZYŃSKI (*zdziwiony*).

Z Hercią?

PIPCZYŃSKA.

Janie! proszę cię, nie przerywaj mi. Otóż... na czém-że ja stanęłam... otóż, gdy go zobaczysz jadącego, wyjdiesz nagle, zatrzymasz konie i powiesz mu groźnie, ale bez niegrzeczności, rozumiesz? powiesz mu: „Co to jest? Panie! pan skompromitowałeś moje dziecko!”

PIPCZYŃSKI.

O! do dyabła! Czy rzeczywiście ją skompromitował?

PIPCZYŃSKA.

To do ciebie nie należy; słuchaj tego, co ci mówię. Na czém ja to skończyłam?

PIPCZYŃSKI.

Skomp...

PIPCZYŃSKA.

Cicho! Powiesz mu więc: „Skompromitowałeś pan moje dziecko! Zniesławiliś nazwisko Pipeczyńskich!—to powiesz z ogromnym naciskiem. — Jako ojciec, żądam od pana satysfakcyi: albo się ożeń! albo!...” — tu zrobisz jaki niewinny ruch, żeby go zbyt nie przestraszać... i potem przyprowadzisz go tu do stołu.

PIPCZYŃSKI.

Do stołu (*po chwili czekania*). I to już wszystko?

PIPCZYŃSKA.

Reszta już na mojej głowie.

PIPCZYŃSKI.

Rozumiem.

PIPCZYŃSKA.

A teraz idź. Pamiętaj, że masz zadanie ogromnie ważne, że występujesz dziś jako głowa rodziny.

PIPCZYŃSKI (*z dumą, n. s.*).

Głowa rodziny. No, no, rozumiem. Szkoda, że tu niema Prząkiewicza, usłyszał-by, czém jestem w domu. I on śmiało utrzymywać, że ja siedzę pod pantoflem.

PIPCZYŃSKA (*widząc, że nie odchodzi*).

Janie! jeszcześ tu?

PIPCZYŃSKI (*wychodząc nagle na prawo*).

Idę, idę, Kasieczko.

SCENA II.

PIPCZYŃSKA *później* HERMENEGILDA.

PIPCZYŃSKA.

Tak, a teraz trzeba będzie Hercię przygotować. Tylko jak wytłumaczę temu czystemu, skromnemu aniołowi to słowo: wykradzenie? Ale znowu, jeżeli ztąd Ksawerego nie usunę, to ta bezczelna kokietka Paulina gotowa go zbałamucić i od Herci odwrócić. Nie, nie, Hercia musi być wykradzoną, dla pozoru tylko, natychmiast, ale koniecznie potrzeba tego.

HERMENEGILDA (*wchodzi ostrożnie z lewej, nie widząc matki*).

Ksawery miał tutaj czekać na mnie (*ogląda się spostrzegając matkę*). A! (*chce się cofnąć*).

PIPCZYŃSKA (*spostregłszy ją*).

A! jesteś tu, Herciu? zaczekaj, moje dziecko.

HERMENEGILDA.

Nie poznałam mamy. Myślałam, że kto obcy.

PIPCZYŃSKA (*n. s.*).

Myślała, że obcy, może mężczyzna, i chciała uciekać. Ach! cóż to za nieocenione dziecko. Jak tu takiej powiedzieć o wykradzeniu?

HERMENEGILDA.

Czy mama mnie potrzebowała?

PIPCZYŃSKA.

Tak jest, moje dziecko. Chodź tu (*prowadzi ją do kanapki*), tu, przy matce, mój aniołku... mam z tobą kilka słów pomówić. Widzisz... (*n. s.*). Nie, nie mogę zacząć. Czuję skrupuły. Bo jak Pismo Święte powiada: „Lepiej-by ci było kamień uwiązać u szyi, niż zgorszyć jedno z tych“.

HERMENEGILDA (*n. s.*).

Żeby tylko Ksawery nie nadszedł, mama gotowa-by się domyślić (*głośno*). Słucham mamy.

PIPCZYŃSKA (*n. s.*).

Nie można zwlekać, chwili niema do stracenia (*głośno*). Widzisz... jako matka, chciałam się zapytać... jak ci się ten pan Ksawery podobał?

HERMENEGILDA (*n. s.*).

Czy-by się mama domyślała? Bądźmy ostrożną (*rzuciła ukradkiem badawcze spojrzenie na matkę, potem spuszcza oczy*). On mi się, proszę mamy, wcale nie podobał.

PIPCZYŃSKA (*żywo*).

Jako? nie podobał?

HERMENEGILDA.

To podobno poeta.

PIPCZYŃSKA.

Ale ma wieść... to nie taki zwyczajny poeta; przytém bardzo porządny człowiek, ułożony. Ja miałam nadzieję, że on ci się bardzo podoba.

HERMENEGILDA.

Jeżeli sobie mama tego życzy...

PIPCZYŃSKA (*całuje ją*).

Życzy... dla twojego szczęścia, moja droga (*n. s.*). Nieocenione dziecko (*głośno, całując ją*). Ale widzisz, moje drogie dziecko, zachodzi tu pewna okoliczność...

HERMENEGILDA (*całuje ją w rękę*).

Jeżeli tak... to nie nie szkodzi, ja nie koniecznie... proszę mamy...

PIPCZYŃSKA.

Ale owszem... koniecznie... to partya wcale nie do odrzucenia. Idzie tylko, widzisz, o to, że, aby te przeszkody usunąć, trzeba-by środków użyć, które na pozór zdają się nie tego... jak się nazywa... (*n. s.*).

Tu sęk... jak jój to powiedzieć? Ona gotowa zemdleć! (*dobywa flaszkę z wodą koloniską; głośno*). Wiesz... krótko mówiąc, potrzeba (*z determinacją*), żeby cię ten pan Ksawery wykradł.

HERMENEGILDA (*z ucieką zrywa się*).

Mama pozwala!

PIPCZYŃSKA (*sądząc, że zemdleje, chwyci ją ślepo w pól i trzeźwi*).

Herciu!... drogie dziecko!... przyjdź do siebie!... (*spostrzegłszy, że nie zemdlala*). Jakto, nie zemdlala?

HERMENEGILDA (*miarkując swoją radość, przybiera minę naiwną*).

Proszę mamy, co to znaczy wykraść? Dla czego mnie ten pan ma wykraść? czy to tak potrzeba?

PIPCZYŃSKA (*z uniesieniem, n. s.*).

O! święta naiwności!... (*głośno*). Moje drogie dziecko... to będzie tylko pozorne wykradzenie, na parę minut zaledwie, bo ojciec czekać będzie niedaleko ztąd i odbierze cię. Ale potrzeba tego pozoru, żeby pana Ksawerego skłonić do stanowczego kroku. Czy on ci mówił kiedy, że cię kocha?

HERMENEGILDA (*po namyśle*).

Nie pamiętam... mnie się zdaje, że raz mówił.

PIPCZYŃSKA.

To wystarczy... Potrzeba, żeby ci to powtórzył jeszcze dzisiaj, przed obiadem. Wtedy ty powiesz mu, że rodzice nigdy-by na ten związek nie zezwo-

lili, że niema innego sposobu połączenia się waszego, tylko, żeby cię wykradł, i to zaraz, rozumiesz?

HERMENEGILDA.

Proszę mamy, nie wiem, czy będę umiała to wszystko powtórzyć.

PIPCZYŃSKA.

On się sam reszty domysli. Zdaje mi się, że to on, moje dziecko, idzie. Odechodzę (*całuje ją*). Ja i ojciec czuwamy nad tobą. Co to za dziecko! co to za dziecko! ideał! (*odechodzi na lewo*).

SCENA III.

HERMENEGILDA, *później* KSAWERY.

HERMENEGILDA (*zrzuciwszy skromną minę*).

Wykradzenie na parę minut! Dziękuję! O! nie z tego! Ja poproszę Ksawerego, żeby to dłużej potrwało. Na dwie minuty, to szkoda fatygi... zwłaszcza, że już tak dawno należy mi się od Ksawerego wykradzenie. Tylko jakby to zrobić, żeby się z ojcem nie spotkać? bo wszystko-by mi popsuł i skończyło-by się na niczym, jak tyle moich projektów małżeńskich. Spróbuję teraz na własną rękę... bo czuję, że, jak się będę zawsze w tém spuszczać na mamę, to mnie staropanieństwo nie minie (*po chwili*). Muszę nieznacznie wybadać mamę, gdzie tatę postawi na warcie, a potem powiem Ksaweremu, ażeby mnie w przeciwną całkiem stronę wykradł.

(Ksawery wchodzi z prawej, zobaczwszy Hercię, zbliża się na palcach po cichu i całuje ją).

HERMENEGILDA.

A to co znaczy? *(obrażona)*. Panie., bardzo proszę!

KSAWERY *(zdziwiony)*.

Czy panią ten skromny pocałunek tak bardzo obraził?

HERMENEGILDA.

Nie idzie mi o całowanie, tylko o to, żeś pan całował tu, gdzie nas mógł kto widzieć.

KSAWERY.

A! jaka pani ostrożna.

HERMENEGILDA.

Bo świat nas nie z tego sądzi, co robimy, tylko z tego, co on widzi.

KSAWERY.

To schowajmy się przed nim do altanki.

HERMENEGILDA.

O! nie z tego! Ja powinnam się nawet gniewać na pana.

KSAWERY.

Na mnie?

HERMENEGILDA.

Jakto? i pan się do tego nie poczuwasz? a to sławne! Czyś mi się pan dotąd usprawiedliwił? Dlaczego mnie pan nie wykradłeś przed trzema laty z klasztoru? Czekałam wtedy na pana więcéj, niż

dwie godziny. O! ja panu tego zawodu nigdy nie daruję! No, cóż pan milczysz?

KSAWERY *(n. s.)*.

Trudno jéj prawdę powiedzieć *(głośno, patetycznie)*. O! pani, nie chciéj badać téj strasznej tajemnicy, która mnie wtedy zatrzymała w domu.

HERMENEGILDA.

O! ja myślałam, że pan sobie żartowałeś ze mnie... a w takim razie nie była-bym panu nigdy przebaczyła.

KSAWERY.

Jak pani mogłaś przypuszczać coś podobnego? Nie uwierzysz pani, ile mnie to kosztowało, że musiałem wyrzec się wtedy tego szczęścia.

HERMENEGILDA.

Jeżeli tak, to nie straconego.

KSAWERY.

Jakto?

HERMENEGILDA.

Któż nam broni teraz to samo powtórzyć?

KSAWERY.

Teraz, zdaje mi się, bez téj ostateczności się obejdzie. Znam już mamę pani, i mogę prosić ją o rękę pani.

HERMENEGILDA.

Mama ani chce słyszeć o tém.

KSAWERY.

Więc pani już z nią mówiła?

HERMENEGILDA.

Mówiłam, ale na próżno.

KSAWERY.

A więc niema innego sposobu?

HERMENEGILDA.

Niema, tylko mnie pan musisz koniecznie wykraść, i to zaraz.

KSAWERY.

Zaraz? (n. s.). Zkąd ja tu znowu butów dostanę?

HERMENEGILDA.

Idź pan, zamów konie, a ja będę na pana czekać tam, za stodołą. Pojedziemy daleko! daleko!...

KSAWERY (n. s.).

Już-to bez pieniędzy tak bardzo daleko nie zajdziemy (głośno). Tak, pojedziemy, potem napiszemy do mamy pani list o przebaczenie.

HERMENEGILDA.

Z tém niema się co spieszyć, to już na samym ostatku.

KSAWERY (n. s.).

A ja-bym wolał od tego zacząć, bo bez subwen-cyi mamy dobrodziejki niepodobna mi się nawet ztąd ruszyć.

HERMENEGILDA.

Ale pan niebardzo jakoś zdajesz się cieszyć, że ci się nadarza tak łatwa sposobność wykradzenia mnie?

KSAWERY (rozstagniony).

Ale gdzież tam... owszem... jestem tém upojony, oczarowany! Tylko, jak pani sądzi? czy mama da się łatwo przebłagać?

HERMENEGILDA.

O to niema obawy.

KSAWERY (wesół).

Niema obawy... powiadasz pani?...

HERMENEGILDA.

Ale pierwój trzeba koniecznie, żebyś mnie pan wykradł.

KSAWERY.

No tak, to się rozumić.

HERMENEGILDA.

Ktoś nadchodzi... więc pamiętaj pan... podczas obiadu... za stodołą.

KSAWERY.

A! za stodołą... tego nie uważałem.

HERMENEGILDA.

Do widzenia (posyła mu całusa w powietrzu i wychodzi).

SCENA IV.

KSAWERY, MARYAN, potem PRZTYKIEWICZ, w końcu HANKA.

KSAWERY.

No, jeżeli mama tak skora do przebaczenia, jak mnie Hermenegilda zapewniała, to nie będzie wiele kłopotu z tém wykradzeniem. Panny nie wywiozę

dalej, jak o milę, bo funduszów niema na dalszą podróż; ztamtąd zaraz napiszemy razem z Hercią list z prośbą o przebaczenie; mama przyjedzie... naturalnie nastąpi mała scenka wyrzutów, lamentów... poczem uroczyste przebaczenie, potem ślub i co za tém idzie, a przedewszystkiem spłacenie długów. Wszystko pójdzie jak z płatka! (*zacierą ręce i podskakuje, wpada na wchodzącego Maryana i ściska go*).

MARYAN.

Cóż to w tak różowym humorze?

KSAWERY.

Maryanku, powinszuj mi! Robię krok stanowczy w życiu.

MARYAN.

Kupujesz nowe buciki?

KSAWERY.

Ale daleko ważniejszy. Wykradam Hermengildę!

MARYAN.

Znowu? a to już widoczne przeznaczenie.

KSAWERY (*uderzony*).

Przeznaczenie!... nieprawda? Dziś jeszcze urządzamy nogę!

MARYAN.

A potem?

KSAWERY.

Potem, naturalnie, zaraz przebłagamy mamę, bo

to najpierwsza rzecz, żeby coś zaforszowała na pierwsze potrzeby, zanim wyliczy cały posag.

MARYAN.

A jeżeli mama ani papa nie mają nic?

KSAWERY (*pomieszany*).

Jakto? bój się Boga! nie nie mają? zkąd wiesz o tém?

MARYAN.

Nie nie wiem, tylko ci robię uwagę, abyś się nie przerachował.

PRZTYKIEWICZ (*wchodząc*).

Przepraszam szanownych panów, panowie zapewne tutejsi? czy panowie nie widzieli gdzie przypadkiem pana Pipeczyńskiego?

MARYAN.

O ile wiemy, pana Pipeczyńskiego niema tutaj, jest tylko jego małżonka.

PRZTYKIEWICZ.

Jakto niema? Przyjechaliśmy przecież razem ze Lwowa, ale przed chwilą mi znikł z oczu, panie, i przepadł, jak kamień w wodę.

MARYAN (*do Ksawerego*).

Spadł nam, jak z nieba. Od tego się coś może dowiemy.

PRZTYKIEWICZ.

Gdzie on się podział? Nóg już nie czuję, takem się zląził za nim (*siada*). A, i to mi powinno dobrze zrobić (*do Maryana*). Prawda, panie?

MARYAN.

A czegoż-to braknie panu dobrodziejowi?

PRZTYKIEWICZ.

Właśnie nic mi nie braknie... owszem, jeszcze mam zanadto, jak pan widzi. Ale moja żona nie amatorka zbytniej tuszy, więc dla zapewnienia sobie szczęścia małżeńskiego zdecydowałem się, panie, na tę okrutną kuracyą, bo doktor powiedział, że nic mi tak dobrze nie robi, jak dyeta i kommocya, panie, a szczególnie kommocya. Ach! ale to męczy okrutnie.

MARYAN (*z uśmiechem*).

I ze skutkiem?

PRZTYKIEWICZ.

Dotąd, panie, niewiele; ale mnie pocieszają, że to dopiero po kuracyi skutek się pokaże (*widząc Ksawerego, chodzącego w zamyśleniu*). Temu panu, jak uważam, także kommocya zalecono.

MARYAN.

To znowu z innego powodu. Kocha się.

PRZTYKIEWICZ.

Kocha się, proszę! To także dobre na schudnięcie.

MARYAN.

Zakochany, jak kot, w pannie Pipezyńskiej.

PRZTYKIEWICZ.

W Pipezyńskiej? tak!

MARYAN.

Dobry ma gust, prawda? Panienka niczego.

PRZTYKIEWICZ.

Tak, ale goła.

KSAWERY (*przyskakując do niego*).

Goła? Goła, pan mówisz? Ale to niepodobna!

PRZTYKIEWICZ.

O! przecież ją znam nie od dzisiaj. Goła, panie, nie przymierzając, jak turecki święty! Rodzice siedzą w długach po uszy. Czy ja to nie wiem?

MARYAN (*do Ksawerego po cichu*).

Słyszysz?

KSAWERY.

A to-bym się ubrał! To zmienia całkiem postać rzeczy.

MARYAN.

No, jakże teraz będzie z wykradzeniem panny?

KSAWERY.

Nie głupim, nie chcę!

MARYAN.

Jakże się wytłomaczysz przed nią?

KSAWERY.

Poco mi się tłomaczyć? zmykam ztąd i kwita! To będzie najlepsze tłomaczenie.

HANKA (*wchodzi z dwoma listami*).

Czy to pon jesteś pon Prztykiewicz?

PRZTYKIEWICZ.

Ja, albo co?

HANKA.

Jest tu do was jakieś pisanie z poćty (*oddaje list*).

PRZTYKIEWICZ.

Do mnie? Proszę, dawaj (*bierze list*). To pewnie od niej, od mojej drogiej Małgosi! (*szuka po kieszeniach, znalazłszy chustkę, przykłada ją do nosa i czyta*).

KSAWERY (*do Hanki*).

A do mnie niema żadnego listu?

HANKA.

Gdzież zaś nima, i to jeszcze pięcioma pieczętkami.

KSAWERY (*w największej radości*).

Z pięcioma pieczętkami? kobieto nieoceniona! (*chwyta ją wraz z listem*). Niech-że cię uściskam za tę nowinę!

HANKA.

Ze bo mnie zdusicie (*daje mu list*).

KSAWERY (*porywając list*).

Pięć pieczętek! Maryanie, słyszysz? to od ciotki! a co? fabrykowane lzy poskutkowały (*czyta*). Wewnątrz pięćset guldenów! O! najlepsza z ciotek ciotko! Furto niebieska! drabino Jakóbowo! wieżo z kości... (*otwiera list*), porcie bezpieczny! No, teraz mogę swobodnie ztąd się skamforować. Hanka! słuchaj! (*bierze ją za rękę*). Idź na wieś i wyśtaraj mi się coprędzej o konie, muszę wyjechać natychmiast!... rozumiesz?... No, spiesz się, dostaniesz na wstążki, na paciorki... na co chcesz!

HANKA.

Biegnę co żywo! (*wychodzi*).

MARYAN (*który, obejrzawszy się, zobaczył płaczącego Prztykiewicza*).

A panu co takiego? Zapewne jaka smutna wiadomość?

PRZTYKIEWICZ.

Okropna, panie, wiadomość... moja żona... (*placze*).

MARYAN.

Umarła?

PRZTYKIEWICZ.

Gorzój, panie! sto razy gorzój! uciekła z tancmistrzem...

MARYAN.

Ależ to do niewierzenia!

PRZTYKIEWICZ.

Stoi czarno na białem!... masz pan, czytaj! (*daje mu list*). Mój Boże! ja tu dla niej pocę się i męcę, a ona tymczasem uciekła... z tanemaistrem, linoskokiem!... Musiał być urwis chudy, jak gonta, bo ona zawsze miała skłonność do takich ludzi! O! ja nie-szczęśliwy! O! niepoczciwa żono!

MARYAN (*oddając mu list*).

Ależ panie, któż widział znowu tak poddawać się rozpacz? Czyż warto znowu tak żałować żony, która, mając tak przywiązanego męża, wyprawia go w góry, aby mieć czas uciekać z kochankiem.

PRZTYKIEWICZ.

Więc pan sądzisz, że to było naprzód ułożone?

MARYAN.

To przecież widoczne.

PRZTYKIEWICZ.

O! niegodna! A ja byłem pewniuteńki, że jój szło tylko o moje schudnięcie, a jój szło o zupełne zniknięcie moje! Co to, panie, za niegodziwa niewiasta!

MARYAN.

Taka kobieta ani jednę lzy pańskiej nie warta.

PRZTYKIEWICZ (*zdobywając się na odwagę*).

Masz pan słuszność! nie warta! Ona myślała, że ja tu będę za nią rozpaczał, płakał! (*placze*) o! nie-doczekanie jój! Na złość będę jadł za trzech, będę jadł, będę się umizgał, będę całował, tak będę całował, która się nawinie (*idzie na prawo, spotkawszy się z Hanką, całuje ją i wychodzi*).

HANKA (*odepchnąwszy go, splota*).

A idźciez do palarusa! Ciewy, jaki mi skory do całowania.

MARYAN.

Daj mu pokój, to z rozpaczy!

HANKA.

To mi wszyéko jedno! Moja gęba nie karcma, zeby kuzden do ni zaizdzoł!

KSAWERY (*przerachowawszy pieniądze*).

A! jesteś tu, Hanuś! No, cóż, konie są?

HANKA.

Zarozicki bedo. Rozkozałam im zajechoć przed wos.

KSAWERY.

Dobrześ się spisala. Masz tu na wstażki i całusa w dodatku (*całuje ją*).

HANKA.

Cy i pon z rozpacy całuje? (*śmieje się*).

KSAWERY.

Nie, to znówu z uciechy, moja droga! (*do Maryana*). No, idę spakować moje ruchomości i wio! Re-kollekcyę moje na łonie natury skończyły się nareszcie. Bądź zdrow, Maryanie! Do widzenia w Krakowie! (*wychodzi na prawo*).

MARYAN.

Biedna Hermenegilda! Widocznie już niema przeznaczenia, aby była wykradzioną (*do Hanksi, wchodzącą do domu*). Hanuś! Hanuś! czy panie są w domu?

HANKA.

Je dyé puno na sumie jeszcze. Ano rychtyk, paninka hajnok wraco (*wchodzi do domu*). (*Maryan idzie na prawo, naprzeciw wchodzącą Pauliny, witając ją ukłonem*).

SCENA V.

MARYAN, PAULINA, *później* EULALIA, KSAWERY, *w końcu*

CYRYAK.

PAULINA (*odpowiadając na ukłon Maryana*).

Dzień dobry panu! (*zmęczona siada na ławce i zdejmuje słomiany kapelusz*). Ach, jakież dziś upał nieznośny!

MARYAN.

A gdzież pani ciocię zostawiła?

PAULINA.

Ciocia zagadała się w najlepsze z księdzem proboszczem o snach i przeczuciach. Nie mogłam się doczekać końca téj zajmującej rozmowy i zostawiłam ich przed kościołem.

MARYAN (*zbliżając się*).

Panno Paulino, pozwól, że skorzystam z téj chwili i zapytam panią...

PAULINA (*figlarnie i bystro spojrzawszy na niego*).

O co?

MARYAN (*zmieszany spojrzeniem*).

O... o... chciałem zapytać panią, czy byłaś łaskawą wstawić się za mną... do téj osoby, o której...

PAULINA.

Ach! jakiś pan niecierpliwy. Wczoraj dopiero prosiłeś mnie o protekcyę, a dziś już chciał-bys się dowiedzieć o skutku. To trochę za wcześnie. Jakób siedm lat czekał na Rachelę.

MARYAN.

Niecierpliwość moję niech usprawiedliwi miłość...

PAULINA.

Zresztą, ja jeszcze nie wiem, do kogo mam się wstawić za panem. Pan wczoraj zapomniałeś mi powiedzieć nazwisko...

MARYAN.

A pani nie spytałaś o nie.

PAULINA.

Przez roztargnienie.

MARYAN.

Powiedz pani raczěj, że przez to, iż domyślałaś się o kogo chodzi.

PAULINA.

O! mylisz się pan! Ja mam ogromnie mało domysłności.

MARYAN (*patrząc jēj w oczy*).

Więc pani na seryo nie domyślasz się, kto jest tą osobą?

PAULINA (*odwraca się i spuszcza oczy*).

No, proszę nie patrzeć tak na mnie, bo to niegrzecznie.

MARYAN.

Panno Paulino... nie udawaj, że mnie nie rozumiesz; nie trudno kobiecie odgadnąć, jakie uczucia wzbudziła. Więc bądź pani ze mną szczerą, jak ja z panią, i powiedz mi otwarcie: tak! lub nie!

PAULINA.

Zapominasz pan, że jest między nami układ, aby
pierwój ciocię wydać za mąż.

MARYAN.

W takim razie musiał-bym długo czekać.

PAULINA.

No, a ten profesor?

MARYAN.

Weale nie myśli o tém.

PAULINA.

Nie myśli? a to niegodziwiec! I dlaczego?

MARYAN.

Bo się kocha w pani.

PAULINA.

We mnie? Kto to panu powiedział?

MARYAN.

On sam.

PAULINA.

Toś mu pan nie mógł powiedzieć że... (*rumieni
się*) że... no, że już pan się o mnie stara?

MARYAN.

Więc zezwalasz pani?

PAULINA.

Ale tylko z konieczności; tylko dlatego, żeby się
pozbyć tego nieznośnego profesora.

MARYAN (*całując ją w rękę*).

Wdzięcznym mu być muszę za to szczęście, ja-
kiem mnie mimo woli obdarzył.

EULALIA (*wchodzi z prawej z książką do nabożeństwa
i parasolką, prowadząc Ksawerego*).

Jakto? pan-bys nas miał porzucać, i to dziś?
o! nie pozwolę na to!

KSAWERY.

Ależ, pani dobrodziejko, interesa niecierpiące
zwłoki...

EULALIA.

Wiem, że każda chwila w życiu pana jest dro-
gą; ale przyjaciołom i wielbicielom swoim zechcesz
pan choć kilka godzin poświęcić.

KSAWERY (*zakłopotany*).

Pani, to niepodobna, bo...

EULALIA.

Nie proszę więcej, jak o godzinę; po obiedzie
pan wyjedziesz. Dobrze?

KSAWERY (*z poddaniem się*).

Ha!

EULALIA.

O! stokroć dziękuję panu za tę chwilę! (*do Ma-
ryana*). O! jesteś pan tutaj; mam właśnie parę słów
z panem pomówić (*do Ksawerego*). Zaraz służę pa-
nu (*bierze Maryana pod rękę i odprowadza na bok*).

KSAWERY.

A to mnie złapała! Co ja biedny pocznę? Her-
cia gotowa mi scenę zrobić, jak się za stodołą nie
doczeka (*rozmaria po cichu z Pauliną*).

EULALIA (*po cichu do Maryana*).

Wiesz pan zapewne, że podczas obiadu urządza-
my małą niespodziankę, rodzaj owacy dla naszego
poety?...

MARYAN.

Dla Ksawerego?

EULALIA.

Tak. Czy Paulinka nie panu nie mówiła?

MARYAN.

Nic.

EULALIA.

Trzeba nam więc na prędce ułożyć programat.
Ja zadeklamuję wiersz, który na cześć jego napisa-
łam. Potrzeba jednak, aby piérwój ktoś przemówił
prozą, wzniósł toast na cześć jego. I w tym wzglę-
dzie rachuję na pana.

MARYAN.

Na mnie? (*n. s.*). A to było-by ciekawe!

EULALIA.

Cóż w tém tak dziwnego? Czyż pan nie masz,
jak każdy z nas, obowiązku uczcić takiego człowie-
ka... oddać hołd jego zdolnościom i zasłudze?

MARYAN (*n. s.*).

Jak się tu wykręcić z tego fatalnego położenia?
(*z udanym patosem do Eulalii*). Skoro pani chcesz ko-
niecznie wiedzieć powód, więc powiem: Ksawery
jest wprawdzie moim kolegą, ale przekonania poli-

tyczne zrobiły nas przeciwnikami. Nie mogę więc
brać czynnego udziału w owacyi...

EULALIA.

Wroga! rozumiem... A więc ja sama uczczę
prozą i wierszem tego wieszczę (*do Hanka, która wy-
szła z domu*). Hanuś, nakrywaj prędko do stołu (*do
Ksawerego*). Pana zabieram z sobą, jesteś pan moim
więźniem.

KSAWERY (*n. s.*).

Coraz gorzej (*podaje jej rękę i wchodzi do domu*).

(*Hanka nakrywa stół*).

PAULINA (*która uważnie obserwowała Maryana podczas
rozmowy*).

Ej! coś mi się pańskie oczy nie podobają! Pan
coś przeskrobałeś względem cioci.

MARYAN.

Niewinna mistyfikacya, która, przysięgam, nie
z mojej winy powstała.

PAULINA.

Panie Maryanie, proszę nie robić sobie żartów
z cioci, bo-bym się na seryo pogniewała.

MARYAN.

Masz pani słuszność, żart trochę za daleko za-
szedł, trzeba go skończyć. Idź więc pani i powiedz
cioci w sekrecie, aby się wstrzymała z owacyą dla
Ksawerka, bo on nie jest tym, za kogo ona go uważa.

PAULINA.

Nie jest poetą? Biedna ciocia! No, widzisz pan, co-bys był narobił? Gniewam się na pana.

MARYAN.

A ja będę przepraszał, dopóki mi pani nie przebaczy (*całuje ją w rękę*).

PAULINA.

Spieszę do cioci.

(*Cyryak, wchodząc, widzi to i krzaka niezadowolony*).

(*Paulina kłania się Cyryakowi i wbiega do domu*).

MARYAN (*chodząc, do siebie*).

W istocie trochę po studencku postąpiłem sobie.

CYRYAK (*który, krzając, w złym humorze, chodził po scenie, po namyśle zbliża się do Maryana i mówi z powagą*).

Pozwól, Maryanie, że, jako człowiek starszy i mający w świecie pewne stanowisko, zrobię ci, że tak powiem, małą uwagę.

MARYAN.

Proszę cię... mów śmiało.

CYRYAK.

Wiész zapewne, iż staram się, że się tak wyrażę, o rękę panny Pauliny...

MARYAN.

Jeszcze?

CYRYAK.

Jakto jeszcze? Dziś chcę ostatecznie rozmówić się z szanowną ciocią...

MARYAN.

A dlaczegoż zaczynasz ode mnie?

CYRYAK.

Co się tyczy ciebie, chciałem ci tylko zrobić uwagę, iż nie wypada, abyś był tak poufale z panną, względem której ja mam stałe zamiary, jak to przed chwilą zauważyć mi się zdarzyło.

MARYAN.

Dysponujesz panną, jakby już narzeczoną, mój drogi. A nuż panna da kosza, to co?

CYRYAK.

Zbyt jest rozsądna, aby miała człowieka ze stanowiskiem, że się tak wyśłowię...

MARYAN (*spostrzegłszy Paulinę, wychodzącą z domu, porzuca Cyryaka i biegnie do niej*).

I cóż?

PAULINA.

Widzisz pan, coś narobił. Nie mogłam cioci przekonać, że to prawda, coś mi pan mówił o panu Ksawerym. Utrzymuje, że to podstęp jego przeciwników politycznych, którzy radzi-by jego sławę podkopać, że właśnie na złość panu wysadzi się na owacy. I cóż tu teraz robić? Radź pan.

MARYAN.

Ha! to zostawmy ją w błędzie. Ksawerek i tak zaraz wyjedzie, i cała historia się skończy.

SCENA VI.

MARYAN, PAULINA, CYRYAK, PIPCZYŃSKA, *później* EULALIA,
KSAWERY, *w końcu* PRZTYKIEWICZ.

PIPCZYŃSKA (*wystrojona w jaskrawe kolory*).

Dzień dobry! dzień dobry! Jak się masz Paulinko? (*całuje ją w czoło; do Maryana, zimno*). Dzień dobry (*do Cyryaka*). A! kochanego pana! jakże się kochany pan miewa? Ach! co za upał nieźnośny! O takie czasy w górach, rzecz niepraktykowana (*siada na kanapie*). Pan to zapewne nie pierwszy raz w tych stronach.

CYRYAK.

Owszem, po raz pierwszy, pani dobrodziejko. Obowiązki bowiem mojego stanu nie pozwalają mi na czas dłuższy wydalac się ze stolicy. A pani dobrodziejka, jako sama wzorowa matka, żona i gospodyni, rozumiesz to łatwo, że obowiązek przedewszystkiem.

PIPCZYŃSKA.

Tak, obowiązek przedewszystkiem (*n. s.*). Najniezawodniej będzie to profesor uniwersytetu; nie zaszkodzi go urobić dla Herci... od przypadku (*głośno*). Pan dobrodziej obrałeś sobie powołanie tak szczytne, tak szczytne...

(*Cyryak krzaka i poprawia kołnierzyk*).

PIPCZYŃSKA.

Bo czyż może być co szczytniejszego, jak być

przewodnikiem młodzieży? To téż ja zawsze mojej Herci powtarzam... nie wiem, czy pan znasz moją córkę? Z przeproszeniem, bez urazy pana, czy wolno wiedzieć, czego pan uczysz?

CYRYAK.

Jestem profesorem obojga kaligrafii przy szkołach normalnych.

PIPCZYŃSKA (*osłupiała powtarza machinalnie*).

O...boj...ga... ka...li...gra...fii?... (*n. s.*). Profesor obojga kaligrafii... to zaledwie dwieście pięćdziesiąt reńskich... No, dla takiej Eulalii i to niezła partya. (*głośno*) Pan zapewne kawaler?

CYRYAK.

Jak dotąd, kawaler.

PIPCZYŃSKA.

To źle... tego panu nie chwale...

CYRYAK.

Chciałem piérwój wyrobić sobie w świecie stanowisko, pani dobrodziejko.

PIPCZYŃSKA (*n. s.*).

Za dwieście pięćdziesiąt reńskich. Upadam do nóg za takie stanowisko.

CYRYAK.

I zdaje mi się, że dziś nie jestem już dalekim od celu.

PIPCZYŃSKA.

Mogę pana zapewnić, że panna Eulalia jak najpochlebniej wyrażała się o panu.

CYRYAK.

Wdzięczny pani jestem za to zapewnienie.

PIPCZYŃSKA.

Ręczę za dobry skutek... No, szczęście Boże!
(ogląda się i spostrzega wchodzących Ksawerego i Eulalię). A co, nie mówiłam? (n. s.). Już go łapią.

EULALIA (wchodząc spiesźnie z Ksawerym).

A! powitać szanownych państwa (wita się).

PIPCZYŃSKA (do Ksawerego).

Gdzież się to pan obracał? Całe rano nie mieliśmy przyjemności widzenia pana. Hercia już tak dopytywała się o pana.

EULALIA.

Niedobry, chciał nas już opuścić, i to bez pożegnania.

PIPCZYŃSKA (n. s.).

To dobrze. Trzeba mu dopomódz wydostać się z rąk tych kokietek.

EULALIA.

A gdzież panna Hermenegilda?

PIPCZYŃSKA.

Hercia słaba trochę, została w domu.

KSAWERY (n. s.).

Dyabła tam w domu. Już pewno jest za stodołą. Trzeba mi się wymknąć koniecznie podczas obiadu.

CYRYAK (na boku).

Wypadało-by koniecznie oświadczyć się przed obiadem; jak tu zacząć (krzaka i poprawia się).

PRZTYKIEWICZ (wchodząc, zwraca się do Pipczyńskiej).

Zmiłuj się pani dobrodziejka, gdzie pani męża zaprzepaściłaś?

EULALIA.

Męża pani? Jakto? mąż pani jest tutaj?

PIPCZYŃSKA (n. s.).

Licho tu tego mazgaja przyniosło! wszystko gotów popsuć (głośno). Ja myślałam, że panowie razem...

PRZTYKIEWICZ.

Gdzie tam! Powiedział mi, żeś go pani gdzieś wysłała, jako głowę rodziny, i znikł, jak kamfora. Szukam go od godziny, bo ma klucze od moich kufrów, a ja chcę zaraz wracać do Lwowa na gwałt, bo pani zapewne wiesz, jakie mnie nieszczęście spotkało: moja żona... (placze).

PIPCZYŃSKA.

Co mnie pańskie sprawy obchodzą?

PRZTYKIEWICZ.

O! tak zostać nie może! policya się w to wdać musi!

PIPCZYŃSKA.

Mój mąż zapewne wróci niezadługo. Nie wiem, gdzie jest (n. s.). Bodaj-żeś przepadł!

PRZTYKIEWICZ.

Zaczekam więc na niego.

EULALIA (*zakłopotana*).

To może pan, jako znajomy pani Pipeczyńskiej, raczy obiadek z nami?...

PIPCZYŃSKA.

Ale, ale, na słoweczko (*biorąc Eulalię na przód sceny*). Przerachowałyśmy się trochę, kochana pani... to tylko profesor kaligrafii.

EULALIA.

Ha! nie będę się opierać przeznaczeniu; nie patrzę na stan, tylko na serce.

PIPCZYŃSKA.

Jeżeli tak, to niema czego zwlekać. Dziś jeszcze z wami skończę.

HANKA (*nalawszy rosół*).

No to już syćko gotowe.

EULALIA.

Służę państwu! (*Pipczyńska siada na pierwszym miejscu, Ksawery na końcu stołu*). O! nie tu miejsce dla pana! (*prowadzi go pompatycznie i sadza przy Pipeczyńskiej*).

PRZTYKIEWICZ (*siadając obok Pipeczyńskiej*).

Wczoraj był-bym za nie w świecie nie siadł do stołu, ale dziś już mi wszystko jedno. Będę jadł, będę jadł, aż się zajem z rozpacz (ociiera łzy).

(*Maryan siada obok Pauliny*).

CYRYAK.

Tak wypada koniecznie przed obiadem (*idzie z determinacją do Eulalii*). Pani! że się tak wyrażę...

EULALIA.

Ach! o panu zupełnie zapomnieliśmy (*wskazuje krzesło obok siebie*).

PIPCZYŃSKA.

Zapomniano o tobie. Dobry znak, profesorze. Jak Herci szczęścia pragnę. Powinszować szanownemu profesorowi!

(*Cyryak kłania się i krząka*).

(*Chwila milczenia, jedzą*).

PIPCZYŃSKA (*n. s.*).

Kiedy on, biedak, będzie mógł się wymknąć? Pomóżmy mu. Zagadaj to towarzystwo (*do Maryana*). Proszę pana... o co ja to chciałam zapytać?... żyje też jeszcze ten... ten... bo to wy, panowie, musicie się znać między sobą... no, ten... ten... co to pisze?...

MARYAN.

Któż teraz nie pisze, pani dobrodziejko?

PIPCZYŃSKA.

Ale on bardzo ładnie pisze... ten... no! hrabia, wiesz pan? On pisze różne kawałki do teatru.

MARYAN.

Fredro?

PIPCZYŃSKA.

To, to, to, panie! Żyje on też jeszcze?

MARYAN.

Żyje.

PIPCZYŃSKA.

A dobrze mu się powodzi?

MARYAN.

Wybornie.

PIPCZYŃSKA.

Chwała Bogu! I gdzież on teraz?

MARYAN.

We Lwowie.

PIPCZYŃSKA.

We Lwowie? proszę! I my mieszkaliśmy we Lwowie, i nie nie wiedzieliśmy o tém.

PRZTYKIEWICZ (*upuszcza łyżkę, z boleścią*).

Nie, nie mogę jeść, w ustach wszystko rośnie; o! czuję, że schudnę okropnie z tego zmartwienia! Ale na cóż mi się to teraz zda? Nie mam już dla kogo chudnąć!

CYRYAK (*krząka, n. s.*).

Może-by nie od rzeczy było teraz zacząć?

PAULINA.

Ciociu, co ciocia robi? Wino na talerz ciocia leje!

(*Eulalia rozstargniona spostrzega i leje do słoika z musztardą*).

PAULINA.

To musztarda (*podsuwa kieliszek; do Maryana*). Co się stało cioci?

MARYAN.

Pewnie mówkę układa.

PAULINA.

Trzeba-by temu przeszkodzić; nie mogę przecież pozwolić, żeby się ciocia skompromitowała.

MARYAN.

Profesor także musi jaką mówkę układać. Patrz pani, kieliszkiem nabiera masło. Cyrusiu!

CYRYAK (*wstaje, do Eulalii*).

Pani... są chwile...

EULALIA (*wstaje równocześnie, zwracając się do Ksawerego*).

Panie... są chwile...

CYRYAK.

O! przepraszam (*siada*).

PAULINA (*ciągnąc Eulalię za suknię*).

Ależ ciociu... on nie poeta.

EULALIA (*obracając kieliszek w rękach, nie uważa na słowa Pauliny*).

Są chwile w życiu ludzkim...

PRZTYKIEWICZ.

Oj! są! są! są!

EULALIA (*j. w.*).

Są chwile w życiu ludzkim, które stanowią erę... chciałam powiedzieć epokę...

PIPCZYŃSKA (*n. s.*).

Oho! już go bierze... Ale nie z tego! On już do Herci należy.

PAULINA (*zakłopotana*).

Ach! ta ciocia! Widzi pan, nie słucha mnie.

EULALIA (*powoli, z namysłem*).

Taką chwilą, w cichém życiu, takiej, jak ja, kobiety, jest bez zaprzeczenia obecność w jej domu człowieka, który, jakkolwiek tak młody, tak zaszczytnie odznaczył się już na niwie literatury ojczyścjej...

KSAWERY (*n. s.*).

Zanosi się na jakąś długą mowę. Teraz będzie dobra pora drapnąć! (*wstaje, chce odejść*).

EULALIA.

Do ciebie-to, do ciebie zwracam się, panie Ksawery.

KSAWERY (*n. s.*).

Do mnie? A to się uwzięli dziś na mnie!

EULALIA.

Pozwól, że zdradzę twoje *incognito*, że pozwolę sobie publicznie w mym domu uczcić wieszczę, znakomitego poetę...

KSAWERY.

Ja poeta? Ależ ja, pani dobrodziejko, w życiu żadnego wiersza nie popełniłem... ja sobie poprostu koncypient adwokacki. To Maryan poeta!

EULALIA, PIPCZYŃSKA, PAULINA (*do Maryana*).

Pan? (*wstaje*).

KSAWERY (*n. s.*).

Teraz pora (*wysunwa się, biegnie na lewo*). Hercia za stodołą, nie chcę (*biegnie na prawo*).

EULALIA.

Jakto? pan? Ależ to nie godziło się tak nas utrzymywać w błędzie!

PIPCZYŃSKA (*żywo, namiętnie*).

Tak, tak, nie godziło się, panie! Nie godziło!

MARYAN (*wstaje, do Eulalii*).

Trudno mi było gwałtem wdzierać się w prawa wierszoklety, od których mnie pani tak stanowczo odsądziła.

PIPCZYŃSKA (*n. s.*).

Koncypient adwokacki! A to-by było ładnie! Ale gdzież on się podział? Chryste Jezu!

WSZYSCY (*wstają*).

Co się stało?

PIPCZYŃSKA.

Herciu! Herciu! może już za późno! Herciu, dziecię moje!

EULALIA.

Była tu przed chwilą.

PIPCZYŃSKA.

Ale jej niéma! niéma! Herciu! O! ja nieszczęśliwa matka!

PRZTYKIEWICZ.

To tak, nie przymierzając, jak moja żona.

(*Hercia, wchodząc, uderza się z matką*).

PIPCZYŃSKA (*chwyta ją w objęcia*).

Jesteś! ach! oddycham! Ocalona! (*całuje ją namiętnie*).

HERMENEGILDA (*do matki po cichu*).

Nie przyszedł, proszę mamy.

PIPCZYŃSKA.

To twoje szczęście! Zwiedziono nas, drogie dziecko! oszukano niegodnie! To tylko koncypient adwokacki. Rozumiesz? zaledwie projekt na męża!

HERMENEGILDA (*n. s.*).

Ja-bym tam już takiego wołała, niż żadnego.

MARYAN (*całując Eulalię w rękę*).

Więc przebaczasz mi pani tę małą mistyfikację?

EULALIA (*wdzięczając się*).

Najzupełniej!

PAULINA.

I ja!

PIPCZYŃSKA (*zbliża się ku niemu z przymileniem*).

I my, i my. Choć nas pan zawiodłeś okropnie, niemilosiernie. A jednak ja w panu zawsze uważałam coś poetycznego, coś niezwykłego. Nie prawda, Herciu? A Hercia to sobie wyperswadować nie dała, żeś pan nie poeta.

MARYAN (*kłania się*).

Słyszałem wiele o przymiotach panny Hermenegildy.

PIPCZYŃSKA (*n. s.*).

Słyszał o jej przymiotach. Jeszcze nie straconego (*idąc ku niemu, głośno*).

CYRYAK (*dotąd zamysłony, zastępuje jej drogę*).

Więc pani dobrodziejka mnie zapewnia, że sta-

rania moje będą pomyślnym uwieńczone skutkiem?

PIPCZYŃSKA.

Ale najpomyślniejszym, tylko śmiało! Chodź pan (*prowadzi go do Eulalii*). Panno Eulalio! polecam względem twoim zakochanego.

CYRYAK (*odkręcając kufuszy*).

Wdzięczny pani jestem za to słowo, które mnie ośmiela do wynurzenia moich uczuć (*krząka*).

EULALIA (*siada wzruszona*).

Proszę o szklankę wody.

CYRYAK.

Są chwile w życiu ludzkim, że się tak wyrażę, w których tego... (*krząka*). Postępując, jak na uczciwego człowieka przystoi, postanowiłem dziś jawnie wynurzyć zamiary moje. Mam nadzieję, iż stateczność, że tak rzeknę, i stanowisko moje, zjedna mi przychylną odpowiedź pań.

PIPCZYŃSKA (*do Eulalii*).

No, i cóż pani na to?

EULALIA.

Chwila tak ważna, że nie wiem doprawdy... Należało-by się namyslić.

PIPCZYŃSKA.

Ależ poco się tu namyslać? Za mało czasu na to. Skoro się trafia człowiek ze wszech miar godny...

(*Cyryak krząka*).

EULALIA (*z determinacją*).

A więc dziej się wola nieba (*podaje rękę Cyrykowi*).

PIPCZYŃSKA (*łącząc ich*).

Otóż tak, to lubię! W imię Ojca i Syna (*żegnając ich*).

CYRYAK.

Ależ pani dobrodziejko, nie skończyłem jeszcze...

PIPCZYŃSKA.

Nie nie szkodzi, później pan skończysz; mniejsza o przemowę, kiedy pan pewny jesteś ręki tej, którą kochasz.

CYRYAK (*w zakłopotaniu*).

Ależ ja, pani dobrodziejko, nie myślałem wcale...

PIPCZYŃSKA.

Że to tak łatwo pójdzie. Widzisz pan, to mnie masz do zawdzięczenia.

PAULINA (*do Maryana*).

A widzisz pan, że on o cioci myślał.

MARYAN.

Ależ przysięgam pani, że mu się ani śniło. Wmówili w niego. Patrz pani, jaką on ma pocieszającą minę.

PIPCZYŃSKA (*n. s.*).

No, a teraz pomyślmy o Herci; kujmy żelazo póki gorące (*chce iść do Maryana*). Ta obrzydliwa kometka na krok go nie odstępował. Jak ją tu oddalić?

(*zbliża się ku nim, głośno*). No, Paulinko, powinnaś mi podziękować, że ci ciocię wyswatała.

MARYAN.

Oboje pani wdzięczni jesteśmy, gdyż od tego zależało i nasze połączenie.

PIPCZYŃSKA.

I nasze po...lą...cze...nie (*zmuszając się do uśmiechu*). Ha! ha! ha! jakże się cieszę (*n. s., z pasją*). O! zmija! jak go sobie urobiła!

CYRYAK (*zbliżając się do Maryana*).

Jakto? to ty z Pauliną? a przecież wiesz, że ja miałem zamiary...

MARYAN.

A panna Paulina inne. Stało się. Zresztą Eulalia kobieta wykształcona.

CYRYAK.

Wyrażała się bardzo dobrze o kaligrafii. To jedno mnie pociesza.

PIPCZYŃSKA (*do Hermenegildy*).

Chodź, Herciu, dziecię moje, niema tu co dłużej robić. Żegnam państwa (*odchodzi z Hercią*).

EULALIA.

Co się jęć stało?

SCENA VII.

Ciż, PIPCYŃSKI, KSAWERY.

PIPCZYŃSKI (*ciągnąc za rękę Ksawerego*).
Bez wymówek, mój panie!

ksawery.

Ależ panie dobrodziejku.

wszyscy.

A to co?

pipczyński *(prowadząc Ksawerego na przód sceny)*.

Tak, panie, skompromitowałeś pan moją córkę!
zniesławiliś nazwisko Pipeczyńskich!

ksawery.

Ja? Ależ panie...

pipczyński *(nie słuchając go)*.

Jako ojciec, żądam od pana satysfakcyi: albo się pan żeni, albo... *(ogląda się, n. s.)*. A gdzież moja żona? nie wiem, co dalej robić.

ksawery.

Co to wszystko ma znaczyć? kogo ja skompromitowałem?

pipczyński *(całkiem spokojnie)*.

Kogo? Albo ja wiem. Ja tylko tyle miałem powiedzieć, reszta należy do mojej żony. Ale gdzież ona jest? Kasiu! Kasiu!

pipczyńska *(we drzwiach domu)*.

Czego wrzeszczysz?

pipczyński.

No, stało się, jak kazałaś: brunet, ze szkiełkami; poznałem go zaraz, nawet bez Herci.

pipczyńska *(zatykając mu usta)*.

Janie! proszę cię bardzo!

ksawery.

Wytłómacz mi pan dobrodziej, co to wszystko znaczy?

pipczyńska.

To znaczy, że mój mąż waryat, sam nie wie, co robi!

pipczyński.

Ależ, duszko, wszak sama kazałaś.

pipczyńska.

Ja nie kazałam! kazałam ci rzeczy pakować!
(pcha go do domu i idzie za nim).

ksawery.

Sama kazała? Więc to był plan mamy dobrodziejki.

maryś.

Cheili cię ubrać, Ksawerku! *(śmieje się)*.

(Kurtyna zapada).

K O N I E C.

KOMEDYE Z OŚWIATĄ.

Obrazek z natury w jednym akcie.

OSOBY:

Błażej Dudek.
Magda, jego żona.
Nauczyciel wiejski.
Skiba, dzierżawca.
Piórko, delegat Towarzystwa oświaty ludu.
Ekonom.
Maciek Sprzeka.
Wojciech Fasula.
Antek, parobek.
Służący.
Kilku chłopów.

Rzecz dzieje się na wsi.

(Scena przedstawia drogę wiejską. Po lewej płot z prze-
łazkiem, za płotem sady, węgly chałup. Po lewej, w trze-
ciej kulisie, chałupa, przed nią ława lub przyzba).

SCENA I.

MAGDA, ANTEK.

(*Magda siedzi na przyzbie i robi masło w maselnicy.*)

ANTEK (*za sceną*).

Gospodyni! Gospodyni (*wchodzi z lewej z za
chałupy*).

MAGDA.

Cegoz się drzesz hardęgo, jakby cię kto ze skóry
lupił?

ANTEK.

Jakże się ni mom drzyć. Ano trza do pola po
snopki, a tu ani rozwory, ani sworznia. Kajze swo-
rzeń?

MAGDA.

To się ty mnie pytos, a coześ ty za parobek, co
nie wiés, kaj sworzeń?

ANTEK.

Ja wiem, że był przy wózku, chyba go gospodarz kaj podzieli.

MAGDA (*przez ramię*).

To go się spytaj.

ANTEK.

Ba, jakże się spytom, kiej go nima.

MAGDA.

Nima, to wróci. Wiekuwoł nie będzie.

ANTEK.

Od niedzieli już godocie: wróci, wróci, a jego jak nima, tak nima, a tu w polu syćko stoi, ludziskom nima kto zapłacić ode zniwa, a żołmirz na sekucyi już trzeci dzień siedzi, to także niewielgi hunor lo takich gospodarzy.

MAGDA (*wstaje do niego*).

A tobie, oparo jakaś, co do sekucyi i żołmirza? Tobie nie do tego, rozumis?

ANTEK.

Jakto nie do tego, kiej psiopara zabirowo się do mojej Kaśki, jeszcze mi dziewczucha na psy zejdzie, a syćko bez was.

MAGDA.

Stulis ty głowę? Ja ci ją tu hnet zamaluje.

ANTEK (*całując się*).

Ciewy tylko na głowę umiście obiecywać, a do głowy to nima co wrazić. Wciurności nadali z ta-

kiem gospodarstwem (*machnąwszy ręką, wychodzi na lewo*).

MAGDA.

Pójdzies ty mi! Widzisz go, jaki mi filozof, będzie mi tu nauki cytoł. Cy to słysano rzecz, żeby lada parobek śmiał mi godać takie rzeczy?

SCENA II.

MAGDA, NAUCZYCIEL.

NAUCZYCIEL (*z prawej z głębi*).

Niech będzie pochwalony. O, cóż to pani Błażejowa taka sroga?

MAGDA.

A coś ni mam być sroga, kiedy ano lada niedojda utoyka na człowieka. A syćko bez tego Błażeja, oj! dola moja, dola! (*placze i ociera oczy*).

NAUCZYCIEL.

O cóż właściwie idzie? Cóż Błażej takiego zrobił?

MAGDA.

Co zrobił? A to mu się we łbie na starość przewróciło. Zamiast pilnować gospodarstwa, to on łazi se po miastach, po szlacheicach, bodej kaj, a tu w domu aleluja, ani to komu dojrzyć w polu, ani nie. Ja pracuję, haruję, jak mogę, zabigom, starom się za onym grosem, a on abo kajś światami łazi, abo, ućciwszy usy, leży po próżnicy do góry brzuchem i cyto se książeczki, niby szlacheic, abo profesor jaki.

Nieroz mu gadom na wyrozumienie: człowieku, padom, rzekę, mówię—człowieku, mówię, miej-ze Boga w sereu, padom, co ty robis, padom, zastanów się, gubis mnie, mówię, gubis siebie, ano skapiemy mar-nie, jak zydosko świca. A on nie, tylko cyto i cyto. Kozdziutki się ino śmieje z tego, a tu bida, ze panie ratuj (*placze*). Oj! lepiej-by mi było kamiń sobie awiażać u syi, niz zem posła za takiego ladaco!

NAUCZYCIEL (*zgorszony*).

A nie; to znowu, widzicie, Błażejowo, ubliżacie waszemu chłopu, bo jakbądź mu to i owo zarzucić-by można, naprzykład, że zanadto wiele teraz trzyma o sobie, ale zawsze to człowiek niezwyčajny. Żeby w czterdziestym którymś roku wziąć się tak gorliwie do czytania, to trzeba nie lada wytrwałości i zamięłowania. Ta to przed dwoma laty jeszcze liter nie znał dobrze (*zażywa tabaki*). Nie zapomnę nigdy téj chwili, kiedy go zszedłem raz za stodołę nad kawałkiem jakiegoś zawałanego, chciałem powiedzieć zadrukowanego, papieru, który znalazł w trawie. Kosa sobie leżała na nieskoszonej trawie, a mój Błażej morduje się i męczy nad czytaniem, że mu aż czupryna się zjeżyła i pot kroplisty wystąpił na czoło, i sylabizuje, a sylabizuje zawzięcie, z całego gardła. I śmiech mnie brał, i respekt uczułem wtedy dla niego. Zbliżyłem się, pomogłem mu od-czytać pismo.

MAGDA.

I odtąd więcej siedział u wos, jak w domu. Wy-

rychtowaliście go piknie, nima co godać. I cóż on teraz? ni gospodarz, ni prefesor, ni szlachcic, ot pró-zniok i tyle. I cóż jemu z tego cytania przydzie, ano torby siecki nie worto.

NAUCZYCIEL.

Co wy téż, Błażejowa, mówicie? Przecież nau-ka, to także bogactwo człowieka.

MAGDA.

Nie darmo to z wos taki bogoc, ze casem nie mo-cie co włożyć, z przeproseniem, do gęby, a przecie wy mędrszy od Błazka, a moze i od samego dziedzi-ca, a zeby się na wos gromada nie składała, toby-ście i tego nie mieli.

NAUCZYCIEL (*zażywa tabakę*).

No, to prawda, że z człowiekiem nie najlepiej, ale tak źle zawsze nie będzie; słyhać, że sejm coś myśli o polepszeniu losu nauczycieli, i bardzo słu-sznie, boć jeżeli nauka jest tak ważną rzeczą, jak ci panowie mówią i piszą, to należało-by tych, co téj nauki udzielają, jakoś lepiej nagradzać za ich cięż-ką pracę. Właśnie w tym interesie przyszedłem do waszego, on ma teraz znajomości z różnemi znac-nemi figurami, panowie go sobie pokazują, jak dzi-wowisko, i pyszną się takim rezolutnym chłopem na różnych zjazdach, zebraniach, bo to teraz moda bra-tać się z ludem, to Błażej mógłby mi wiele pomódz w téj sprawie, jego słowo więcej-by znaczyło, niż nasze prośby. A, otóż i on.

SCENA III.

BŁAŻEJ, MAGDA, NAUCZYCIEL.

BŁAŻEJ (*z torbą skórzaną na ramieniu, z cygarem i laską*).

Witajcie! Jak się mos, prefesorze?

NAUCZYCIEL.

Witamy, witamy. A toście się zasiedzieli w mieście, Błażeju. Mieliście przecie wrócić jeszcze w środę, czekaliśmy was z obiadem.

BŁAŻEJ (*spluwa*).

Niby kto cekoł?

NAUCZYCIEL.

A no ja. Wszak obiecaliście być u mnie na obiedzie.

BŁAŻEJ.

I cóż-byś mi ty mógł dać na obiad, taki chudzi-na, nie przymierzając, jak ty? Moze boscu, abo rosołu i kawałek misa.

NAUCZYCIEL.

Ha, na co stać człowieka. Czém chata bogata, tém rada.

BŁAŻEJ.

A to po cóż-by ja łaził do ciebie, kiedy jo i w domu u siebie mom taką paradę. Jak obiad prosony, to kunieenie muszą być lody i siampom, teraz taka moda. A ty, Magda, coś tako zabecano?

MAGDA.

Mom się cego weselić. Dobregom się losu docekała (*placze*). Oj! zebym lepi nie była dożyła tego!

BŁAŻEJ.

Cegoz ty kobito chcesz? Mos honor między ludźmi, mos gospodarstwo, jak się patrzy.

MAGDA (*j. w.*).

I sekucya, co od trzech dni siedzi na karku, ze cłek mało ze pod ziemię się nie schowa ze wstydu przed ludźmi.

BŁAŻEJ.

Sekucya? Jako sekeya?

NAUCZYCIEL.

Exekucya za podatki.

MAGDA.

Coś je miał jeszcze łoni zapłacić.

BŁAŻEJ.

No, i wielgo rzec sekucyo. Jak bede chcioł, to sekucyo pójdzie se prec i basta.

MAGDA.

Tak, jak im zapłacis. A z cegoz będiesz płacił, kiejs ty goły, jak turecki święty.

BŁAŻEJ.

Niech ta będzie. Ja nie zapłacę ani grosa, a i tak mi sekucyo nie nie robi.

NAUCZYCIEL.

Ba, gotów jednak zjechać sekwestrator.

BŁAŻEJ (*staje przed nim*).

A jak pon minister zakaze, to cóż mi robi sekwestrator? Widzis, ino słówko pisnę do ministra,

to i sekucyą dyabli wezmą, i podatków nie będę płacił.

NAUCZYCIEL.

Nie tak to łatwo dostać się do ministra.

BŁAŻEJ.

Jak komu. A dyć ja wcoraj z ministrem godoł, jak, nie przymierzając teraz z tobą.

NAUCZYCIEL.

Z ministrem? Mój Boże, ja tyle lat żyję i pracuję, a nigdy mnie jeszcze ten honor nie spotkał. Raz, jak byłem we Lwowie, prosiłem o audyencyą, ale mnie nie dopuszczono.

BŁAŻEJ.

A widzisz, a nibyś to uczony. I cożeś ty za spekulant, kiejś nie nie wyśpekulował swoim rozumem? A ja, jak mi się zechce, to i posłem będę, i do samego Widnia pojedę. Widzisz Magda, ty ani wiesz, jakiego ty chłopca dostałaś.

MAGDA.

Ty lepiej pilnuj gospodarstwa, rozumisz? bo Wi-deń ci chleba nie do.

BŁAŻEJ.

Jakoś ty głupia, co ty wiesz? Jak ja będę chciał, to pan hrabia wyręchtuje takie gospodarstwo, co tu na okolicę nima drugiego takiego.

MAGDA.

Godziej, póki ci widno; chyba-bym głupio była,

co-bym wierzyła. Spuszczej się ty tylko na to, co ci szlachceice dadzą.

BŁAŻEJ.

No, to się przekonasz, bo jego tu co ino nie widno.

NAUCZYCIEL.

Hrabiego? naszego dziedzica?

BŁAŻEJ.

To się wi, obiecał się do mnie na dzisiok. Zaroz z nim o tém pogodom. Ba, i cóż to znaczy takiemu panu hrabiemu dać trochę drzewa z lasu na porzomne pobudowanie i z kilkanaście morgów pola? Napisać, panie, karteckę do rundzy i basta, a nom zrobi grzeczność. Będziesz ty wtedy inaczej gadała, Mada, jak nom pon hrabia sypnie z jakie czterdzieści morgów.

NAUCZYCIEL.

A może-by i na szkołę coś ofiarował?

BŁAŻEJ (*dobywa cygara*).

Co, prefesurze, może-byś się zakurzył cygor? he?

NAUCZYCIEL.

Ha, jeżeli łaska (*zapala od Błażeja*).

BŁAŻEJ.

No, cóż? wonio, he? Takiegoś cygara pewnie póki zycia nie kurzył?

NAUCZYCIEL.

A zkad? Człowieka na *drei banera* nie stać.

BŁAŻEJ.

Widzisz, a ja ich wcora dostał packę całą. Dał

mi je jakiś gruby pon, cośmy z nim jeździli zwidzać
skoły po wsiach.

NAUCZYCIEL.

Jakto? ty jako wizytator?

BŁAŻEJ.

To sie wi; pojechało nas kilku.

NAUCZYCIEL.

Mój Boże! ja dwadzieścia lat pracuję w zawo-
dzie nauczycielskim, a ten honor mnie nie spotkał
i pewnie nie spotka.

SCENA IV.

CIŻ, MACIEK, WOJTEK (*z lewej głębi*).

BŁAŻEJ.

A widzisz (*ogląda się i spostrzega za płotem idących
z kosami na ramionach Maczka Sprzekę i Wojtka Fafułę*).
Niech będzie pochwalony! witajciez wroz!

MACIEK.

Na wieki.

WOJTEK.

Witaj zdrów.

BŁAŻEJ.

Kaj ta pon Jezus prowadzi?

WOJTEK.

A no na łaki.

BŁAŻEJ.

A moze-byście i wy cygor zakurzyli. Naciez wom.

MACIEK (*przeszedłszy przez płot*).

Cie, Błazej na szlachcica wysedł, cygory poli.
A co ich to tego (*zapalają*), widzicie wy, ludzie.

BŁAŻEJ.

Mom tu jesce coś lo wos (*otwiera torbę*). O! tylo
kupa książek i gazet, bedzie co cytać, prawda.

MAGDA (*n. s.*).

Przydo się to i lo mnie na masło. Tyle ta mom
zarobku z tego cytonia.

BŁAŻEJ.

Mozecie se zaroz zabrać.

MACIEK.

I cóz nam z tego? my bedziewa cytać i cytać,
a ty se bedzies za to siampany spijoł w mieście z pa-
nami.

BŁAŻEJ.

Cekojcie, i wom sie dostanie. Tylem im nago-
doł o wos, o nasój cytelní, ze hrabiego wzina ochota
zoboczyć to wszyćko.

WOJTEK.

A to sie wi. PISOŁ juz do rzuncy, co-by jadła
i napitku narychtował tu u mnie lo gromady, to sie
naicie delikatnych rzeczy i napijecie lepić, jak
u Symka.

NAUCZYCIEL.

Może i szkołę zwiedzi przy tej sposobności.

MACIEK.

A ja wom gadom, ze to zdrada — to mi wirziecie.

BŁAŻEJ.

Z cém zdrada?

MACIEK.

A no z tym przyjazdem hrabiego. On tu nie po próżnicy przyjedzie. Ja wam godom, w tém coś jest.

BŁAŻEJ.

A dyć ci gadom, bajoku, że chce widzieć naszą cytelnię — com przecie tak godoł — poznajemi się z nami.

MACIEK.

Wirz mu ty. Tyle lat żyje i nie spytał się o nos, i zkaż-ze mu teraz taka ochota? Ja wam godom, to jakoś zdrada. Głupiemu gadać, żeby zzlacheić chodząc do chłopów tak bez zodnej racji, tego nigdy nie bywało, chyba jakby chciał posłem zostać.

WOJTEK.

Ha, niech da po dwadzieścia papirków, to go...

NAUCZYCIEL.

Ależ ludzie, przecie teraz niema żadnych wyborów...

MACIEK.

To też lo tego mi się ta rzecz jesse bardzi podeżrano widzi.

NAUCZYCIEL.

O! cóżecie też za naród taki podejrzliwy, kiedy wam Błazej gada, że hrabia nie chce od was nic, tylko pogadać z wami, zbliżyć się do was, uraczyć, no i cała parada, gdzież tu jaka zdrada?

WOJTEK.

Ta i prawda, cóż nam może zrobić? Potruć nie potruje, bo-by się do kryminału dostał. A co ciekawo użyje na pańskich przysmakach, to użyje. Przy-
nojmni roz choć cytanie na coś się przydo cłowiekowi.

MACIEK.

A ja wam godom, z panami, to, nie przymierzając, jak z ogniem: z blizka się poparzysz, a z daleka nie ogrzejesz.

BŁAŻEJ.

Ale jak w som roz urychtujes ogień, to strawę przy nim uwarzys.

WOJTEK.

Święta prawda. Ech, Błazej nie głupi chłop, on-by się ta nie doł ciarachom wyrzuchiwać. Jaby przecie rad tak roz widzieć, jak on ta z niemi w mieście stundyruje.

BŁAŻEJ.

Jak? A no jem se, panie, delikatne rzeczy, różne przysmačky, pije się siampona, no i godo się o oświacie. A żebyście wy ludzie słyseli, jak się o was godo, to warto posłuchać. Inaczej ci nie nazwią chłopów, ino włościanin, albo naród. Jak wco-
raj jeden mały pon, co go wielkim mianują, zaczął, panie, godoć, co to my jesteśmy, to ci, panie, az dusza rosła z uciechy. Godali, godali, syćki do mnie.

WOJTEK.

He, he, he — i cóż ty na to?

BŁAŻEJ.

Jo im sie pokłonił piknie, podziękował za dobre słowo i pedziołem: „Kiedy nos tak panowie radzie macie, to dajciez co na cytelnię“.

WOJTEK.

No jużcić, kiedy godali, ze nas tak miłują.

MACIEK.

Naturalna rzec.

BŁAŻEJ.

Wzionem kapelusz w rękę i dalej chodzić od jednego do drugiego. Papierki sypały sie kieby liście na jesień; ten małuśki pon, jokem do niego przysed, skrzywił się okrutecnie i strasnie mu sie nie chciało papierka wyciągnąć, to ci dusigros pono, ale dać musiał bez som wstyd, bom mu pedzioł: „pon najlepšíj godoł, to pewnikiem najwięcej do.“

MACIEK.

A toś go chyciul!

WOJTEK.

He, he! Błazek nie głupi chłop.

NAUCZYCIEL.

Ja-bym tak nie potrafił, choć, Bogiem a prawdą, przydało-by się na szkołę tak z kilkadziesiąt papierków zapomogi.

MACIEK.

I duzoś od nich wytermosił?

BŁAŻEJ.

Ano coś będzie ze seśédziesiąt papirków bez którego grajcara.

WOJTEK.

No, to zawse kawoł grosa. I cóż my z tém zrobiwa?

NAUCZYCIEL.

A no na książki, na czytelnię, toście słyszeli przecie.

MACIEK.

E, cy to nie skoda tyle grosa wyrzucić na książki. Ano cytanio mowa po usy, ze casu nima wycytać tego, co jest.

WOJTEK.

A Błazek jesce furt znosi książki z miasta.

MACIEK.

Ano! Ja-bym wolał na sól, na krupy, to nam potrzebniejsze, jak cytanie.

WOJTEK.

To sie wi. I gros sie nie zmarnuje, i nom będzie wygoda.

NAUCZYCIEL.

Ależ zmiłujecie się ludzie, ta to grosz publiczny, rzecz święta, tego nadużywać nie wolno. Na jaki cel było dane, na taki użyć trzeba. Jeżeli nie potrzebujecie użyć na czytelnia, to dajcie na szkołę, to jedno.

WOJTEK.

Cie, jakiś ty mądry. Syćko-byś tylko pakuwoł na te szkołę. A mało to my dajewa do roku? I jesce mu dzieci posyłoj. Zamiast co-by chłopok gęsi pas, abo za bydłem chodził, to go trza posyłać do szkoły i jesce płacić za to.

MACIEK.^h

Co się sumitujes. Zrobiwa z piniądzami, co się nom bedzie podobało, bo to teraz nase, nie cyje.

WOJTEK.

No, dyć prawda.

MACIEK.

No, kaj mos te piniądze?

BLĄŻEJ (*wydobywa*).

Ano są, o! pełno gorś tego, trzymoj-ze: dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt papirków.

MACIEK.

A dyć ich ta mos jesce więcej.

BLĄŻEJ (*chowając*).

Co mom, to mom, a wom do tego nie, to moje.

MAGDA (*n. s., przy masielnicy*).

No, nie psiopara to, bo mnie nic o piniądzach nie godoł.

MACIEK.

Ba, wase; a zkądze-byście wy wzieni.

BLĄŻEJ.

Zkąd wzion, to wzion, a wom do tego nie.

MACIEK.

Jakto, nie? Kiedy lo gromady dali, to lo gromady, a nie lo wos.

BLĄŻEJ (*stawiając się hardo*).

A cóz to ja za daremno bede buty dar lo wos? Zeby nie jo, tobyście nie nie mieli, ani-byście grosa nie powąchali z tego.

MACIEK.

I ty-byś go nie wąchoł, zeby nie my.

WOJTEK (*do Macka*).

Dajciez pokój, kumie. Juzcie Blazek mo recht; kto przy kościele siedzi, to z kościoła zyje. Niech on se mo, cy jego, a my chodźwa do Symka, on nos rozrachuje, co na kazdego wypadnie.

BLĄŻEJ.

Tak, pójdziecie do Symka, a tu pana hrabiego co ino nie widać.

WOJTEK.

Prowda i to; to moze-by się trzeba jako ogarnąć uczciwie.

MACIEK.

Ja tu duchem bede. Chodźwa (*wychodzi z Wojtkiem na prawo*).

NAUCZYCIEL.

I ja-bym się przebrał, gdyby tylko było w co. Trzeba przynajmniej ogolić się i wziąć świeży półkoszulek, bo może wypadnie coś za szkołami prze-

mówić. Ta to nie prędko znowu trafi się taka sposobność (*chce odejść*).

BŁAŻEJ (*zatrzymuje go*).

Cekoj-no, mom ci coś rzec (*bierze go pod rękę*). Uwozocie, tu może będą jakie oracyje, bo to teraz bez tego ani rus. Trzeba-by mnie także coś tym szlachecom powiedzieć, a cłek się wygodził w mieście i konceptu już brakło. Zebyście wy tak wyśtykowali jakąś ognistą oracyją, to-bym się tego, jak pacirza, wycul. Ty ta bedzies umioł, boś ty ucony człowiek, a dostaniesz papirka.

NAUCZYCIEL.

Papierka, jak papierka, ale żebyś tak przemówił za mną słoweczko do hrabiego.

BŁAŻEJ.

To się wi, że przemówię, tylko chodź i pis, anowięcej o oświacie, bo to teraz moda, rozumis. No, chodźwa (*chce iść ku chacie*).

MAGDA (*zastępuje mu drogę z podpartymi bokami*).

Śluchojno, toś ty mąż? toś ty gospodarz?

BŁAŻEJ.

No, cegoz ty znowu chees?

MAGDA.

To się użyrom z ludźmi, bieduje, a ty, mało, ze z szlacheciami się bisurmanis, jesse bedzies piniędze dusiul, a zonie nie nie dos, hę? toś ty taki mąż?

BŁAŻEJ.

Naści papirka, zatkoj se gębe (*daje ję*). Chodźwa.

MAGDA (*zastępuje mu drogę*).

Tak, to jo za papirka bede gotowała i tobie, i celadzi, i pod gębe wom podstawiała! to ja na to już zesła!

NAUCZYCIEL.

No, to prawda, Błażeju.

BŁAŻEJ.

E! chodźwa. Kto-by ta uważował na babskie godanie.

SCENA V.

BŁAŻEJ, MAGDA, NAUCZYCIEL, ANTEK.

ANTEK (*z lewej z za chłupy, z biczem w ręku*).

Gospodorzu! a chodziez, bo nima kto snopków na worstwe dawać.

BŁAŻEJ.

Cóz ty koltunie, to ty myślisz, że ja ci bede koło twoich snopków robiul?

ANTEK.

A dyć to nie moje, ino wase.

BŁAŻEJ.

Ejze nie otwiroj gęby i umykoj, pókim dobry, bo jesse co oberwies.

ANTEK.

Jako to robota, to kogoż ja zwołom na worstwe?

BŁAŻEJ.

Mos gospodynia, to se ją wołoj, a mnie doj świę-

ty pokój (*do nauczyciela*). Chodźwa (*wchodzą do chatupy*).

MAGDA.

Cie, gospodyni, jeszcze cego?

ANTEK.

To mi gospodarze; lepij-by u zyda służyć! (*wychodzi za chatę*).

MAGDA.

Jeszcze mu do snopków lotoj; niedoceanie twoje, zebym jo miała harować za wszystkich; chyba-bym głupio była (*odstawia z gniewem na bok masielnicę*). Nie chce, nie bede. Nie robis ty, i jo nie bede robiła; ty spijos siampany, ja se bede pić hesencyją u Symka; tak, niech wszycko pójdzie na marne, niech sie dzieje, co chce z gospodarstwem. To wszycko jedno. Co jo mom być gorso od niego. Bede piła, jak niebozkie stworzenie, a ty rób se potem, co chcesz. Tak (*wychodzi na prawo*).

SCENA VI.

SKIBA, EKONOM, SŁUŻĄCY.

SKIBA (*z prawej, wskazując na lewo*).

Postawcie tam kosze, a ty, mój Bałkosiu, każ tu przynieść stół z kredensu, to się na nim urządzą wszystko.

EKONOM.

Z przeproszeniem łaski pańskiej, czy-by to nie lepiej było zrobić wszystko we dworze? Nie było-

by tyle, z przeproszeniem łaski wielmożnego, subiekey i mitręgi.

SKIBA.

Hrabia sobie życzy, aby uczta tu sie odbywała.

EKONOM.

I na ileż osób nakryć, proszę łaski pana?

SKIBA.

Tego ci powiedzieć nie umiem dokładnie. Z miasta, o ile wiem, będzie tylko dwóch panów.

EKONOM.

A to dla kogoż reszta nakrycia?

SKIBA.

Dla chłopów, chciałem powiedzieć dla włościan, bo to będzie niby tego... uczta ludowa.

EKONOM.

Jakto? z przeproszeniem łaski pańskiej, to te chamy będą razem z panami jeść?

SKIBA.

Tak, tak, mój Bałkosiu, bo widzisz (*krząka i przybiera poważną minę*), nam trzeba teraz ten tego... zbliżyć się do ludu, bratać się z nim, że... się tak wyrażę.

EKONOM.

He, he, he! wolne żarty, z przeproszeniem pana.

SKIBA.

Nie, nie, mój Bałkosiu, ja mówię całkiem na serio; taki teraz jest tego... duch czasu. A przytém hrabia sobie tego życzy.

EKONOM.

Czego też jeszcze ci panowie nie wymyślą. Czy to słyszana rzecz, żeby chłop z panem był za pan brat? Gdzie to kiedy bywało. Chłop, mocium panie, pracował dla dziedzica, znał mores i było dobrze. Ot. A teraz chamisko pakuje się z zaciaranemi buciskami do pokoju, panowie go jeszcze do tego wszystkiego częstują, jak, nie przymierzając, równego sobie sadzają na kanapie. Jak człowiek na to patrzy, to się ledwie wnętrzości z irytacji nie przewracają. A dyć to chyba koniec świata, jak Boga Kocham!

SKIBA.

Ha! inne czasy teraz; stosunki się zmieniły. Oni teraz nasi sąsiedzi, nasi ten tego... młodszy bracia; tak, Bałkosiu, niestety, to jest chciałem powiedzieć, tak być powinno. Powinniśmy, panie, dbać o ten lud, wychowywać go, że tak powiem, bo jak go sobie wychowamy, takim go będziemy mieli. Tak, tak, oświata, to grunt.

EKONOM.

I na co to panom?

SKIBA.

Jakto, na co? Jak chłop będzie miał oświatę, panie, to nie będzie kradł, palił, nie będzie pił.

EKONOM.

E, z przeproszeniem łaski pańskiej, mało to mamy takich po kryminalach, co czytać i pisać umieją,

a nawet prawo znają, albo i pijaków takich, to na setki-by policzył.

SKIBA.

No, no, nie rezonuj, mój Bałkosiu. Powiedziałem ci to już nieraz, że jesteś okropnie zacofany i nie pojmujesz ducha czasu. Idź do dworu i zadysponuj, jak kazałem, bo hrabia zapewne niezadługo tu będzie.

EKONOM.

Stanie się podług rozkazu wielmożnego pana (n. s.). I ja mam jeszcze tym chamom usługiwać. Nie, to człowiek sfixować może na piękne (*wychodzi na prawo*).

SCENA VII.

SKIBA (*sam*).

SKIBA (*siada*).

Między nami mówiąc (*przyrządza cygaro*), to Bałkowski ma kompletną rację. Co mnie u stu dyabłów z tego przyjdzie, że chłop będzie umiał pisać, czytać, albo i rachować? To będzie jeszcze gorzej, niż teraz, bo taki oświecony chłop każe sobie lepij zapłacić, a jak mu nie dam, to gotów mi wyemigrować do Ameryki. Gdzie dawniej, proszę ja kogo, chłop słyszał o Ameryce. A dziś, ino mu nie zrób, czego chce, nie zapłacić, ile sobie zapłacić każe, zaraz do Ameryki. A co temu winno?—oświata, tylko oświata. Ale cóż? z tém głośno odzywać się

teraz człowiek nie może, bo-by go wnet zakrzyczeli i jeszcze opaskudzili w gazetach. I tak już dosyć się napiszą na nas biednych obywateli. Dobrze im pisać w mieście o łączności z ludem, braterstwie, kiedy tego chłopą widzą przez szybę od okna, albo często znają zaledwie z obrazka. Ale jakby taki jegomość posiedział tu z rok na wsi, nauzerął się z czeladzią, z najemnikami, ze szkodnikami, to-by inaczej śpiewał. Ja ciekawym, dlaczego ci panowie z miasta, co nas tak do miłości ludu zachęcają, sami drą się między sobą, jak pies z kotem. Hrabia na przykład chce, żebym chłopą, co mnie kradnie, gdzie może, uważał za brata, a sam uczciwego szewca nawet za kuzynka uznać nie chce. Tylko wszystko na tę biedną szlachtę pakują; ona musi za wszystkich robić, ona podatki płaci, z powietrzem, z ziemią, z ogniem, z wodą, z żydem, z urzędnikiem, z ludem natrapić się musi, na oświatę i różne cele dobroczynne dawać, i do tego jeszcze każą jej się z chłopami ścisnąć i całować. To trochę za wiele, moi panowie (*p. c.*). Dobrze Bałkowski mówi, chłop zawsze chłopem będzie: smaruj go miodem, on zawsze śmierdzić będzie. Ale cóż? hrabia sobie gwałtem tego życzy, a nie zadowolnić pańskiej fantazyi, to gotów dzierżawę podnieść, albo i całkiem wymówić. Trzeba się zastósować do jego woli. Może, jak mu się trafi na dobry humor, gotów jeszcze zwolnić mnie z ostatniej

raty. Kto wie, panowie miewają czasem takie szusy (*wyjmuję i otwiera list już rozpieczętowany*). Zapowiedział się na piątą godzinę (*czyta*): „W razie, jeżeli-bym osobiście przybyć nie mógł, pošlę delegata naszej propagandy, który mię zastąpi i przemówi do ludu. Przyjmij go pan stosownie do ważności misyi, z jaką przybędzie. Misya to wielka, bo tu idzie o pozyskanie ludu, który wichrzyciele buntują przeciw szlachcie; w tém mieści się racya naszego bytu: czy lud będzie z nami, czy przeciw nam. Na was, panowie, którzy stykacie się z ludem, ciąży obowiązek, aby się sprawdziły słowa wielkiego wieszczą: „Szlachtą polską polski lud“. Tym tylko sposobem ubezwładnimy nasiona czarnej intrygi, siane w dusze ludu przez wrogie żywioły. Podpisano: hrabia Fantasta.“ (*mówi*): Prawdziwy fantasta; wszystko to mrzonki, panie; co się tu bawić w romanse jakieś, kiedy to, panie, do niczego nie doprowadzi. Chłop, panie, to samolub czystej wody; on nie będzie ani za tym, ani za tym, bo on tylko myśli, aby jemu było jak najlepiej. To jego cała filozofia i polityka (*patrzy na list*). A, jeszcze przypisek. (*czyta*): „Polecam panu Błażeja Dudka; jest to intelligentny włościanin, wielce cenny dla nas exemplarz; możemy nim śmiało wykluć oczy tym, co mówią, żeśmy zaniechali oświatę naszego chłopka. Otóż pokażemy im, jak wysoko ten lud u nas stoi. W tym celu myślę go zabrać ze sobą na zjazd do

Lwowa. Trzeba tego chłopca czémś sobie zobowiązać.“ *(mówi)*: Albo i to nie komedia czysta? Że tam jakiś Dudek umie trochę czytać i wygadać się po ludzku, już go się obwozi na pokaz, jakby osobliwość jaką. Komedyje, panie, czyste komedyje! *(patrzy w list)*.

SCENA VIII.

SKIBA, NAUCZYCIEL.

NAUCZYCIEL *(wychodzi z chaty)*.

A! Do nóżek się ścielę wielmożnemu panu.
(Skiba, nie patrząc na niego, czyta dalej).

NAUCZYCIEL *(idzie z drugiej strony)*.

Sługa wielmożnego pana.

SKIBA *(opryskliwie)*.

Czego acan chcesz tutaj?

NAUCZYCIEL.

Ja miałem prośbę do wielmożnego pana.

SKIBA.

Jak acan ma interes, to trzeba iść do dworu, a nie na drodze napadać. Rozumiesz acan?

NAUCZYCIEL.

Z przeproszeniem wielmożnego pana, miałem honor być już trzy razy we dworze, ale mię nie wpuszczono.

SKIBA.

Dobrze zrobiono, bo acan chcesz mię już zamęczyć temi swojemi ustawicznymi prośbami.

NAUCZYCIEL.

Chciałem prosić wielmożnego pana o gonty na szkołę; dach dziurawy, dziatwie się na głowy leje.

SKIBA.

Przyjdzie jesień, to się zrobi, teraz żniwa, ja ludzi potrzebuję do roboty.

NAUCZYCIEL.

Chciałem także przypomnieć się o ten dodatek do pensyi, który miałem obiecany od jaśnie wielmożnego hrabiego za uczenie nadobowiązkowe w Jurkowskiej Woli, gdzie nauczyciela nie dano jeszcze.

SKIBA.

To się pan upomnij u hrabiego.

NAUCZYCIEL.

Zgłaszałem się do plenipotenty, ale mi powiedziano, że to wielmożny pan załatwi.

SKIBA *(wstaje)*.

Załatwię, jak będę miał czas, a teraz nie kłopotuj mi acan głowy takimi rzeczami. Wiecznie jakieś żebranie, ciągle tylko: daj i daj; fe! wstydź się acan!

NAUCZYCIEL.

Cóż mam robić? Pensyjka tak mała, że nie wystarczy na utrzymanie.

SKIBA.

Sto pięćdziesiąt reńskich, mieszkanie i opał, to acanu jeszcze mało? Ja ekonomowi więcej nie płacę, rozumiesz acan? ekonomowi, a cóż dopiero za

głupią naukę... to jest chciałem powiedzieć za pańską naukę; żeby tak kto chciał acana zadowolić, to-by musiał chyba sam pójść z torbami. Ja nie mam żadnego obowiązku. I tak już dosyć zrujnowałem się na oświatę, więc daj mi acan święty spokój i nie nudź mię. (*spostrzega wychodzącego z chaty Błażeja*).

SCENA IX.

BŁAŻEJ, SKIBA, NAUCZYCIEL.

SKIBA (*zmienia ton*).

A! jak się macie, poczciwy Błażeju? Cóż to? to już nie myślicie pokazać się we dworze, takeście zhardzieli? co? Nie chcecie wy do nas, to my musimy do was. Będzie nas tu za chwilę więcej.

BŁAŻEJ.

A wiem—pon hrabia; gadaliśmy o tém wcora.

SKIBA (*dobywa porte-cigars*).

A może cygarko? co?

BŁAŻEJ.

Jak dobre, to lo czegoz-by nie? (*zapala od Skiby*).
To nie kabanus (*spluwa*).

SKIBA.

Nie — kuba.

BŁAŻEJ.

U pana hrabiego to się ino kabanusy poli.

SKIBA.

Co hrabia i dziedzic, to nie mizerny dzierzawca.

NAUCZYCIEL (*n. s.*).

Ja-bym już i na krowoderosa przystał, tylko, że nikt jakoś nie częstuje.

SKIBA (*bierze pod ramię Błażeja i chodzi z nim*).

No, i cóż u was słyhać, poczciwy Błażeju?

BŁAŻEJ.

A cóz-by słyhać było? Bida i tyło. Przednowek ano był ciężki. Cłek myślał, co już zginąć przydzie marnie.

SKIBA (*zatrzymuje się*).

A nie mieliście to dworu? Nie było to przyjsć, jak do ojca, albo do przyjaciela? Ale wy nie macie do nas zaufania; zrywacie samocheąc tę unią tradycyi patryarchalną, co łączyła kiedyś dwory i chaty.

BŁAŻEJ.

Ba, cu mi ta za wygoda brać ze dworu, kićj potém trza oddać.

SKIBA.

No, jak-byście nie mieli oddać, to przecież-byśmy o to do wójta nie poszli. Dwór przecie ma wyrozumienie na takie rzeczy.

NAUCZYCIEL (*n. s.*).

Przemienienie pańskie stało się z tym człowiekiem. Ze mną on był trochę inszy.

SKIBA.

Ludzie tacy, jak wy, Błażeju, zasługują na poparcie. Jesteście chłop inteligentny, macie naukę; a nauka, to rzecz, którą my wysoko cenimy.

NAUCZYCIEL (n. s.).

Istny cud. Jakby nie ten sam człowiek.

SKIBA (*przechadzając się z Błażem*).

Więc kiedyście się widzieli z hrabią?

BŁAŻEJ.

A wecora.

SKIBA.

I nie mówił wam, o której mniej więcej tu będzie?

BŁAŻEJ.

Mnie się widzi, że go doł welo ewartej.

SKIBA (*patrząc na zegarek*).

To powinien-by już tu być? Może zajechał do dworu? Chodźmy zobaczyć.

BŁAŻEJ.

A chodźwa (*wychodząc na prawo*).

NAUCZYCIEL (*patrząc za nimi*).

Niech mi kto powie, co ten Błażej tak wielkiego zrobił, że go ci panowie tak honorują? Boć jeżeli to idzie tylko o oświatę, toć przecie i człowiek miałby jakie takie prawo do wdzięczności ludzkiej. Pracowało się lat tyle mozolnie na tém polu i może zrobiło się więcej od takiego Błażeja, a jednak dzierżawca nie ma mnie za hetkę pętelkę; gadać nawet nie chciał ze mną. W tém musi coś być. Ale ja tu rezonuję, a czas mija i ja jeszcze nieogolony. Trzeba się pospieszyć, bym mógł wraz z innymi powitać hrabiego.

SCENA X.

PIÓRKO (*sam*).

PIÓRKO (*wchodzi z prawej: bródka hiszpańska, wąski, zielone okulary, teka, laska; zatrąca z lwowska; wchodząc, rozgląda się po okolicy*).

Chaty nędzne, niebielone, bez kominów, pola lichy uprawne; wszędzie czuć niedostatek. I szlachta przez tyle lat nie zdobyła się na poprawienie doli tego biednego ludu, nie zrobiła nic dla szczęścia jego. Smutna to prawda. (*z dumą*) Ale my uczłowieczymy ten lud przez oświatę, zrobimy z nieoświeconej masy obywateli i stworzymy całe zastępy ludzi nowych, szermierzy postępu i liberalizmu. Te nędzne chaty zamienią się w pałace, wsie w kwitnące ogrody, bo oświata, to potęga, olbrzymia potęga. Wiem, że dwory nie pojną naszej pracy, że taki pan Skiba nie da ani grosza na oświatę, bo tacy ludzie żyją i tuczają się ciemnotą ludu; ale my też nie myślimy pukać do drzwi wsteczników, nam wystarczą chaty kmiotków. Potrzeba, aby lud sam pracował na swoją przyszłość i wdowim groszem przyczyniał się do urzeczywistnienia tej wielkiej idei, która go wyzwoli z egipskich ciemności (*wyjmując notatki*). W tej wsi ma być wielu kmiotków, wcale dobrze usposobionych do przyjęcia oświaty. (*zagląda w notatki*). Wskazano mi jakiegoś Błażeja Dudka, który ma znaczenie w okolicy. Należało-by

mi udać się najprzód do niego i porozumić się. Tylko jak go odszukać (*ogląda się*). A! idzie drogą jakaś kobieta.

MAGDA (*za sceną z prawej*).

Dana moja dana! Będzie gorzoleckę piła aż do rana—hu ha!

PIÓRKO.

Pijana. To także sprawa dworów. Pijaństwo i ciemnota, to dwa filary despotyzmu. Dwa filary despotyzmu. To wyrażenie udało mi się; muszę je zanotować sobie, użyję go w najbliższym artykule (*pisze zwrócony ku chacie Błażeja*).

SCENA XI.

PIÓRKO, MAGDA.

MAGDA (*z prawej; podpita, chustka na głowie trochę zba-
kierowana*).

Dana moja dana! będzie pić do rana. Cie, jest już jakiś ciarach z gubernii, może sekwestrator; pi-se nos dom — bez ochyba (*zbliża się do niego z pod-
partemi bokami*). Cóż to pon pises? he? (*Piórko spo-
gląda na nią pogardliwie i pisze dalej*).

MAGDA.

Pis pon, pis. Ino mój przyjdzie, to un panu do pisanie, co popamiętos!

PIÓRKO (*n. s.*).

Tylko oświata zdoła wydobyć ten lud z takiego zbydłęcia.

MAGDA.

Nie uwierzysz, aże zmierzysz. Tobie się widzi, że Błazejowa się spiła i gado od rzeczy. Spiłam się, to sobie, a dyabli komu do tego; jestem sobie gospodyni, to mi wolno, ale wiem, co godom.

PIÓRKO (*chowając notaty, n. s.*).

Zuchwałość połączona z głupotą. To konieczne następstwa takiej ciemnoty.

MAGDA.

Mój powi ministrowi słówecko, to cię wsadzą tam, gdzieś jeszcze nie był, za to, co ty śmiesz nas, Dudków z dziada pradziada, pisać do gubernium.

PIÓRKO.

Jakto? twój mąż nazywa się Dudek?

MAGDA.

To się wi. Błażej Dudek.

PIÓRKO (*n. s.*).

Więc to-by była żona tego chłopca, który tu uchodzi za najoświeczonego. Jakaż to smutna ilustracja do naszych stosunków! To mi daje treść do nowego artykułu (*sięga po notaty*).

MAGDA.

Ja ci radzę po dobroci, wynos się, pókiś cały.

PIÓRKO.

Ależ za kogo wy mnie bierzecie, kobieto?

MAGDA (*przystępując ostro do niego*).

Jo nie zodno kobita, tylko uściwa gospodyni, ro-

zumis, ty obieżyświecie jakiś? i godom ci, wynoś się, zkądeś przysed, bo co oberwies!

PIÓRKO (*cofając się*).

Czego ta baba chce ode mnie? A cóż to za bydlę jakiś!

MAGDA.

Wiem jo dobrze, ktoś ty, ptasku; choć bąbelka ni mos u copki, to i tak wiem, coś ty z gubernii.

PIÓRKO (*n. s.*).

Miała mnie za urzędnika. Teraz sobie tłómaczę jój niedelikatność. Ja zaraz mówiłem, że to pewnie jakiś nieporozumienie. (*głośno*) Mylisz się, poczei-wa gosposiu, ja nie żaden urzędnik.

MAGDA.

To pewnikiem jaki szlachcie, co mi przysed bałamucić mojego chłopca.

PIÓRKO (*n. s.*).

Nie cierpi szlachty. Jakież to rozumne instynkta tkwią w tym ludzie. Objaw ten zanotować sobie muszę, to bardzo ważne. O! są wielkie skarby w tym ludzie, tylko trzeba umieć dobrać się do nich. (*głośno*). Nie obawiajcie się mnie, zacna gosposiu; ja nie szlachcie wcale, ja wasz.

MAGDA.

Godoj głupi, myślis, ze ci uwierzę. Nas, nas — cie go! a cóżeś mi ty? swok, czy brat?

PIÓRKO.

Ja także dziecię ludu, wasza kość z kości.

MAGDA.

Z cego? z kości?

PIÓRKO (*zniecierpliwiony, n. s.*).

Co za ciemnota jeszcze u tego ludu. Jakich-że tu słów dobierać, aby być zrozumianym.

SCENA XII.

MAGDA, PIÓRKO, SKIBA, EKONOM.

PIÓRKO.

Widzisz, niewiasto, ja jestem delegatem, wyprawionym do was, rozumiesz? w waszym interesie, i szukam twego męża.

SKIBA (*który się zatrzymał był w głębi, zbliża się z prawej*).

Ach, więc to pan dobrodziej jesteś delegatem? oczekujemy pana—bardzo mi miło poznać...

PIÓRKO (*zdziwiony*).

Pan czekałeś na mnie? Z kimże mam przyjemność?

SKIBA.

Jestem Skiba, obywatel ziemski i dzierżawca tego majątku.

PIÓRKO.

Ale może pan nie wie, że ja jestem delegatem w interesie oświaty ludu?

SKIBA.

Wiem, wiem, i zrobię, co można będzie dla ułatwienia panu dobrodziejowi jego zadania. Zawia-domiłem już o tém gromadę i za chwilę wszyscy tu

będa. (*do ekonoma*) Bałkowski, idź przed karczmę do ludzi i powiedz im, że pan delegat przyjechał.

MAGDA.

To coś on godoł o kościach? Przecież taki pon kości nie zbiro, bo on nie smaciorz.

SKIBA.

Ale idź-że sobie, kobieto, kiedyś się spila. Niech-że pan delegat siada (*biegnie po ławę*).

PIÓRKO (*patrzy osłupiały, n. s.*).

Nie nie rozumiem. Więc to ma być ów okrzyczany Skiba? Ha, i wierz tu teraz pogłoskom.

SKIBA.

Tylko może będzie twardo, niewygodnie. Zaraz. (*do służącego*) Hej, stółek tu przynieść dla pana delegata.

SCENA XIII.

CIŻ, NAUCZYCIEL, MAGDA (*śpiąca pod ścianą*).

NAUCZYCIEL (*wchodząc na ostatnie słowa, n. s.*).

Dla delegata? Więc to delegat. Serce mi bije ze wzruszenia. Zdaje mi się, że febry dostałem. Nie dziwnego, być tak blisko takiej wielkiej figury, co ma w ręku losy moje, losy szkoły, to robi wrażenie. Jak tu mówić do niego? jak go tytułować?

SKIBA (*do nauczyciela*).

Hej! Nie widział gdzie Błażeja.

NAUCZYCIEL (*mieszając się*).

Za-raz tu... te-go... idzie tu... ten tego... zaraz...

PIÓRKO (*do Skiby*).

Tak. Fenomen prawdziwy (*siedząc, rozmawiając po cichu*).

NAUCZYCIEL (*kłaniając się*).

To mój uczeń, jaśnie wieloświecony, wieljaśnie, wielmożny delegacie. Ja się od niego, to jest właściwie on ode mnie ponabirał... pobierzywał... pobierał (*n. s., przerażony*). Cóż u licha, język mi się płacze, że ani rusz wybrnąć? E! to nie tak łatwo mówić do tak wielkiego człowieka. A to skaranie Bozkie! tyle lat czekałem na tę chwilę, a teraz kompletnie straciłem głowę!

PIÓRKO (*nie zważając wcale na nauczyciela, mówi do Skiby*).

Pan wiész zapewne, że mam także zbierać składkę na cele oświaty.

SKIBA.

Wiem, wiem, i jeżeli mogę choć w części przyczynić się tym skromnym datkiem (*wyjmując z pugila-resu i daje*) do tak szlachetnego celu...

PIÓRKO (*n. s.*).

Ależ to zacny człowiek, widocznie go spotwarzono. (*głośno*) Nazwisko pańskie będzie figurowało jedno z pierwszych na liście składek.

SKIBA (*kłania się*).

O, panie delegacie, nie zasłużyłem na to.

NAUCZYCIEL (*n. s.*).

Niéma co zwlekać. Może już drugi raz podobna

sposobność się nie trafi (*ociera pot, zbiera się na odwagę i zaczyna mówić*). Jaśnie wielmożny, jaśnie oświecony delegacie.

PIÓRKO (*mierzy go od stóp do głów; do Skiby*).
Cóż to za figura?

SKIBA (*lekceważąco*).
To niby nauczyciel tutejszy.

PIÓRKO.
Widocznie starój daty jeszcze. Czas-by już takich usunąć. Zamiast nam pomagać, psują tylko nasze dzieło.

NAUCZYCIEL.
Jaśnie, najjaśniejszy, najcniejszy, chciałem powiedzieć, najzacniejszy delegacie.

PIÓRKO (*wyniośle*).
A czego to?

NAUCZYCIEL.
Ja chciałem, to jest właśnie ośmielałem się przedłożyć pokorną prośbę względem... względem... względem lepszego uposażenia naszej szkoły i pod... pod... podwyższenia pensyi.

PIÓRKO
To należy do Rady szkolnej, tam trzeba się udać.

NAUCZYCIEL.
Udawałem się, pisałem jeszcze przed rokiem, ale...le mi dotąd nie jeszcze nie odpowiedziano.

A ja tego... jestem nauczycielem już od lat dwudziestu; pra... pracowałem mozolnie.

PIÓRKO.
Pracowałeś pan, to panu za to płacili.

NAUCZYCIEL.
Ba...ba...bardzo mało, mi...mi...mizernie, a przytém choroba, po...potém dużo zajęcia... Wola Jurkowska...

SKIBA.
Ależ nie nudź-że acan pana delegata (*odsuwa go*).

PIÓRKO (*wstaje*).
Jak się nie chce pracować, to trzeba się podać do emerytury (*odchadzi na bok wraz ze Skibą ku lewój*).

NAUCZYCIEL (*kiwając smutnie głową*).
Do emerytury na pół pensyi, kiedy ja z całej wyżyć nie mogę. Otóż skończyły się moje nadzieje. Chyba, żeby jeszcze Błażej...

SKIBA (*patrząc za kulisę*).
A, otóż nasz Dudek i gromada z nim.

SCENA XIV.
CIŻ, BŁAŻEJ, WOJTEK, MACIEK, ANTEK I KILKU CHŁOPÓW
(*z prawej*).

SKIBA.
Błażeju, to pan...
BŁAŻEJ (*przerywa mu, idąc wprost do delegata*).
Wiem, wiem, godoli mi już. Witam pana.

PIÓRKO.

Podaj mi twoją zasłużoną dłoń, zacny włościaninie.

SKIBA (*przedstawiając chłopów*).

A to nasi poczciwi wieśniacy.

MACIEK (*do Wojtka*).

Cie, jak nom basuje; nie taki un u siebie.

SKIBA (*przedstawia delegata*).

Moi kochani sąsiedzi, to właśnie pan delegat.

EKONOM (*półgłosem z tyłu*).

A krzyczcie, chamy, wiwat! To było!

MAGDA (*która, obudzivszy się, złączyła się z orszakiem*).

Wiwat! hu-ha!

EKONOM (*ciągnie ją za spódnicę*).

Cicho, babo!

MAGDA.

Wołocie, żeby krzycić, a potem godocie: cicho.

SKIBA.

Czy pan delegat każe rozpocząć ucztę?

PIÓRKO.

Zaraz, chciał-bym zagać, coś powiedzieć (*krzaka*).

SKIBA.

Uciszcie się, pan delegat chce mówić.

PIÓRKO (*krzaka, n. s.*).

Cóż tu powiedzieć? Miałem przygotowaną mowę przeciw dworowi, no, ale teraz przecie nie mogę mu w oczy prawić impertynencyi. Sytuacja się

całkiem zmieniła (*krzaka; głośno*). Narodzie! (*zbiera myśli*).

MAGDA (*do Wojtka półgłosem*).

A kiedyż będzie ten siampon?

NAUCZYCIEL.

Cicho, niewiasto (*nadstawi z uwagą ucha*).

PIÓRKO.

Narodzie! Praca organiczna, uznana dziś powszechnie za hasło, obrała sobie za główny cel was, młodszych braci naszych, postawiła sobie za zadanie sięgnąć, że tak powiem, do najniższych kręgów ustroju społecznego (*krzaka*). Szlachta, powiązana z ludem najściślejszymi węzłami braterstwa, żyjąc z nim niemal na jednej miedzy (*Skiba prostuje się z dumą*), otrzymała wielki przekaz cywilizacyjny podnoszenia was do siebie, oświecania mas, pograżonych dotąd w posępnym chaosie bezwiednego bytu.

(*Magda szlocha i ociera łzy*).

BŁAŻEJ (*zwracając się ku niej, półgłosem*).

Bedzies ty cicho, cegoz płaczes?

MAGDA.

Bo tak ano do serca godo, ze sie aze coś robi. Narodzie, powiedział (*placze*).

WOJTEK.

Dajcież pokój, Błażejowa.

NAUCZYCIEL.

Pozwólcieź, żeby jasnie wielmożny delegat dalej mówił.

PIÓRKO.

Otóż idzie tylko o to, aby masy także poczuły tę potrzebę i wspólnie z nami pracowały nad podniesieniem się z ciemnoty i nędzy. Czy chcecie iść z nami ręka w rękę do téj wspólnej świetnej przyszłości?

EKONOM (*po chwili milczenia, półgłosem*).

A gadajcież co przecie.

WOJTEK.

Kiej nie wiewa, o co chodzi.

SKIBA.

Pan delegat was się pyta, czy chcecie oświaty?

MACIEK.

Niby na książce cytać?

PIÓRKO.

Tak, tak. (*Mała pauza*).

SKIBA.

I cóż?

MACIEK.

Ha, niech-by ta i tak było. Tylko, żeby to panowie jesce po kawolecku lasu dodali (*kłania się do kolan*).

WOJTEK (*kłaniając się także*).

I żeby wolno było paść na pańskim, bo u nos łak nima.

EKONOM (*n. s.*).

Patrzcie! czego im się zachciewa.

SKIBA.

Ależ tu nie o to idzie. Tu idzie o naukę.

MACIEK.

Jakże się będzie cłek uczył, kiej bida? Chce się to.

PIÓRKO.

Biedy nie będzie, skoro będzie oświata. Z oświatą i dobrobyt wyrośnie.

MACIEK.

Ej, to tylko godanie. Cóż to mo jedno do drugiego.

SKIBA (*zniecierpliwiony*).

Ależ kiedy...

PIÓRKO (*przerwywając mu*).

Pozwól pan, ja im to wytłumaczę (*zbliża się ku chłopom i mówi*).

SCENA XV.

CIŻ, SŁUŻĄCY.

SŁUŻĄCY (*z prawej, przystępując do Skiby*).

Proszę pana telegram (*oddaje*).

SKIBA.

Do mnie? (*bierze i rozłamuje pieczęć*). Od hrabiego (*czyta*): „Wyjeżdżamy z delegatem na polowanie w góry. Sprawę, o której panu pisałem,

odłożymy na czas wolniejszy.“ (mówi): I delegat z nim pojechał. Więc któż jest ten? To jakiś oszust, co się wkręcił do nas (zbliża się groźnie do Piórka). Mój panie.

PIÓRKO.

Pozwól pan, niech im jeszcze wytłómaczę, że oświata.....

SKIBA (opryskliwie).

Ale co mi tam oświata! tu nie idzie o oświatę, tu idzie o to, żeś nas pan wszystkich zwiódł podstępnie.

PIÓRKO.

Nie rozumiem słów pańskich.

SKIBA.

Tylko pan nie udawaj. Wiesz pan dobrze, o co idzie. Jak pan śmiałeś przedstawić się jako delegat hrabiego?

PIÓRKO.

Delegat hrabiego?

SKIBA.

Czyż pan nie mówiłeś sam, że jesteś delegatem?

PIÓRKO.

Tak, ale nie hrabiego. Jestem delegatem Towarzystwa oświaty ze Lwowa.

SKIBA.

Ze Lwowa? demagog! I pan śmiałeś przychodzić tu, na moje terytoryum? Mój panie, to jest niegodnie, to jest nieuczciwie tak zwodzić ludzi!

PIÓRKO.

Proszę się nie unosić.

SKIBA.

Mnie tu wolno unosić się, ja jestem na swoich śmieciach, u siebie, rozumiesz pan?

PIÓRKO.

Ale proszę mi powiedzieć, w czym pan widzisz nieuczciwość moję? Czy w tém, że pracuję dla oświaty ludu? Wszak pan sam dałeś składkę na ten cel.

SKIBA.

Cofam ją. Ja dałem dlatego, bo byłem pewny, że pan pracujesz dla oświaty z polecenia hrabiego. Ja nie chcę oświaty ze Lwowa. Nie chcę, żebyście zarażali lud waszemi bezbożnemi naukami, żebyście go uczyli może, że pochodzi od małpy.

PIÓRKO.

Lepiej, żeby wierzył, że pochodzi od małpy, a starał się zostać człowiekiem, niż, żeby całe życie był bydlęciem.

SKIBA.

A ja panu zakazuję tego; ja nie pozwolę buntować ludu. Proszę się oddalić, bo inaczej wezwę pomocy żandarmeryi!

PIÓRKO.

Oddalę się, ale zobaczysz pan, co powie opinia, co powiedzą dzienniki o tém znalezieniu się pańskim. Wnet usłyszysz pan o sobie (wychodzi na prawo).

SKIBA (*chodzi zirytowany*).

A piszcie sobie, co wam się podoba. Co mnie obchodzi dziennikarskie bazgranie. (*po chwili, do siebie*) Żeby tylko nie wydrukowali w gazetach, że dałem składkę; to-by mnie mogło skompromitować w oczach hrabiego. (*p. c.*) A tom się dał złapać! o! tego sobie nigdy nie daruję. Zblamowałem się jak ostatni!

BŁAŻEJ (*zachodząc mu drogę*).

No, kiedyż będzie ta ucta? Na cóż jesteś cekowa?

SKIBA (*opryskliwie*).

E! daj mi święty pokój z twoją uczcią!

BŁAŻEJ.

Jakto spokój? To cegożeście kazywali zwolować gromadę po próżnicy? Jo się przed ludźmi nie bede za was kompromitował, kiej hrabia kozół, to musi być i basta.

SKIBA.

Cóż ty mi, chامية jakiś, będziesz tu rozkazywał? co? (*do ekonoma, wskazując na kosze*). Zabrać to wszystko napowrót do dworu. Ja was nauczę moresu! Otóż to są skutki wdawania się z takim bydłem. (*do ekonoma*) Zabrać wszystko! (*wychodząc na prawo*).

EKONOM.

Otóż tak, to rozumiem (*zabiera wraz z służącym kosze i wychodzi*).

MACIEK (*do Błażeja*).

A to was ciarach skuniwował.

WOJTEK.

I nom się téż dostało; ano z bydlęciem nos równo!

MAGDA.

A tak ślicznie godoł, kieby ksiądz na ambonie. No, i wirz tu ciarachom.

BŁAŻEJ.

Powiem jo hrabiemu, będzie on miał za swoje.

MACIEK.

E, co uni ta sobie zrobio. Hrabia tyz nie lepsy. Pon zawse pon. Niech ich tam! Chodźwa do karczmy.

WOJTEK.

Uracymy się u Symka, jak się patrzy, i bez szlachciców (*zabiera Błażeja*).

CHŁOPI.

Chodźwa do karemy! (*wychodzą*).

NAUCZYCIEL.

A ja do szkoły. Tam może więcéj się zrobi dla oświaty, dla przyszłości, a bez takich komedyi i hałasów.

(*Kurtyna zapada*).

K O N I E C.

